Ukraina: wojna o pokój • Co czeka Tuska? • Trump zmienia Hollywood
Serialowe hity jesieni • Turyści wracają do Polski • Kolagen: hit czy kit?

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 35 (3529), 27.08–2.09.2025 Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA **BARTOSZ TROJANOWSKI**

ZALEWAJĄ NAS WULGARYZMY

Przeklina już nawet sztuczna inteligencja



ISSN 0032-3500
9 770032 350503 35
Wydanie w sprzedaży do 2.09.2025

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

epraza.pl 8a...c75bb48



eprasa.pl/8a4c75bb48



12 ROSJA – UKRAINA
Przełomu nie widać

Tematy tygodnia

12 Paweł Reszka ROSJA – UKRAINA
Czy po trzech i pół roku krwawej wojny możliwy jest pokój?
16 Bartek Chaciński
Znieczuleni na wulgaryzmy

Polityka

20 Anna Dąbrowska, Malwina Dziedzic
Burze i pułapki, które czekają na Tuska
24 Rafał Kalukin
Zagadkowe milczenie Hołowni
27 Jakub Majmurek **Andrzej Duda we własnych oczach**

Społeczeństwo

30 Juliusz Ćwieluch
Papierowa cyfryzacja wymiaru sprawiedliwości
34 Zbigniew Borek **Z archiwum X: tajemnicza zbrodnia sprzed 21 lat**
37 Agnieszka Sowa
Mroczny „Zameczek": zwolniona kierowniczka, załamane pacjentki, terapeuci w szoku
40 Joanna Podgórska **Wielkie żniwa małej gastronomii**
42 Katarzyna Kaczorowska
Kolagen – hit czy kit?

Rynek

45 Cezary Kowanda **Za co zagraniczni turyści lubią Polskę**

Świat

48 Andrzej Lubowski USA
Wirówka pomysłów Donalda Trumpa
51 Paulina Wilk INDIE
Elitarne kluby dla bogaczy
54 Łukasz Wójcik PODRÓŻE Z POLITYKĄ
Stambulska pętla

Nauka/projektpulsar.pl

58 Przestrogi **Kelly i Zacha Weinersmithów**, autorów książki „Miasto na Marsie"
62 Andrzej Hołdys
Kiedy się zaczął antropocen

Historia

65 Tomasz Targański **Bliskie spotkania amerykańskich prezydentów z przywódcami Rosji**
68 Adam Krzemiński
Polacy i Niemcy po wojnie: dzieje urazy
71 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

76 Aneta Kyzioł
Strumień nowości w streamingu
80 Jakub Demiańczuk
Hollywood kocha i nienawidzi Trumpa
84 **Zyta Rudzka** o swojej nowej powieści „Tylko durnie żyją do końca", która ukaże się jesienią
87 Mirosław Pęczak
Stanisław Soyka: wirtuoz międzygatunkowy
88 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

94–97
- **Psie luksusy**
- **Hitowy dżingiel reklamowy**
- **Skibidi: czasem fajny, czasem zły**
- **Żeglarski Everest**
- **Litewski chłodnik**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
- **26**, **92**, **98** Galeria POLITYKI
- **72** Afisz • **89** Lis
- **90** Koziołek
- **91** Hartman • **92** Mizerski
- **93** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!

Przypominamy, że POLITYKA jest już dostępna w ciągłej sprzedaży w 2100 sklepach sieci Biedronka.
Polecamy się Państwa uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury.

eprasa.pl 8a4c75bb48



Generalna próba sił

Mariusz Janicki

Na świecie głównym tematem jest sprawa zakończenia rosyjskiej agresji w Ukrainie. Toczy się wielka gra, w której rozstrzyga się międzynarodowy porządek i zapewne także losy naszego kraju. Najbliższe tygodnie zdecydują o nowym systemie bezpieczeństwa, pozycji wielkich mocarstw, układzie sił w UE. To dziejąca się na żywo historia, gdzie trzeba się szybko orientować i nie kłócić na oczach europejskich partnerów. W Polsce najważniejsze jest jednak to, kto kogo w bieżącej partyjnej walce zgrilluje, pognębi i zaorze. Polskie piekło pochłania coraz więcej obszarów, powodując, że tym bardziej widać ten specyficzny prowincjonalizm, charakteryzujący się tym, że kwestie międzynarodowe traktuje się jako instrument polityki wewnętrznej. W tej tendencji zawsze przewodziła prawica, która do zagranicy, zwłaszcza Zachodu, podchodzi nieufnie, jako do źródła zagrożenia.

Teraz lansuje w tej eurosceptycznej lidze nowego zawodnika Karola Nawrockiego, może niedoświadczonego, ale rokującego. Serwowane są dwie opowieści: pierwsza to gloryfikacja prezydenta, przybierająca już kuriozalne rozmiary, a druga to narracja, że prezydent Nawrocki jest zwierzchnikiem premiera Tuska, nadzorcą rządu.

W sieci można znaleźć mnóstwo opowieści o wielkości Nawrockiego: „prawdziwy Polak, patriota z krwi i kości", „opanowanie, klasa, powaga sytuacji", „jest wśród ludzi i dla ludzi", „Polska ma w końcu lidera", „Pan Bóg był z nami przy urnach w dniu głosowania". Nawet w środowiskach liberalnych widać ślady tego podziwu w rodzaju „wulkan energii", „pełny sił", „jeśli będzie tak sprawny, to reelekcję wygra w pierwszej turze". Wydawałoby się, że po doświadczeniach z Andrzejem Dudą (recenzja jego książki s. 27) strategia „unormalniania" prawicowego radykała i katolickiego fundamentalisty na stanowisku głowy państwa już się nie powiedzie, ale pamięć jest wciąż bardzo krótka. Znowu dokonuje się proces oddzielania prezydenta od jego poglądów, także przeszłości, bo już niemal nikt nie wraca do wątpliwych kart z biografii Nawrockiego. Chodzi o to, aby Nawrocki i jego rodzina byli postrzegani jako zupełnie nowa jakość, przełom moralny, personalny i ideowy, początek nowej politycznej epoki.

Te zabiegi tworzą podbudowę drugiej opowieści: że Tusk jest tylko podwładnym Nawrockiego, postacią już nie drugorzędną, ale czwartą w państwowej hierarchii (jeszcze po marszałkach parlamentarnych izb). Premier ma się stać banalną postacią do spraw administracji, tymczasowym „kierownikiem", jak się zresztą na Tuska w partii mówi. Częste rady gabinetowe, jakie prezydent zapowiada (najbliższa już 27 sierpnia), mają to Tuskowi uzmysłowić, a ich przebieg będzie znaczący. Nawrocki zaś uosabia „majestat Rzeczpospolitej", jak można przeczytać u jego zwolenników. I chociaż nie ma żadnych uprawnień, których nie posiadał Duda na tym urzędzie, to zachowuje się, jakby był Trumpem, a już na pewno prezydentem Francji, z „wykonawczym" premierem. Jeden z prawicowych publicystów napisał ostatnio, że Tusk dlatego poprosił o spotkanie z Nawrockim, bo chciał się ogrzać w jego sławie, widząc, że tam przekierowała się sympatia narodu (o wszystkich frontach Tuska s. 20).

Ludzie Nawrockiego i on sam będą stale robić z Pałacu Prezydenckiego swoisty Olimp państwa, miejsce wyższego wtajemniczenia, gdzie pisane są projekty spiżowych ustaw „dla Polaków", gdzie powstaje nowa konstytucja i ogólnie bije patriotyczne serce kraju. Na razie rządzący zdają się z tego podśmiewać i lekceważyć te starania, ale powinni pamiętać, jaka była główna rola Dudy. Nie miał samodzielnego znaczenia politycznego, ale wykonał istotne zadanie, którego Jarosław Kaczyński zresztą nie doceniał: demobilizował wyborców, rozbrajał dziennikarzy, był inspiracją dla symetrystów, rozwadniał istotę ustrojowego sporu. Jeżeli obóz władzy nie znajdzie antidotum, z Nawrockim zadziała podobny mechanizm: Duda był idealnym zięciem, a Nawrocki zostanie wzorcowym szwagrem, postawnym krewnym z „siłki", którego można poprosić o pomoc w razie kłopotów z nieciekawymi ludźmi. Zlekceważenie takich „atawizmów", które – jak pokazują badania – mają istotny udział w podejmowaniu politycznych decyzji, byłoby krytycznym błędem w sztuce.

Donald Tusk wykazuje dużo charyzmy, dał dowody, że umie wejść na poziom demokratycznych symboli i wolnościowych wartości – ale przede wszystkim w kampaniach. Po zdobyciu władzy te cechy jakoś gasną. Z płomiennego przywódcy opozycji staje się w jakiejś mierze rzeczywiście kierownikiem zarządzającym. Jakby nie miał cierpliwości do decorum liberalnej demokracji, która zdaje się niby oczywista, ale nie dzisiaj. Tradycyjny zachodni model ustrojowy stał się jedną z propozycji na politycznym rynku, konkuruje z populizmami i autokracjami. Wymaga więc codziennej promocji, bo we współczesnej polityce prawda sama się nie broni, a jakikolwiek wysiłek i wydatki z budżetu, nieobudowane marketingiem, nie mają znaczenia. Co więcej, największy wizerunkowy kryzys władzy przypada na czas rosnącego budżetowego deficytu. Jeśli Tusk chce podjąć równorzędną walkę z nową prawicą, musi się stać de facto kimś w rodzaju prezydenta demokratycznego obozu, także na poziomie reprezentacji, eventów, celebry, może czasami patosu – nawet jeśli tego nie znosi.

Zwłaszcza że PiS i prawica będą ubierać Tuska w kostium politycznego zombie, który ma tylko dociągnąć do końca kadencji i grzecznie przekazać władzę. Niewykluczone, że tak się stanie, jeżeli Tusk wystarczająco brutalnie nie odrzuci szytych mu butów podwładnego i petenta „pana prezydenta". Siłowanie się między rządem a prezydencką kancelarią w kwestii reprezentowania Polski w rozmowach na temat Ukrainy jest tutaj dobrym poligonem. Nie mają znaczenia procedury, dyplomatyczne obyczaje, ale to, która strona w algorytmach wyjdzie z tego zwycięsko. Jeśli demokracja okaże się gamoniowata i leniwa, wygrają „dziarscy chłopcy" pod przywództwem Karola Nawrockiego – i to oni będą rozmawiać z Europą. Jeśli Tusk ma jakiś plan B, to nadchodzi czas na jego wdrażanie.

eprasa.pl 8a4c75bb48

Albatros travel

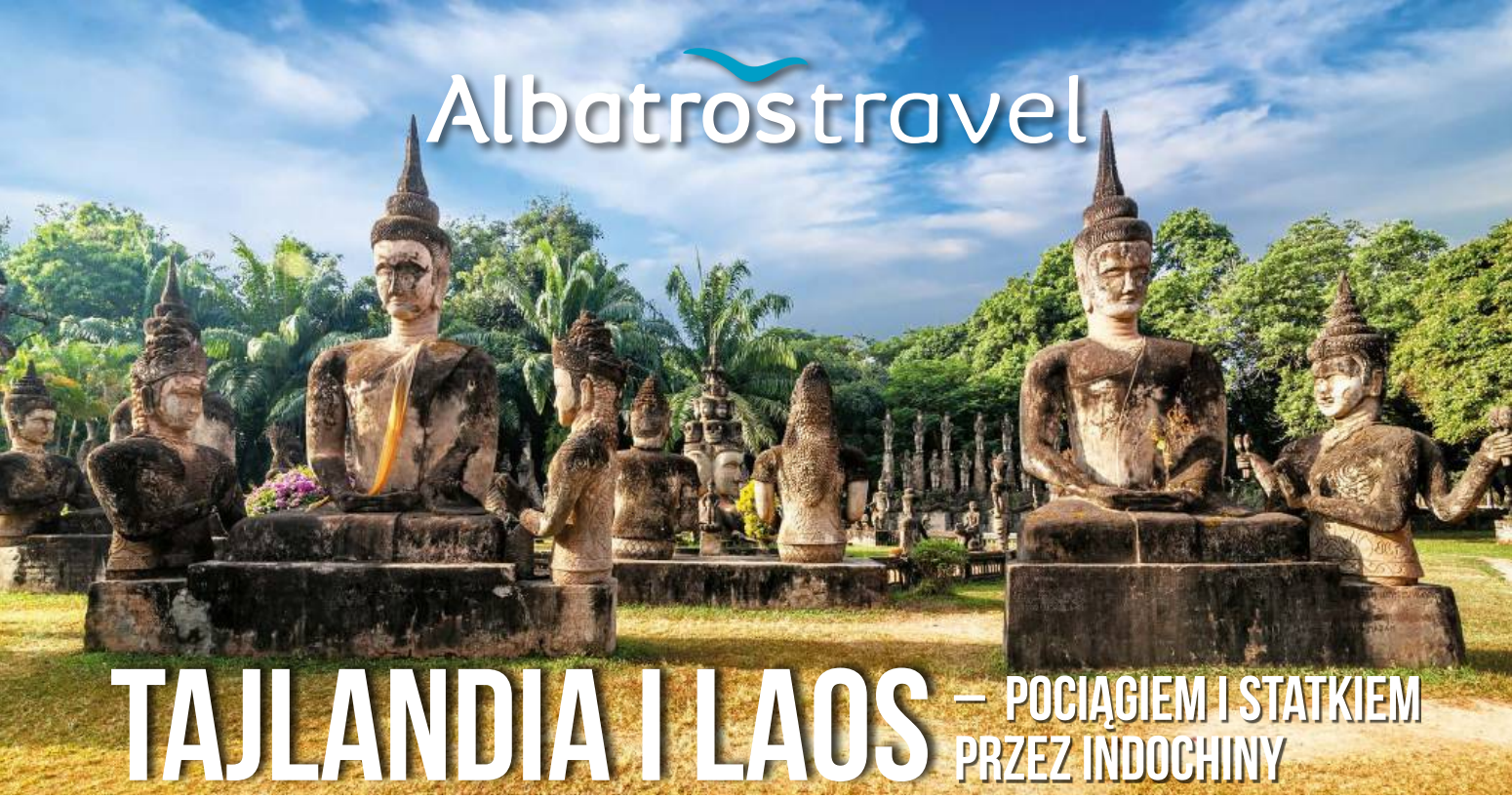

TAJLANDIA I LAOS – POCIĄGIEM I STATKIEM PRZEZ INDOCHINY

Wyjątkowa podróż łącząca przejazd pociągiem z Bangkoku do dawnej królewskiej stolicy Luang Prabang w Laosie oraz rejs po rzece Mekong do północnej Tajlandii.

Naszą przygodę rozpoczynamy od zwiedzania m.in. świątyni Wat Pho w Bangkoku, a następnie ruszamy pociągiem przez Laos. Po drodze zobaczymy stare świątynie khmerskie, lokalne targi, spokojne wioski i miasta w tym stolicę Wientian aż dotrzemy do Luang Prabang – dawnej stolicy królewskiej wpisanej na listę UNESCO, pełnej świątyń i kolonialnego uroku. Stąd wyruszamy w 2-dniowy rejs Mekongiem, mijając bujne, tropikalne krajobrazy i jaskinie Pak Ou. Odkryjemy też opiumowy Złoty Trójkąt i Chiang Mai – kulturalne serce północnej Tajlandii.

17 dni
Wyloty z Warszawy
24/11 2025,
21/01, 12/10 2026
25/01 2027

od **12.998,-**









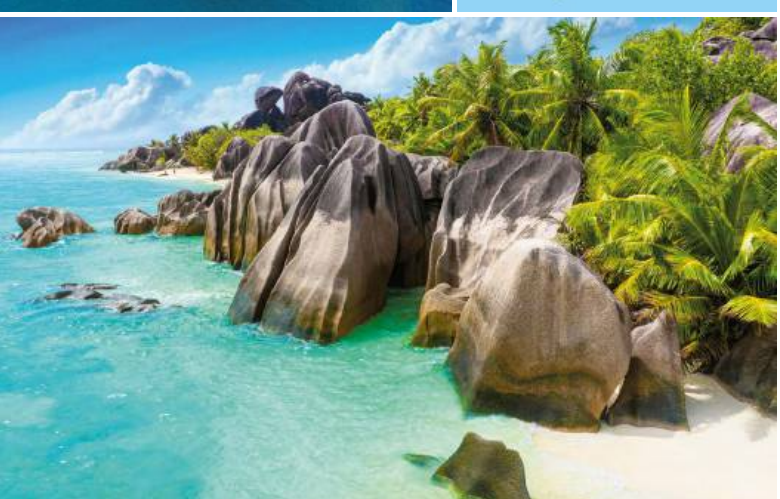

Pełne wyżywienie na statku

NOWOŚĆ

Rejs marzeń po Seszelach

Wybierz się na wyjątkowy rejs po rajskich wyspach Seszeli na pokładzie katamaranu Pegasus, a na koniec odpocznij w pięciogwiazdkowym luksusowym hotelu.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot na Seszele i rejs w kierunku wyspy St. Anne. **Dz. 3** St. Anne – niezamieszkana wyspa Curieuse. Spacer z przewodnikiem po wyspie. **Dz. 4** Curieuse – Cousin – Praslin. Rezerwat ptaków i rajska plaża Anse Lazio. **Dz. 5** Praslin – Aride – St. Pierre – Praslin, miejscowość Baie St. Anne (w tym piesza wycieczka po wyspie Aride). **Dz. 6** Baie St. Anne, Praslin – Felicité lub Grand Soeur – La Digue (w tym wycieczka do rezerwatu Vallée de Mai). **Dz. 7** La Digue – Moyenne Island (w tym wycieczka po wyspie i plażowanie na Anse Source d'Argent). **Dz. 8** Wyspa Moyenne z obiadem w formie grilla na pokładzie – Mahé. Kolacja Kapitańska. **Dz. 9–12** Mahé – zejście na ląd i Seszele od strony lądu. **Dz. 13** Wykwaterowanie i podróż powrotna. **Dz. 14** Przylot do Warszawy.

14 dni | Wylot z Warszawy 13/11 2026 | **25.498,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL33**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 8a4c75bb48

Dron w kukurydzy – czyli jak testuje nas Rosja



Policja odjechała po pierwszym wezwaniu, mimo informacji o wybuchu, a wojskowe systemy radarowe w ogóle nie zauważyły intruza ze wschodu. Tym razem nie tylko „coś" do Polski wleciało, ale też eksplodowało, szczęśliwie nikomu nie robiąc krzywdy. Taki incydent w odległości 80 km od Warszawy i ledwie kilkunastu od ważnej bazy sił powietrznych każe podejrzewać, że wcale przypadkiem nie był. Mógł być testem graniczącym z atakiem poniżej progu wojny. Bo rosyjski dron był tylko wabikiem; nie miał głowicy bojowej; był tylko jeden (na Ukrainę co kilka dni w rekordowych falach rosyjskich ataków leci nawet kilkaset dronów). „Polska jest bezpieczna" – usłyszeliśmy, choć widać, że czasem nie jest. Po kilku latach zapewnień, że wielkie inwestycje obronne tworzą nieprzeniknioną „tarczę" obrony powietrznej, jeden, wcale nie najnowocześniejszy, bezzałogowiec bez trudu ją pokonał. To bolesne urealnienie – test budowanej tarczy wypadł źle.

Ale czy mogło pójść lepiej? Rosyjska wersja irańskiego Szahida, która wleciała do Polski, jest celem łatwym do zestrzelenia, ale trudnym do wykrycia dla nieprzygotowanego systemu obronnego, a taki mamy w czasie pokoju. Duże radary pracujące w ciągłym trybie dozoru przestrzeni powietrznej w ogóle nie widzą czegoś, co porusza się nisko i wolno, bo jest napędzane czterocylindrowym silnikiem, jak z motocykla. To właśnie ten chiński silnik znaleziony na polu kukurydzy pod Łukowem wskazuje na pochodzenie szahidopodobnego drona. Kierunek potwierdzają relacje mieszkańców wschodniej Polski, którzy w nocy nad swoimi domami słyszeli charakterystyczny warkot. Ukraina właśnie ten warkot umie dość dokładnie wykrywać prostymi i tanimi systemami opartymi na mikrofonach i sieci komórkowej, ale my na razie nie.

Wojskowych radarów krótkiego zasięgu mamy ledwie kilkadziesiąt – za mało, by je rozmieścić co kilka kilometrów, a im niżej coś leci, tym gęściej muszą być ustawione środki wykrywania i śledzenia. Kolejne zamówienia są realizowane i z każdym rokiem nasza tarcza jest solidniejsza, ale wciąż za słaba. Dostawcy systemów antydronowych chwalą się, że jeden zestaw czujników pokrywa 10 km, tylko że granic z Rosją, Białorusią i Ukrainą mamy aż 1150 km, więc trzeba ich grubo ponad setkę na pierwszej linii. Nie unikniemy takich inwestycji. Potrwa to wszystko jednak wiele lat, a rosyjskie ataki mogą nastąpić w każdej chwili. Zestrzelić drona możemy wciąż tylko, gdy kompetentne władze wydadzą rozkaz, a identyfikacja celu będzie pozytywna. W czasie pokoju to trudna sprawa – drona łatwo bowiem pomylić z awionetką czy stadem ptaków. W realiach kraju frontowego warto więc zmienić przepisy.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Kornelia z okładki

Polska może być dumna ze swojej młodzieży. Amerykański „Time" umieścił 17-letnią **Kornelię Wieczorek** w zestawieniu „Girls of the Year 2025", które publikuje po raz pierwszy, by docenić dokonania dziewcząt z różnych stron świata. „Nie czekają, aż dorosną", tylko wpływają na rzeczywistość na miarę swoich możliwości, talentów i wieku. A i tak wielu dorosłych mogłyby zawstydzić.

Kornelia urodziła się w Łodzi, mieszka i uczy się w Gdyni, wirtualne CV na platformie LinkedIn dla profesjonalistów już ma obszerne. W rozmowie z magazynem „Time" przyznała, że lekcje biologii z początku ją przerażały. Strach udało się przełamać, i to prędko. Już jako 10-latka Kornelia chodziła na zajęcia do szkoły medycznej. W wieku 14 lat wspólnie z koleżanką Dianą Serjant opracowały biodegradowalny nawóz oparty na bakteriach rhizobium, by uprawy były bardziej ekologiczne i nieszkodliwe dla gleby. Za ten wyczyn obie trafiły na listę „100 najbardziej wpływowych kobiet" magazynu „Forbes". Kornelia ma już na głowie nowe duże przedsięwzięcia i projekty, m.in. aplikację do diagnostyki zmian skórnych i badania nad wykorzystaniem komórek macierzystych w leczeniu choroby Parkinsona. Powoli myśli o studiach: neurobiologii i/lub medycynie, najpewniej za granicą.





„Time" ułożył swoją listę młodych zdolnych w ramach kampanii „She Built That" firmy Lego, stąd figurki z klocków na okładce. Akcja ma uzmysławiać, że dziewczyny i kobiety biorą sprawy w swoje ręce, częściej studiują i szukają z powodzeniem różnych innowacyjnych rozwiązań. Kornelii towarzyszą w zestawieniu m.in. Coco Yoshizawa (skaterka z Japonii, złota medalistka z Paryża), Ivanna Richards z Meksyku (specjalność: wyścigi samochodowe) czy Defne Özcan z Turcji (pilotka). Najmłodsze na liście są 12-latki. A wśród nich aktywistki na rzecz bezdomności czy transplantologii, inżynierka i autorka książek dla dzieci... Imponujące. Młodym wystarczy dać szansę. I zanadto nie przeszkadzać. (AŻ)

© ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS, LUKÓW TV, WOJCIECH OLKUŚNIK/DDTVN/EAST NEWS, MP, JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, FIZKES/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 8a4c75bb48

Myśliwi znów zastrzelili człowieka



Znowu ta sama tragedia. Tym razem 60-letni mężczyzna późnym wieczorem wyszedł przed furtkę swojego **domu we wsi Młyniska** na Lubelszczyźnie, bo usłyszał przejeżdżający samochód. Kula rozerwała mu płuco. Zginął na miejscu. Myśliwy, który go zabił, 40-letni Sławomir A., syn potentata wędliniarskiego, jednego z najbogatszych przedsiębiorców w regionie, tłumaczył się, że wziął go za dzika.

Dziki bywają olbrzymie, ale nie sięgają do klatki piersiowej dorosłemu mężczyźnie. Myśliwy strzelał z broni z celownikiem termowizyjnym. Prokurator uznał, że posiadany sprzęt umożliwiał rozpoznanie celu i w związku z tym postawił zarzut zabójstwa z zamiarem ewentualnym. W dodatku myśliwy strzelał w kierunku zabudowań, wzdłuż drogi, z ambony na polu kukurydzy zwróconej w kierunku przeciwnym do budynków. Za zabójstwo grozi mu co najmniej 10 lat więzienia lub nawet dożywocie. Z uwagi na wysoką karę i obawę mataczenia prokurator zastosował wobec oskarżonego trzymiesięczny areszt.

Prezes Naczelnej Rady Łowieckiej PZŁ, były siatkarz, radny Olsztyna oraz działacz partii Sławomira Mentzena, Marcin Możdżonek pospieszył z kondolencjami na serwisie X dla rodziny „zmarłego". Internauci uznali, że wpis jest zbyt oględny, można było wywnioskować, że mężczyzna nagle zmarł. Potem Możdżonek przepraszał, ale twardo opowiada się przeciw przywróceniu obowiązkowych badań lekarskich i psychologicznych myśliwych, zniesionych w 2023 r.

W styczniu głosami posłów PiS, Konfederacji i PSL Sejm odrzucił projekt ustawy Polski 2050 o okresowych, obowiązkowych badaniach lekarskich i psychologicznych dla myśliwych. Poseł Polski 2050 Sławomir Ćwik skomentował wtedy: „Po wynikach wyborów i sondażach wnioskuję, że Polacy lubią nagłówki »myśliwy pomylił człowieka z dzikiem«". Tak wtedy, jak i teraz prezes Możdżonek zapewniał, że: „Myśliwy nie ma prawa strzelać do nierozpoznanego w 100 proc. celu". A jednak wciąż się to zdarza.

Jakby tego było mało, w tragicznym polowaniu uczestniczył 12-letni syn Sławomira A. Dziecko wywieziono z terenu polowania, zanim przyjechała policja. – *Dziś ci wszyscy, którzy twierdzili, że lekarskie badania okresowe dla myśliwych nie są potrzebne, że środowisko świetnie się samoreguluje, powinni spojrzeć w lustro, bo są współwinni tej tragedii* – mówi wiceminister środowiska Mikołaj Dorożała. – *Nie może być tak, że wszystkich użytkowników broni dotyczą określone zasady, a myśliwych nie. Dopóki nie pojawi się polityczny konsensus co do podstawowych zmian w polskim łowiectwie, dopóty takie sytuacje będą się niestety powtarzać. Nie ma sejmowej większości, by przeprowadzić jakiekolwiek zmiany ustawowe dotyczące łowiectwa* – dodaje. (AS)

Krótsza praca: to popłaca?

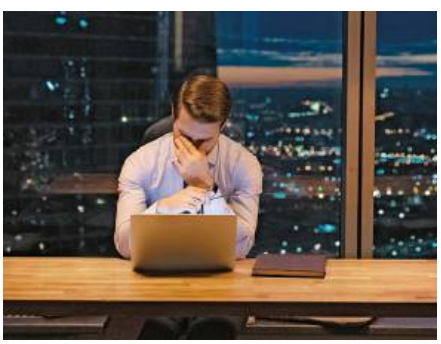

Resort rodziny, pracy i polityki społecznej ogłosił szczegóły programu czterodniowego tygodnia pracy, który jako pilotaż ma ruszyć w styczniu 2026 r. „8-godzinny czas pracy wprowadzono w Polsce 107 lat temu, a wolne soboty ponad 50 lat temu. W tym czasie wiele się zmieniło. Nowe technologie znacząco podniosły efektywność pracy, wiele krajów już dziś skraca czas pracy" – przekonuje największa (w rządzie) entuzjastka tego pomysłu, ministra Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Pracodawcy mogą zgłaszać się **do 15 września**. Program jest otwarty na firmy prywatne, samorządy, fundacje i stowarzyszenia, ale trzeba spełniać odpowiednie warunki. Chodzi o to, by minimum 3/4 wszystkich pracowników było zatrudnionych na podstawie umowy o pracę, a w programie musi wziąć udział minimum połowa zatrudnionych. Ministerstwu zależy, by warianty skrócenia czasu pracy zostały przetestowane w kilku sektorach i strukturach organizacyjnych – ta różnorodność ma być priorytetem w wyborze uczestników programu.

Pilotaż przewiduje testowanie różnych modeli skróconego czasu pracy. 35 godzin tygodniowo może być rozłożonych na 4 dni pracy. Nowy model można też realizować poprzez skrócenie czasu pracy z 8 godzin do 7. Możliwy jest też system polegający na wydłużaniu urlopu.

Resort wspiera finansowo te organizacyjne zmiany – przewidziano maks. 20 tys. zł na jednego pracownika, co przez przedsiębiorców nie jest jednak odbierane jako wsparcie wystarczające. Wskazują, że w wielu sektorach – jak administracja czy ochrona zdrowia – skrócenie czasu pracy jest niewykonalne ze względu na deficyty kadrowe. Z drugiej strony skrócony tydzień pracy od dziś dobrowolnie oraz z powodzeniem testują niektóre firmy (np. Herbapol Poznań) i urzędy takich miast jak Włocławek, Ostrzeszów, Szczecinek i Świebodzice.

Polski program będzie pierwszym pilotażem skróconego czasu pracy w tej części Europy. Na razie, jak informowała ministra, w trakcie pierwszego tygodnia naboru zgłosiło się 650 pracodawców. Efekty programu poznamy w maju 2027 r. Badania wskazują, że większość z nas jest gotowa na zmiany. Z sondażu Research Partner na Panelu Badawczym Ariadna wynika, że 57 proc. Polaków zdecydowanie wolałoby wprowadzenie skróconego tygodnia pracy, większość z nich uważa za najlepszą opcję system z weekendem trwającym trzy dni. (AGSZCZ)

eprasa.pl 8a4c75bb48

Reanimacja Trybunału

Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych; prowadzi na YouTube autorski kanał Dudek o Historii.



W październiku minie 10 lat od dnia, gdy Sejm głosami koalicji PO–PSL wybrał „na zapas" sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Wykreowano w ten sposób wytrych, za pomocą którego w kilka tygodni później – gdy tylko zmieniła się sejmowa większość – politycy PiS włamali się do tej fundamentalnie ważnej dla współczesnej demokracji instytucji. Kolejne lata przyniosły systematyczny upadek Trybunału, którego apogeum stanowiły publiczne kłótnie między wybranymi wyłącznie przez PiS sędziami o to, czy Julia Przyłębska zakończyła już swoją kadencję jako prezes TK. Przyłębskiej nie ma już w Trybunale, podobnie jak nie ma w nim trzech tzw. sędziów dublerów, wybranych przez pisowską większość w grudniu 2015 r. w miejsce sędziów prawidłowo wybranych, od których prezydent Andrzej Duda odmówił przyjęcia przysięgi.

Na 15 sędziów Trybunału, których przewiduje konstytucja, obecnie jest ich 11. W grudniu skończy się kadencja Michała Warcińskiego, wtedy też odejdzie z Trybunału – na własną prośbę – Krystyna Pawłowicz. W 2026 r. upłyną kadencje dwóch kolejnych sędziów, a w styczniu kolejnego roku – jeszcze jednego. Jeśli zatem obecna koalicja rządowa podtrzyma swoją dotychczasową taktykę nieobsadzania miejsc w Trybunale, pod koniec obecnej kadencji Sejmu będzie w nim już jedynie Bogdan Święczkowski w roli prezesa oraz pięciu innych sędziów, którym kadencje kończą się w latach 2028–29. Jeśli tak się stanie, to będzie to w moim przekonaniu duży błąd, który może mieć istotne, negatywne konsekwencje po kolejnych wyborach parlamentarnych. Wydaje się bowiem przesądzone, że jeśli w kolejnym Sejmie większość – jak na to wskazują obecne sondaże – będą mieli posłowie z PiS i Konfederacji, wówczas wybiorą sobie 11 sędziów na podobieństwo Święczkowskiego czy też Stanisława Piotrowicza.

Do tegorocznych wyborów prezydenckich można się było jeszcze łudzić, że możliwe będzie przyjęcie ustawy stwarzającej szansę na całościową odbudowę TK. Wprawdzie moim zdaniem byłoby to i tak niemożliwe bez zmiany konstytucji, ale w obozie rządzącym pojawiali się prawnicy przekonujący, że taka sanacja będzie możliwa w inny sposób. Wybór Karola Nawrockiego rozwiał te złudzenia, jest bowiem jasne, że obecny prezydent nie podpisze żadnej ustawy dotyczącej TK, która byłaby niezgodna z interesem politycznym PiS. W tym ostatnim nie leży zaś jakiekolwiek osłabienie pozycji Święczkowskiego, którego sędziowska kadencja kończy się dopiero w 2031 r.

Dalsze zwlekanie z obsadzaniem wolnych miejsc w Trybunale będzie przypominało zachowanie wnuczka, który na złość babci postanowił odmrozić sobie uszy. Ważne jednak, aby dokonując wyboru, większość sejmowa nie poszła w ślady PiS. Jeśli operacja reanimacji Trybunału ma mieć jakiekolwiek szanse, to nie wolno w jego skład wybierać prawników mocno zaangażowanych w spory wokół kształtu sądownictwa, a tym bardziej obecnych lub niedawnych polityków. Mam świadomość, że niektórzy nasi rodacy, spragnieni widoku igrzysk w pałacyku przy ul. Szucha, gdzie mieści się siedziba TK, chętnie zobaczyliby tam np. Romana Giertycha, widowiskowo zmagającego się ze Święczkowskim. Jednak doprowadziłoby to wyłącznie do pogłębienia stanu śmierci klinicznej, w jakiej znajduje się obecnie polski sąd konstytucyjny.

Partia ponad wszystko



Wydział ds. Wojskowych Prokuratury Okręgowej w Warszawie skierował do sądu akt oskarżenia przeciwko b. ministrowi obrony **Mariuszowi Błaszczakowi** w sprawie bezprawnego odtajnienia i ujawnienia na potrzeby spotu wyborczego PiS fragmentów dokumentów planowania operacyjnego – w tym „Planu użycia Sił Zbrojnych RP WARTA-00101" i „Polityczno-strategicznej dyrektywy obronnej RP z 2015 r.". Dokument w partyjnym spocie zaprezentowano z komentarzem, że w razie napaści Tusk chciał oddać połowę Polski. Prokuratura argumentuje, że dokumenty, choć w większości nieaktualne, mogły jednak zdradzić ogólną strategię obronną Polski, a więc ich ujawnienie szkodziło bezpieczeństwu kraju. Błaszczak zaś działał w celu przysporzenia korzyści partii. Podobny zarzut dostali **Sławomir Cenckiewicz**, wówczas dyrektor Wojskowego Biura Historycznego, oraz Piotr Z., były dyrektor Departamentu Strategii i Planowania Obronnego MON, i Agnieszka Glapiak, członkini KRRiT (dziś przewodnicząca Rady). Mieli bowiem namawiać ówczesnego szefa MON Mariusza Błaszczaka do odtajnienia dokumentów i użycia ich w spocie. A Cenckiewicz dodatkowo domagać się ich użycia w paradokumentalnym serialu telewizyjnym „Reset", którego był scenarzystą.

Akt oskarżenia nie jest zaskoczeniem, prokuratura zapowiadała go od kilku tygodni. Oskarżeni Błaszczak i Cenckiewicz są dobrej myśli; powtarzają, że wszystko to „zemsta Tuska" i że sąd uzna ich niewinność. W sprawie kluczowe jest jednak to, czy odtajnienie i upublicznienie fragmentów dokumentów rzeczywiście mogło zaszkodzić bezpieczeństwu państwa. To kwestia „ocenna" – prokuratura i obrona zapewne przedstawią sprzeczne ekspertyzy biegłych. Wątpliwości nie budzi natomiast niska motywacja stojąca za ujawnieniem dokumentów: w celu użycia ich przeciw konkurentowi politycznemu w kampanii wyborczej. Niezależnie od wyniku procesu sądowego, który zapewne będzie trwał latami, sam fakt używania tajnych dokumentów do walki politycznej powinien wykluczyć wszystkich oskarżonych z możliwości dostępu do tajemnic państwowych.

Jest to szczególnie aktualne w przypadku Sławomira Cenckiewicza, powołanego przez prezydenta Nawrockiego na szefa BBN. Cenckiewiczowi rok temu Służba Kontrwywiadu Wojskowego odebrała certyfikat, uznając, że skłamał w ankiecie bezpieczeństwa, ale ten wygrał niedawno w pierwszej instancji sprawę o unieważnienie tej decyzji. Niezależnie od dalszych losów tego procesu służby mogą uznać, że istnieje nowa przesłanka odebrania mu dostępu do tajemnic: akt oskarżenia za ich naruszenie. (ES)

© ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 8a4c75bb48

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!
Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Kupuj nasze aktualne wydawnictwa









Prenumeruj uniwersalnie w druku i cyfrze



Już od 10,75 zł / wydanie

Cyfrowe wydania specjalne (EPUB)









Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**

Prenumerata „Polityki", „Wiedzy i Życia" oraz „Świata Nauki" także z bezpłatną dostawą do wybranego InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 8a4c75bb48

Izrael zaciska kleszcze



Zarówno Palestyńczycy w Strefie Gazy, jak i ci z **Zachodniego Brzegu Jordanu** otrzymali właśnie dwie złe wiadomości. Po pierwsze, izraelski minister obrony Israel Kac zatwierdził plan ofensywy na miasto Gaza, uważane za ostatni bastion Hamasu. 60 tys. nowo zmobilizowanych rezerwistów ma się stawić w jednostkach na początku września. Plan zakłada całkowite przejęcie miasta oraz wybicie znajdujących się tam bojowników Hamasu i innych organizacji.

Dowództwo armii zgłaszało wcześniej zastrzeżenia wobec tego planu – z obawy, że intensywne działania zbrojne narażą na niebezpieczeństwo znajdujących się tam izraelskich zakładników, z których 20 wciąż prawdopodobnie żyje. Premier Beniamin Netanjahu nie słucha jednak wojskowych ani opinii publicznej, która w zdecydowanej większości domaga się uwolnienia zakładników, nawet za cenę rezygnacji z całkowitego pokonania Hamasu. Również wiele zachodnich rządów alarmuje, że ofensywa w mieście Gaza oznaczać będzie jeszcze więcej cierpienia dla ponad miliona Palestyńczyków, którzy tam się schronili. Jedyny człowiek, który mógłby powstrzymać Netanjahu, czyli prezydent USA Donald Trump, wyraźnie daje izraelskiemu rządowi zielone światło dla działań w Gazie. Z takiego obrotu sytuacji szczególnie zadowoleni są radykałowie w rządzie Netanjahu, którzy wbrew premierowi chcą aneksji tego terytorium do Izraela.

Podobny plan marzy im się na Zachodnim Brzegu – i to ta druga zła wiadomość dla Palestyńczyków. W zeszłym tygodniu komitet planistyczny przy cywilnej administracji zarządzającej terytoriami okupowanymi zatwierdził budowę żydowskiego osiedla E1 na wschód od Jerozolimy – ma tu powstać 3,4 tys. nowych mieszkań. Ta lokalizacja całkowicie odizoluje wschodnią Jerozolimę od Zachodniego Brzegu i przetnie terytorium palestyńskie na pół – na część północną i południową. Minister finansów Becalel Smotricz, sam osadnik i lider skrajnie prawicowej partii Religijny Syjonizm, ogłosił, że „osiedle E1 pogrzebie ideę państwa palestyńskiego", a kolejnym krokiem będzie aneksja Zachodniego Brzegu.

W ponad 140 osiedlach i 200 osadach nielegalnych także w świetle izraelskiego prawa mieszka już ok. 500 tys. żydowskich osadników. Projekt E1, krytykowany przez wiele państw na świecie, w tym USA, przez lata był zamrożony. Jego reanimację w ostatnich dniach potępiło 25 państw, także Polska. W gronie tym nie ma jednak USA, co jest wymownym sygnałem, że Izrael również w tej sprawie dostał wolną rękę.

Zjazd osi Wschodu



Na przełomie sierpnia i września ciężar globalnej polityki przeniesie się do Chin. Ich przywódca **Xi Jinping** zaprasza do Tiencina, portu nad Morzem Żółtym, na szczyt Szanghajskiej Organizacji Współpracy (SOW). I do Pekinu, na największą od lat defiladę chińskiej armii, uświetniającą 80. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej na Pacyfiku. SOW wciąż szuka na siebie pomysłu – nazywana bywa wschodnim anty-NATO, ale dziś to głównie grupa wzajemnego wsparcia dla autokratów. Z liderów 20 państw najważniejsi będą gospodarz, prezydent Rosji **Władimir Putin** i premier Indii **Narendra Modi**.

Rosjanin ma spędzić w Chinach aż cztery dni. Potrzebuje kadrów, które potwierdzą, że nie jest międzynarodowym pariasem, bo przynajmniej na Wschodzie nie obowiązują go zachodnie sankcje nałożone za najazd na Ukrainę. Będzie też szukał wsparcia dla rosyjskiego punktu widzenia na wojnę i dla dławiącej się gospodarki. W negocjacjach z Xi postara się nie pogłębić już poważnego uzależnienia od Chin. Tym razem jednak może go przyćmić Modi, który do Tiencina jedzie, aby odmrozić lodowate stosunki indyjsko-chińskie.

Dwa najludniejsze państwa globu mają za sobą lata poważnych zadrażnień. W Himalajach ich żołnierze okładali się kijami i obrzucali kamieniami, w bijatykach padały ofiary śmiertelne. Problemem jest długa i sporna granica. Chiny dobrze żyją też z Pakistanem, strategicznym wrogiem Indii. W reakcji Indie próbują odebrać Chinom status fabryki świata. Nie chcą wpuszczać m.in. chińskich producentów aut elektrycznych, by nie robić sobie dodatkowej konkurencji. Niesnaski podsycają mocarstwowe nacjonalizmy, chętnie podbijane przez obu polityków.

Od kilku miesięcy Xi z Modim są na trajektorii prowadzącej do – jak to ujmuje Chińczyk – tanga „smoka ze słoniem". Ostatnio Modiego w ramiona Chińczyka silniej pchnął prezydent USA Donald Trump. Grozi podwojeniem ceł na indyjskie towary, co ma być domiarem za kupowanie znacznych ilości rosyjskiej ropy naftowej. Pekin dostrzega w tym okazję. Wyrazem dobrej woli jest zapowiedź wznowienia po ponad pięciu latach przerwy bezpośrednich lotów, zniesienia ograniczeń na eksport chińskich nawozów i metali ziem rzadkich. Już poluzowano przepisy wizowe, w czerwcu wpuszczono indyjskich pielgrzymów do Tybetu. W kolejce czeka otwarcie rynków, na początek na indyjskie leki i chińską elektronikę. Wizyta Modiego w Chinach może się więc okazać poważną porażką USA.

© ATEF SAFADI/EPA/PAP, MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK, JACQUELYN MARTIN/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 8a4c75bb48

Kokosy w tarapatach



Zamierają palmy kokosowe. Tracą liście. Gniją ich korzenie. Drzewa słabną pod wpływem zmian klimatu, mniejszych opadów i większych upałów. Będąc w gorszej kondycji, nie odpierają ataków owadów, grzybów i wirusów. Częściej wywracają się pod naporem coraz silniejszych wiatrów. Z kryzysem palmowym borykają się archipelagi Pacyfiku, nie są od nich wolne Hawaje i Filipiny. Podobnie jest nad Oceanem Indyjskim – w Indiach, Malezji i Indonezji.

Kokos ma szereg zastosowań. Z włókien łupin produkuje się sznury i maty. Ze środka orzecha da się uzyskać olej, wodę, mleko czy wiórki wykorzystywane w przemyśle kosmetycznym i oczywiście w kuchni. Olej jest podstawą tropikalnej diety. Tak przynajmniej było dotychczas, bo tłuszcz ten staje się coraz większym luksusem. Jego cena w ciągu ostatnich dwóch lat wzrosła trzykrotnie, najbardziej w Indiach. Gotujący mają więc dylemat, bo skorzystanie z tańszego zamiennika, najczęściej oleju słonecznikowego, wiąże się z poważnym ryzykiem zaburzenia smaku, zapachu i faktury potrawy.

Cena rośnie także dlatego, że zapanowała globalna moda na olej kokosowy. Jego zdrowotne właściwości odkryły gwiazdy internetowych kanałów kulinarnych, promują go popularni dietetycy. Tymczasem produkcja od trzech dekad utrzymuje się na podobnym poziomie. Właściciele palm nie robili na nich kokosów i nie inwestowali w rozwój plantacji. A jeszcze w pandemii popyt nieco spadł, co też nie zachęcało do wymiany drzewnych pokoleń, choć doskonale było wiadomo, że z czasem starsze drzewa dają niższe plony.

Plantatorzy ratują się wcześniejszymi zbiorami. Nie czekają, aż orzechy dojrzeją na tyle, by dało się z nich wytłoczyć olej. Z młodych kokosów pochodzi m.in. bogata w elektrolity tzw. woda kokosowa, też ciesząca się dużą popularnością. Państwa kokosowe próbują się bronić, rozważają ochronę własnych konsumentów i utrudnienia eksportowe. Nie zanosi się jednak na to, by ceny wróciły do dawnych poziomów.

Wojownik w Watykanie

Nowym ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy Watykanie będzie „kulturowy wojownik", żarliwy trumpista i katolik **Brian Burch** (ur. w 1976 r.). Donald Trump chwalił go za pomoc podczas wyborów prezydenckich, czyli lobbowanie wśród katolików amerykańskich za powtórną kandydaturą Trumpa i pozyskiwanie funduszy na kampanię. Instrumentem była konserwatywna organizacja Catholic Vote, założona w 2008 r. przy współudziale Burcha. W obu kampaniach Trumpa występowała z przesłaniem, żeby ocalić „wielki naród" przed unicestwieniem przez „przeciwną Bogu i rodzinie radykalną lewicę". Wypuściła m.in. polityczną reklamę dyskredytującą Kamalę Harris, rywalkę Trumpa w wyborach 2024 r., za popieranie zmiany płci osób niepełnoletnich.



Burch nie krył niechęci do papieża Franciszka za tolerowanie udzielania błogosławieństwa parom homoseksualnym. Zaprotestował przeciwko jego słowom, że dobrzy katolicy nie muszą się rozmnażać jak króliki (Burch ma dziewięcioro dzieci; papież przeprosił za swoje słowa). A przed ostatnim konklawe Burch, wciąż bez formalnego zatwierdzenia przez amerykański Senat, udzielał się w Rzymie na ultrakatolickich spotkaniach. Faworytem wśród potencjalnych następców Franciszka był jeszcze kardynał Pietro Parolin. Nagle gruchnęła wiadomość, że Parolin podczas jednego ze spotkań poprzedzających konklawe zasłabł i osunął się na ziemię. Okazało się, że to fejk wymierzony w jego wyborcze szanse – tropy prowadziły do Catholic Vote (Parolin podpadł im normalizacją stosunków chińsko-watykańskich).

Jest też dobra wiadomość. Rodak Burcha, papież Leon XIV (obaj z Chicago), w sierpniowym sondażu Gallupa wypadł najkorzystniej (57 proc.) spośród 14 światowych przywódców.

eprasa.pl 8a4c75bb48

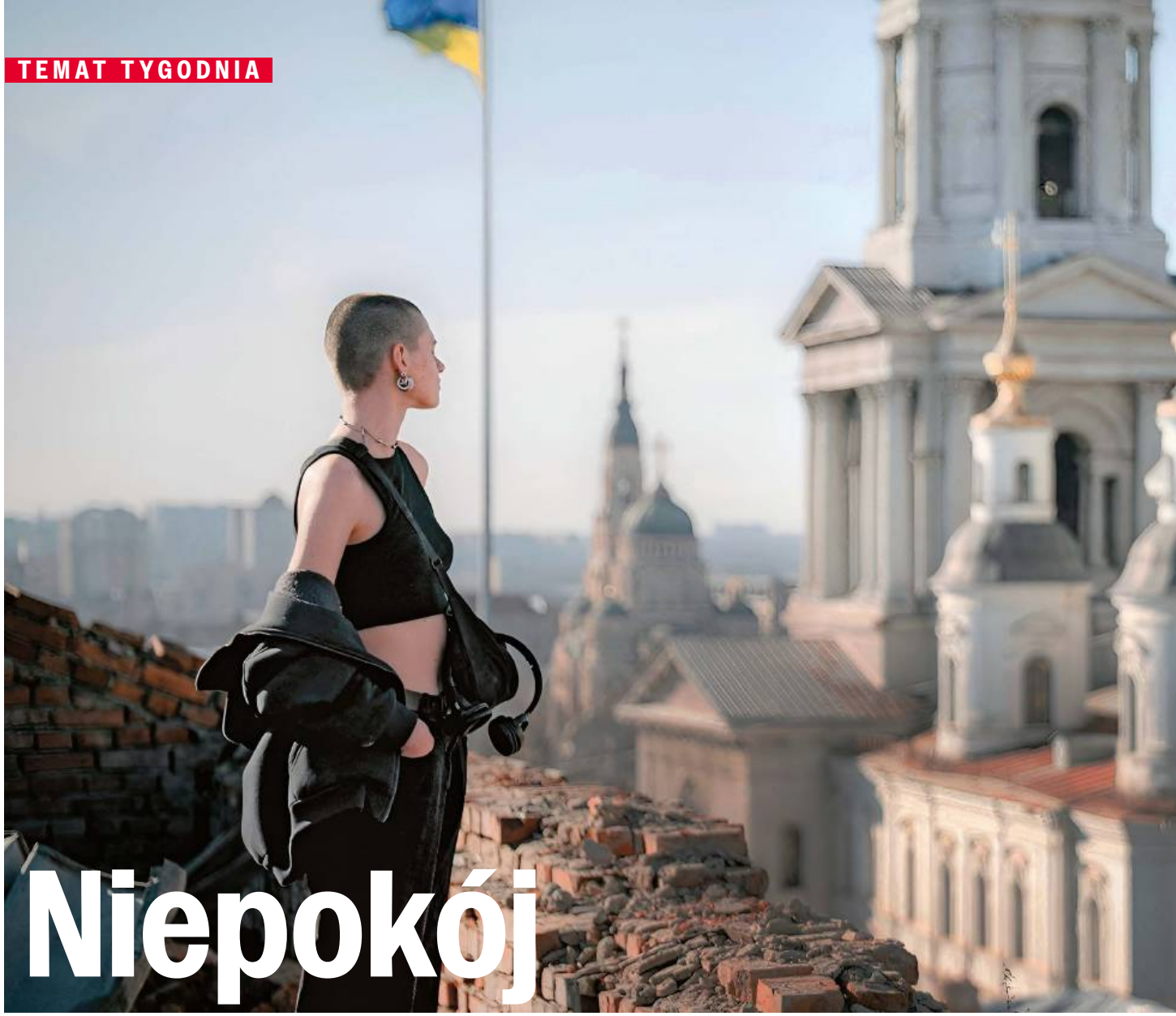

Niepokój o pokój

Ukraina nie dała się pokonać, Rosja nie zdołała zwyciężyć, ale to ona wygrywa. Po szczytach na Alasce i w Waszyngtonie negocjacje pokojowe wyhamowały. W jakim miejscu jest ta wojna?

PAWEŁ RESZKA

Przypomnijmy – Kreml liczył, że wojna będzie szybka. W tydzień, najwyżej dwa ukraińska armia miała się rozpierzchnąć. A władze, które Kreml nazywał „kijowską juntą" – uciec na Zachód. Władimir Putin liczył na defiladę zwycięstwa na kijowskim Chreszczatyku. Na to, że zwasalizuje Ukrainę i postawi świat przed faktem dokonanym. Tak jak w 2014 r., kiedy zagrabił Krym.

Tymczasem właśnie minęły 42 miesiące od rozpoczęcia inwazji. Rosyjska armia zdobywa kolejne ziemie, ale mozolnie, w żółwim tempie. Straty są ogromne, a poparcie społeczne dla wojny maleje. Mimo to Putin ma nadzieję na przełom i pokonanie Ukrainy na polu walki.

A po drugiej stronie? Od 2014 r. Ukraina straciła 20 proc. terytoriów, ale ciągle skutecznie się broni. Wojsko i społeczeństwo są mocno wymęczone. 70 proc. badanych (dane Instytutu Gallupa) chce rokowań pokojowych.

Deal na Nobla?

Nie oznacza to wywieszania białej flagi. Pokój za cenę oddania kolejnych terenów jest dla Ukraińców nie do przyjęcia. Do tego trzy czwarte z nich uważa, że Kreml – choćby podpisał kończący walki traktat – nie zawaha się zaatakować kolejny raz. Wystarczy,

© IVAN SAMOILOV/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 8a4c75bb48



że będą sprzyjające warunki do rozpętania nowej wojny. Ukraińcy nie wierzą więc w niepoparty gwarancjami Zachodu „deal".

„Deal" to ulubione słowo Donalda Trumpa, który wierzy, że uda mu się doprowadzić do zakończenia wojny i przy okazji zasłużyć na Pokojową Nagrodę Nobla. – Posłuchajcie, wojna się skończy. Kiedy? Tego nie mogę powiedzieć, ale się skończy. Putin chce, żeby się skończyła – przekonywał po spotkaniu w Waszyngtonie z Wołodymyrem Zełenskim i liderami ważnych państw z Europy.

Przełom miał nastąpić już na Alasce, w wojskowej bazie w Anchorage, gdzie Trump spotkał się z prezydentem Rosji. Dla Putina była to gratka. Jest poszukiwany przez Międzynarodowy Trybunał Karny w związku z przestępstwami wojennymi, a tu były uściski dłoni, uśmiechy i zapewnienia o doskonałych osobistych relacjach. Obraz żołnierzy USA rozkładających na kolanach czerwony dywan przed samolotem prezydenta Rosji ma szansę przejść do historii. Było wszystko oprócz przełomu.

Ze szczytu to Putin wyjechał jako zwycięzca. W Rosji pokazał się jako mąż stanu, który negocjuje jak równy z równym z liderem największego mocarstwa. Udało się też uniknąć zaostrzenia sankcji – przed szczytem Trump groził, że ukarze nie tylko Moskwę, ale i kupujące od niej surowce takie potęgi jak Indie.

W Anchorage Putin położył na stole drakońskie warunki ewentualnego pokoju. Ukraina miałaby się wycofać z obwodów donieckiego i ługańskiego. Aneksja Krymu miałaby być formalnie uznana, sankcje zniesione. Kijów miałby zrezygnować z dążeń do NATO, a także gwarantować swobodę dla języka rosyjskiego i działalności rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. Co w zamian? Niewiele – zgoda na jakieś nieokreślone gwarancje bezpieczeństwa.

Wyglądało to źle. Kreml miał bowiem dostać Donbas, ale sam nie rezygnował z roszczeń do obwodów chersońskiego i zaporoskiego. A to mogło dawać pretekst do nowej agresji. Podobnie jak gwarancje dla języka i wyznania byłyby dobrym powodem, by interweniować w obronie „uciskanej" mniejszości.

Pomysły na szczycie

Zełenski – nauczony despektem, jakiego już doznał w Gabinecie Owalnym w lutym – tym razem wykazywał się wielką elastycznością. Na spotkanie z prezydentem USA założył garnitur, nie ustawał w podkreślaniu wdzięczności dla Ameryki i Trumpa. Towarzyszący mu przywódcy Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Włoch i Finlandii oraz szefowa KE i sekretarz generalny NATO usiłowali przekonać Trumpa, że Putin może mieć nie do końca czyste intencje. (Polski w Waszyngtonie nie było, co doprowadziło do politycznej dyskusji, kto ponosi większą odpowiedzialność za absencję: prezydent czy też premier?).

Po rozmowach Trump był ciągle dobrej myśli. Zadzwonił do Moskwy, a potem ogłosił, że jest nadzieja na bezpośrednie negocjacje Zełenski–Putin. Spotkanie z Putinem? Zełenski naturalnie się zgodził – wie, że bez USA trudno będzie sobie poradzić na froncie. Rosja zaś podeszła do sprawy z dystansem. Na propozycję szczytu nie powiedziała „nie", ale zachowała wstrzemięźliwość. Wszelkie kontakty z udziałem najwyższych władz trzeba przygotowywać maksymalnie starannie – mówił minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow. Po kilku dniach dodawał, że na razie nie ma planów spotkania dwóch liderów. W dodatku Rosja uważa, że Zełenski nie ma prawa podpisywać się pod umową pokojową – jego kadencja prezydencka skończyła się już dawno, nie ma więc legitymacji do reprezentowania Ukrainy.

Europa zrobiła wszystko, by nie zostać na marginesie. Emmanuel Macron oświadczył, że w ewentualnych negocjacjach pokojowych powinny uczestniczyć również państwa Starego Kontynentu, w tym Turcja – czyli ci, „których bezpieczeństwo zależy od tego, jak zakończy się ukraiński konflikt". Europejczycy chcieli wziąć na swoje barki gwarancje bezpieczeństwa. Pojawił się pomysł, by po prostu wysłać na Ukrainę kontyngent wojsk – nie w pobliże frontu, ale jako demonstrację wsparcia.

Rosyjskie MSZ odpowiedziało szybko i ostro: „Każdy scenariusz rozmieszczenia wojsk państw NATO na Ukrainie jest dla Rosji kategorycznie nie do przyjęcia i grozi gwałtowną eskalacją". Podobne wypowiedzi, płynące z Wielkiej Brytanii i innych stolic, resort nazwał „podżeganiem do kontynuowania działań zbrojnych". Pojawił się jeszcze pomysł, by w misji stabilizacyjnej wzięło udział chińskie wojsko. Pekin nie mówi nie, o ile misja taka byłaby pod auspicjami ONZ. Jednak Ukraina jest przeciw – bo Chiny wojskowo i gospodarczo wspierają rosyjską agresję.

Na razie więc pokojowa układanka jest jeszcze w proszku. Przyznają to nawet urzędnicy Białego Domu. Wiceprezydent J.D. Vance mówił w NBC, że droga do pokoju może zająć jeszcze miesiące.

W czasie, gdy liderzy rozmawiali o pokoju, Rosja nasiliła ataki na Ukrainę. Najcięższych bombardowań doświadczają ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ przyfrontowe miasta na Donbasie. W Konstantyniwce ludzie chowani są już w przydomowych ogródkach. Nie da się zorganizować normalnego pogrzebu.

Jak wygląda tam życie? Opisuje Olga, która mieszka w centrum miasta: – *Tu jest tylko śmierć, trzy dni temu dron uderzył w 14-piętrowy budynek niedaleko mnie. Paliło się od drugiego do ósmego piętra. Ledwo go ugaszono. Ileż to nieszczęścia! Od tygodnia nie mamy wody. Chodziłam, szukałam, gdzie ją nabrać, nosiłam po kilka litrów na piąte piętro. Dziś woda popłynęła na chwilę, starczy na kilka dni, a to w mieście na froncie jak wieczność. Tylko wtedy rozumie się, że woda, światło i pokój to prawdziwe szczęście, gdy ich zabraknie. Miasto pogrążone w ciemności – żadnych latarni, żadnych świateł w oknach. Zastygłe pod księżycem i gwiazdami. Brzęczenie za oknem. To chyba dron. Czekam na wybuchy i strzały.*

Drony krótkiego zasięgu typu FPV (taki jak za oknem słyszy Olga) powodują coraz większe straty wśród ludności cywilnej. Od czasu, gdy Federacja Rosyjska rozpoczęła pełnoskalową inwazję na Ukrainę, Misja Monitorująca Prawa Człowieka ONZ udokumentowała śmierć co najmniej 13 883 cywilów, w tym 726 dzieci, oraz 35 548 rannych, w tym 2234 dzieci. ONZ donosi o 12,7 mln osób potrzebujących pilnej pomocy humanitarnej na terenie Ukrainy. 3,6 mln to wewnętrzni uchodźcy. 6,8 mln Ukraińców znalazło schronienie przed wojną za granicą.

Front rozciąga się na ponad tysiąc kilometrów. Linia zetknięcia to szeroki pas pustej, wypalonej, pozbawionej życia ziemi, kontrolowany przez drony. Rosjanie w ostatnich miesiącach zrezygnowali z wielkich szturmów. Ich taktyka polega na przesączaniu się małymi grupkami w pobliże ukraińskich pozycji. – *Idzie dziesięciu, zabijamy ośmiu, ale dwóch kryje się w jakiejś norze, leju po bombie. Idzie kolejnych dziesięciu. Ci, którzy przeżyją, dołączają do tych dwóch. Po kilkunastu takich próbach mamy pod bokiem mały oddział, który zdołał się jakoś umocnić* – tłumaczy ukraiński oficer.

Taktyka przesączania powoduje ogromne straty, ale pozwala Rosjanom na powolne przesuwanie się do przodu. Powoli otaczają ukraińską pozycję. Celem jest wzięcie pod kontrolę ogniową dróg zaopatrzenia. Wtedy sytuacja obrońców gwałtownie się pogarsza – każdy transport amunicji, żywności, ewakuacja rannych narażone są na ataki przeciwnika.

Jeden z ukraińskich żołnierzy mówi, że najbardziej przerażająca jest rotacja, tj. zejście z linii frontu na odpoczynek: – *Wiąże się to z przebyciem kilkuset metrów pod ostrzałem.*

Straty: Rosja w przewadze

Po obu stronach straty są ogromne. Nie ma pewnych danych, ale po rosyjskiej szacuje się je nawet na 200–250 tys. zabitych i kilkaset tysięcy rannych (w sumie około miliona). Po stronie ukraińskiej zapewne są mniejsze. W lutym 2025 r. Wołodymyr Zełenski mówił o 45 tys. zabitych i 390 tys. rannych. Co oznaczałoby, że straty zbliżają się dziś do pół miliona i Ukraina ma problemy z ich uzupełnieniem. Mobilizacja szwankuje, a Wojskowe Komendy Uzupełnień urządzają na ulicach łapanki na poborowych. Obniżono wiek, od którego można posłać żołnierza na front. Ochotnikom proponuje się dobre kontrakty na określony czas. Jednak przewaga liczebna Rosjan jest duża. – Na niektórych odcinkach frontu dziesięciokrotna – mówił w parlamencie dowódca Połączonych Sił Zbrojnych gen. Jurij Sodol.

Na korzyść Ukrainy działa to, że w wielu miejscach ludzi zastępują maszyny. Naczelny dowódca ukraińskiej armii gen. Oleksandr Syrski zapowiedział, że w wyposażenie wojska wejdzie 15 tys. naziemnych dronów. Produkcja i wykorzystanie dronów latających liczą się w setkach tysięcy. To samo dzieje się po stronie rosyjskiej. Rosja atakuje miasta i infrastrukturę bezpilotowcami i rakietami. W rekordowych nalotach używała po ponad 700 dronów i rakiet jednocześnie. Najcięższe walki toczą się pod Pokrowskiem na Donbasie i pod Kupiańskiem w obwodzie charkowskim. Zagrożona okrążeniem jest Konstantyniwka.

Gospodarka

ONZ szacuje, że odbudowa Ukrainy po zniszczeniach wojennych może kosztować 524 mld dol. Największe potrzeby: mieszkalnictwo (84 mld dol.), transport (78 mld dol.), energetyka (68 mld dol.), przemysł i handel (64 mld dol.), rolnictwo (5 mld dol.). Bezpośrednie straty materialne według Kijowskiej Szkoły Ekonomii wyniosły ok. 170 mld dol. Składa się na to m.in. 236 tys. uszkodzonych budynków. Zniszczenia infrastruktury drogowej, kolejowej, portowej i lotniskowej oceniono na 38,5 mld dol.

Ukraińska gospodarka podporządkowana jest wojnie. W 2024 r. kraj przeznaczył ok. 34 proc. swojego PKB na wydatki wojskowe. Kolejną pozycją w wydatkach jest obsługa długu publicznego i zobowiązania społeczne. Deficyt zbliża się do 20 proc. Nowa premier Julia Swyrydenko nie ma wielkiego pola do manewru. W programie rządu pierwsze miejsce zajmują obrona i bezpieczeństwo. Kolejne dwa to integracja z UE i walka z korupcją.

Ta ostatnia budzi wielkie emocje. Kiedy Rada Najwyższa przyjęła, a prezydent podpisał ustawę ograniczającą niezależność Narodowego Biura Antykorupcyjnego (NABU) i Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej (SAP), ludzie wyszli na ulice. Były to pierwsze masowe demonstracje od początku inwazji. Pod naciskiem protestów zmieniono prawo.

> ONZ szacuje, że odbudowa Ukrainy po zniszczeniach wojennych może kosztować 524 mld dol.

Kadencja Rady i prezydenta upłynęły już dawno, co zresztą podnosi np. Rosja, zarzucając Zełenskiemu brak legitymacji do rządzenia. Jednak – jak pokazują badania – Ukraińcy nie mają ochoty na nowe wybory do czasu zakończenia konfliktu. Gdy do nich dojdzie, Zełenski nie może być pewny wygranej. W badaniach popularności wyprzedza go m.in. były dowódca naczelny gen. Walery Załużny.

Duch

O wyczerpaniu wojną może świadczyć zmiana nastrojów. Na początku 2022 r. ponad 70 proc. badanych przez Instytut Gallupa było za walką aż do zwycięstwa. Tylko nieco ponad 20 proc. chciało rozmów, które doprowadzą do jak najszybszego zakończenia wojny. Dziś to się odwróciło. Tyle że – co podkreślają fachowcy od sondaży – nie należy utożsamiać „dążenia do rozmów" z chęcią podpisania pokoju na każdych warunkach.

Dobrze widać to w innym badaniu Centrum Razumkowa, przeprowadzonym w kwietniu i maju 2025 r. Tylko 15 proc. społeczeństwa byłoby gotowe w zamian za pokój zrezygnować

eprasa.pl 8a4c75bb48

z dążenia do integracji Ukrainy z Zachodem. Aż 80 proc. nie godzi się, by warunkiem pokoju była redukcja armii. Ponad 50 proc. nie chce, by ich kraj rezygnował z członkostwa w NATO.

Najważniejsza jest jednak sprawa terytoriów. To zagadnienie zbadała pracownia Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii (KMIS, badanie przeprowadzone na przełomie maja i czerwca 2025 r.). Z tego sondażu wynika, że absolutna większość – blisko 80 proc. – nie zgadza się na wycofywanie się z jakichkolwiek nowych terytoriów w zamian za pokój. Z kolei 43 proc. badanych w zamian za gwarancje bezpieczeństwa i pokój gotowych jest uznać faktyczną okupację terytoriów ukraińskich przez Rosję, a 48 proc. jest kategorycznie temu przeciwne.

Konkluzja jest taka, że Ukraińcy mogą się zgodzić maksymalnie na to, by wojna zakończyła się tam, gdzie stanął front. To duża zmiana, bo na początku inwazji za takim rozwiązaniem opowiadało się kilka, maksymalnie 10 proc. społeczeństwa.

Rosja: ziemia i krew

A w Rosji? Dwie trzecie ankietowanych jest za tym, żeby rozpocząć rozmowy pokojowe – to najwyższy wynik od 2022 r. – *Większość Rosjan od dawna chciałaby pokoju, ale pozostawia rozwiązanie tej kwestii w gestii władz. Fiasko dialogu z Kijowem nie wywołałoby więc gwałtownej reakcji społecznej* – uważa Denis Wołkow z niezależnej pracowni socjologicznej Levada Center, która przeprowadziła sondaż.

Nie bez znaczenia jest to, że 75 proc. badanych popiera działania rosyjskiej armii. Jednak aż 40 proc. Rosjan sądzi, że wojna przyniosła więcej szkody niż pożytku. Jedynie 30 proc. uważa, że korzyści przeważały nad szkodami. Największą korzyścią inwazji są zdobycze terytorialne (30 proc. wskazań). Największą szkodą – straty ludzkie (trzy czwarte wskazań).

Z badań wynika też, że w rozmowach pokojowych najważniejsze dla Putina będą zdobycze terytorialne. To one będą decydowały o tym, czy Rosjanie uznają, że zwyciężyli. W innym przypadku na pierwszy plan może się wysunąć sprawa ogromnych strat ludzkich. Rosyjska armia zawodowa nie potrafiła wygrać z Ukrainą – ofensywa w 2022 r. zakończył się klapą. Klapą zakończyła się też częściowa mobilizacja. Władimir Putin ogłosił ją w siódmym miesiącu wojny. Ale młodzi mężczyźni zamiast na front pognali za granicę – setki tysięcy wyjechały z kraju w obawie przed powołaniem.

Kreml zmienił wówczas taktykę. Słowo „mobilizacja" stało się tabu. Na wojnę posłano najemników – najsłynniejsza z nich była Grupa Wagnera, która potem się zbuntowała. Sięgnięto też po więźniów, w tym sprawców ciężkich przestępstw – w zamian za darowanie kary i pieniądze szli na pierwszą linię. Nazywano ich piechotą jednodniową, bo szturmy, na jakie ich posłano, trudno było przeżyć. Jednak niektórzy dożywali do końca kontraktu, zdarzało się, że mordercy, gwałciciele i pedofile wracali w mundurze z medalami na piersi w rodzinne strony, gdzie popełniali przestępstwa i gdzie mieszkają rodziny ofiar. Na wojnę rekrutuje się też ochotników gotowych walczyć za pieniądze. Dziś to podstawa rosyjskiej armii. W ub.r. było to 400 tys. osób, w pierwszym półroczu obecnego – ponad 200 tys. Bo na umowie z armią można sporo zarobić. Goły żołd szeregowego wynosi ok. 210 tys. rubli miesięcznie (9 tys. zł). Do tego dochodzą dodatki, np. za udział w szturmach. Przy podpisaniu kontraktu ministerstwo obrony, władze regionalne i miejskie wypłacają premię. Może to być równowartość kilkudziesięciu tysięcy złotych. Takie sumy robią wielkie wrażenie, zwłaszcza w najbiedniejszych republikach, np. w Buriacji. To z takich miejsc pochodzi najwięcej żołnierzy. Moskwa i Petersburg na wojnę się nie pchają.

Putin zwycięzca

Władimir Putin ma chyba w pamięci elitę, która uciekała od mobilizacji i tłoczyła na lotniskach, gdy Grupa Wagnera szła na Moskwę. Chciałby, żeby do establishmentu zaczęli trafiać lojalni i patriotyczni weterani. Mają wiele ułatwień, m.in. ulgi podatkowe, preferencyjne warunki dla nich i ich dzieci przy przyjmowaniu na studia. Armia kontraktowa będzie dla Kremla problemem, gdy nastanie pokój. Co zrobić z setkami tysięcy weteranów, którzy wrócą do domów?

Wojna z Ukrainą umocniła reżim Putina. Wykorzystano ją do ograniczenia wolności słowa – za fake newsy na temat rosyjskiej armii można trafić na 15 lat do więzienia. Za udział w organizacji ekstremistycznej lub jej finansowanie grozi 12 lat za kratkami. W Rosji nie ma już opozycji – ci, którzy mogli, wyjechali, inni zostali aresztowani i skazani na wieloletnie więzienia, np. Ilia Jaszyn – na 8,5 roku, pozostali zeszli do podziemia. Podobnie z wolną prasą. Na Zachód wyjechały całe redakcje, jak „Nowa Gazeta", „Meduza" czy „The Insider". Liczba rosyjskich emigrantów, którzy uciekli z kraju po 2022 r. i nadal są za granicą, szacowana jest na ponad 650 tys. osób.

W mediach dominuje antyzachodnia narracja, w której Rosja jest ofiarą światowego spisku. Oprócz tego na celownik propagandy trafiają mniejszości seksualne albo migranci ekonomiczni. Gospodarka rosyjska mimo zachodnich sankcji ma się dobrze, zwłaszcza z punktu widzenia zwykłego Rosjanina. Wyjazd setek tysięcy mężczyzn na front i przestawienie produkcji na tory wojenne spowodowały zwiększenie płac i zredukowały bezrobocie. Rosjanie w większości pozytywnie oceniają swoją sytuację finansową. Poczucie stabilizacji sprawia, że społeczeństwo z coraz większą obojętnością śledzi wojnę z Ukrainą.

> Według przeciętnego rosyjskiego obywatela Putin ograł Zachód i jest na dobrej drodze do wygrania wojny.

Stabilność gospodarcza została osiągnięta m.in. przez tani eksport surowców energetycznych do Indii i Chin, które zyskują coraz większą przewagę nad Rosją. Jednak to są problemy dalekie dla przeciętnego obywatela. Dla niego Putin ograł Zachód i jest na dobrej drodze do wygrania wojny. Reżim rosyjski okazał się twardszy, niż wielu przypuszczało – poradził sobie z dziurawymi sankcjami, stratami, opozycją, a nawet z tym, że wojna zawitała na rosyjskie terytorium. Wejście Ukrainy do obwodu kurskiego nie wywołało wśród Rosjan paniki, raczej ich skonsolidowało.

Przed inwazją notowania Putina tylko nieznacznie przewyższały 60 proc. Dziś 86 proc. Rosjan pozytywnie ocenia działalność prezydenta. On sam ciągle wierzy, że pokonanie na polu walki Ukrainy to kwestia miesięcy. Sytuację w kraju ma pod kontrolą, sytuacja międzynarodowa też jest dla niego nie najgorsza. Nie musi się więc spieszyć do pokoju.

PAWEŁ RESZKA

eprasa.pl 8a4c75bb48



Mówimy wulgarnie, piszemy wulgarnie, czasem dla sławy i pieniędzy. I z tych samych powodów gryziemy się w język przy słowach, które wulgaryzmami nie są. A we wszystkim rolę odgrywają algorytmy.

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 8a4c75bb48

Kropkowanie i gwiazdkowanie

UWAGA
tekst zawiera wulgaryzmy

BARTEK CHACIŃSKI

Wulgaryzmy u ludzi spowszedniały nam do tego stopnia, że wydarzeniem sezonu było dla odmiany zdeprawowanie modelu sztucznej inteligencji. Zanim go wyłączono i oddano do przeglądu, w ciągu kilkunastu godzin prowokowany chatbot Grok na platformie X zdążył określeniem „chuj mu dupę" skwitować praktycznie wszystkich najważniejszych polskich polityków. Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski wystosował po tym incydencie pismo do Komisji Europejskiej, przekonując, że język Groka mógł złamać unijny Akt o usługach cyfrowych. Tak naprawdę jednak i obrzuceni błotem politycy, i reszta odbiorców przyjęli rzecz zaskakująco spokojnie.

Po pierwsze, nie był to pierwszy wulgarny incydent z algorytmami w tle. Już dziewięć lat temu pionierski eksperyment Microsoftu z botem Tay wprowadzonym na Twittera i uczącym się od ludzi skończył się tym, że już po kilku godzinach Tay (mająca odtwarzać wzorce językowe dziewczyny) przeklinała, powtarzała rasistowskie hasła i kwestionowała Holokaust. Ostatecznie ją wyłączono. Podobnie było z BlenderBotem 3, którego zaprezentowała trzy lata temu Meta, koncern Marka Zuckerberga. Język tego bota szybko zszedł na inwektywy i wulgaryzmy, wśród obrzucanych błotem był sam prezes firmy, która go stworzyła, a potem musiała szybko interweniować. Za każdym razem na słownictwo chatbotów zaczęli wpływać korzystający z nich ludzie, swoimi podpowiedziami przeprogramowując im maniery. Zjawisko doczekało się nawet nazwy: efekt Waluigiego – od imienia złośliwego i siejącego zamęt bohatera serii gier „Super Mario".

Drugi powód znieczulicy jest prostszy. Temperatura języka sporu dorównuje tej z najgorętszych okresów nowożytnej historii, z okresem międzywojennym włącznie. Wulgaryzmy, które od dawna już dominują na ulicy (opisywaliśmy to zjawisko wielokrotnie, ostatnio w POLITYCE 45/2020), najwyraźniej przestały już szokować w sferze publicznej. W styczniu poseł Piotr Kaleta (PiS) grzmiał z mównicy sejmowej: „Czy sędzia, który spierdolił na Białoruś, który zdradził naszą ojczyznę, pobiera dzisiaj wynagrodzenie?". A posłanka Anna Maria Żukowska na wezwanie marszałka Szymona Hołowni do „spokoju" w kwestii prac nad ustawą aborcyjną, odpowiedziała w ubiegłym roku na platformie X: „Wypierdalaj z tym spokojem". Fenomen tego polaryzującego serwisu (wcześniej Twitter) amerykańscy naukowcy wymierzyli ponad dekadę temu: kiedy w mowie codziennej wulgaryzmy stanowiły do 0,7 proc. wszystkich używanych słów, na Twitterze – aż 1,15 proc.

Kropkować czy nie

O ile jeszcze dekadę temu przy okazji afery taśmowej media się na język polityków oburzały i wykropkowywały wulgarne wyrazy („Smoleńsk, k..., jakieś pier...ły"), teraz prezentują je w pełnej krasie, często już w pierwszych linijkach tekstu. Jak „Newsweek Polska", cytując bojowo nastawionych posłów koalicji po rekonstrukcji rządu: „W końcu idziemy się napierdalać". Nie gryzł się w język Wojciech Kuczok w felietonie dla „Przeglądu": „Połowa obywateli naszego kraju chce mieć prezydenta zakapiora. Chciałoby się rzec: pierdol się Polsko". I tylko Krzysztof Varga wykropkował spotkanego reprezentanta świata kultury: „Pier...ę. Będę teraz tylko słuchał muzyki, oglądał filmy i czytał książki, a oni niech spier...ą, skoro wszystko spier...i".

Brutalny język pojawia się w obrazkach z życia, jak reportaż o góralce żyjącej z przemocowym mężem („Mówił, że »jestem jego pierdoloną żoną i to jest mój pierdolony obowiązek, żeby mu dawać«" – czytamy w „Gazecie Wyborczej") czy ten o imigrantach („»Spierdalaj« słyszę przynajmniej raz dziennie" – cytowaliśmy polską muzułmankę w POLITYCE). Jest elementem ponurych relacji z ukraińskiego frontu („Kurwa, chłopaki, jeśli pójdziecie walczyć, znowu poczujecie się ludźmi" – to z „Tygodnika Powszechnego") oraz odpowiednio kwiecistych wyimków literackich („W tym świecie obrzezanych kutasów w jakiś sposób każdy jest kurwą" – wynotowuje „Rzeczpospolita" z książki Edwarda Pasewicza).

Polski parlament dorównuje jednak raportom z więzień i linii frontu. W maju 2024 r. w transmisji z sejmowych kuluarów w TV Republika padły słowa: „Ale, kurwa, co ja mam zrobić? Nie mam tych rzeczy, ja pierdolę", co było powodem wszczęcia postępowania przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji. Rzecz skończyła się ledwie upomnieniem, choć w podobnych sytuacjach kierowana przez Macieja Świrskiego KRRiT orzekała dla innych mediów kary finansowe. Rok wcześniej TVN musiał zapłacić niemal 20 tys. zł za wypowiedziane w „Szkle kontaktowym" słowa satyryka: „Chyba pierdolnąłem głupotę". W 2022 r. Rada tak dotkliwie ukarała Stopklatkę za zbyt wcześnie wyemitowane wulgaryzmy w „Psach" Władysława Pasikowskiego, że Zoom TV wyemitowała ten klasyczny – i będący w polskiej kinematografii także językowym przełomem – film, wyciszając brzydkie słowa.

Podczas gdy papier najwyraźniej przyjmuje już wszystko, radio i telewizję trzymają od wielu lat w ryzach głównie kary nakładane przez KRRiT. To do niej ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ przez lata kierowali swoje skargi widzowie, samodzielnie i zbiorowo. Poznańskie Stowarzyszenie Samorządu Mieszkańców interweniowało – jako jedno z pierwszych – w 1999 r. w sprawie filmu „Balanga" Łukasza Wylężałka emitowanego w TVP, nazywając go „gorszącym" i „kloacznym" (dialogi zawierały frazy w rodzaju „Z góry to wszystko fajnie wygląda, nawet ten zasrany kraj"), a nadawca bronił się wartością artystyczną i społeczną.

Patoreakcja

Nie wybronił się za to TVN w głośnej sprawie programu „Big Brother – Bitwa" ukaranego sumą 300 tys. zł (zmniejszoną po ugodzie do 150 tys.). „W audycji wielokrotnie używany jest wulgarny i prymitywny język: fajna dupa (o kobiecie i części ciała); suka (o kobiecie); burdel (o bałaganie); ja pierdzielę; stul mordę; opieprzać się; dostać w ryj; dziewucha; kurde; warto być twardą, zimną suką, bo jak taki człowiek nie jest, to go faceci skopią i zostawią..." – głosiła analiza KRRiT. Cały przegląd sprawozdań Rady przynosi wiele informacji o tym, co oburzało widzów. I przekonuje, że z biegiem czasu nasza tolerancja rośnie.

Bo choć jeszcze 12 lat temu w badaniu CBOS (raport „Wulgaryzmy w życiu codziennym") aż 91 proc. badanych deklarowało, że razi ich używanie niecenzuralnych słów przez innych, to zarazem raport odnotowywał, że przyzwolenie na wulgarne wypowiedzi rośnie. A osób, które bezwzględnie ich nie akceptują, ubywa. „Liczba takich deklaracji jest obecnie najniższa, odkąd badamy zjawisko" – zauważali z niepokojem autorzy raportu, który od tamtej pory nie został w podobnym kształcie przeprowadzony. Być może bano się wyników.

Ten okres ostatnich kilkunastu lat to dla zmian wrażliwości językowej cała epoka. Wulgaryzmy w sieci odnajdywało w 2013 r. tylko 30 proc. Polaków. Później granice przesuwały się w wielu rejonach kultury. Choćby w rapie – Peja zwracał się do konkurenta w 2014 r. „chuj ci w dziąsło", a po latach Mata w ten sam sposób zawołał w tekście swojego przeboju „Patoreakcja" do prezesa TVP Jacka Kurskiego. Żona prezydenta Poznania została oskarżona o wykroczenie, a później uniewinniona za słowa „jestem wkurwiona" podczas manifestacji 2017 r., a trzy lata później kobiety masowo już wyszły na ulicę z transparentami i okrzykami „wypierdalać" (opisywaliśmy to w POLITYCE 45/20). To hasło krytykowało wiele osób, ale trudno było ścigać za nie wszystkie uczestniczki protestów. I z pewnością wpłynęło na nasz stosunek do wulgaryzmów.

Do memów, popularnych nie tylko wśród dorosłych – a może nawet przede wszystkim w gronie młodszej młodzieży – weszły cytat „Kurwa, już było dobrze!" z serialu „Ślepnąc od świateł" (2018 r.) oraz „Przestań mi, kurwo, rodzinę prześladować" Zbigniewa Stonogi skierowane do Zbigniewa Ziobry. A do piosenki jako refren hasło „Jebać PiS" znane z protestów politycznych. W wygwiazdkowanej wersji trafiło na koszulki i filiżanki, a także do klipu Taco Hemingwaya, tego samego, w którym raper trawestował „Katechizm polskiego dziecka": „W jakim kraju? Tym popierdolonym".

Przede wszystkim jednak poznaliśmy przez te lata wątpliwe uroki patostreamingu, który zachowania i język ulicy przeniósł do sieci. Kiedy okazało się, że wulgarne materiały publikowane przez youtuberów niosły się w sieci lepiej niż inne, wyrosła szybko cała generacja twórców, którzy zaczęli budować zasięgi na samej wulgarności. I to właśnie stało się tematem świeższego (2024 r.) badania CBOS, które donosi, że 75 proc. Polaków, w tym aż 87 proc. z najmłodszej badanej grupy (18–24 lat) zetknęło się z materiałami wideo lub komentarzami łamiącymi ogólnie przyjęte zasady postępowania. A wulgaryzmy stanowią główne narzędzie tego łamania zasad – pojawiały się zdaniem badanych w 80 proc. filmów.

Jaja już nie rażą

Językoznawcom to zjawisko się nie podoba – nie tylko przyzwolenie na najcięższe wulgaryzmy, ale przede wszystkim, jak mówiła niedawno prof. Ewa Kołodziejek z Rady Języka Polskiego, powszednienie tych drobniejszych. Takich jak słowo „upierdliwy", masowo bagatelizowane. „Nie ulega wątpliwości, że w ciągu ostatnich dekad obserwujemy coraz większą wulgaryzację polszczyzny" – zaczyna prof. dr hab. Jolanta Szpyra-Kozłowska z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie swój tekst w tegorocznym wydaniu czasopisma „Język Polski". Zwraca uwagę na to, że ludzie przeklinają już bez względu na wiek, grupę społeczną czy wykonywany zawód.

Punktem wyjścia dla tekstu było ciekawe badanie ankietowe subiektywnego odbioru wulgarności poszczególnych słów, przeprowadzone przez samą autorkę na grupie 120 osób, w dwóch grupach wiekowych, z podziałem na płcie. Żaden z zaproponowanego pakietu wulgaryzmów nie został w nim jednogłośnie uznany za zupełnie niewulgarny albo bardzo wulgarny. A samo badanie odbioru 65 różnych słów potwierdza tylko, że nasza wrażliwość na brutalny język spada.

Badaczka zaproponowała sześciostopniową skalę: od 5 do 0, w zależności od tego, jak bardzo rażące wydawało się uczestnikom dane słowo. Wyniki zebrała w klasy, od „najbardziej wulgarnych" (tych najbliżej piątki) do „najmniej wulgarnych". W najwyższej znalazły się „kurwa" (ze średnią oceną 4,2 na 5), „pizda", „chuj", „jebać" i „skurwysyn", a w najniższej – „jaja" (w jednej z definicji wulgaryzm, ale sądząc po ocenie 0,7 na 5 – już tak niepostrzegany). Potwierdziło się przy tym, jak olbrzymia jest różnica w odbiorze słów „jebać" (ocena 3,9) i „zajebisty" (1,9). To drugie od dawna pojawia się jako komplement sceniczny („Jesteście zajebiści" Michała Wiśniewskiego do publiczności) lub kreujący wspólnotę („Gdynia jest zajebista" – profil facebookowy miłośników miasta), a teraz okazało się w społecznym odbiorze łagodniejsze niż „szczać" i „srać" (w ankiecie zebrały po 2,0). Badanie potwierdziło też, że słowa zagraniczne, jak „fuck" i „shit", wydają nam się mniej rażące od polskich odpowiedników oraz że znacznie częściej używają ich ludzie młodzi. Obce wyrazy, podobnie jak różnego rodzaju skróty i przetworzenia (np. jprdl, ja pitolę, japidi, ja pierdziu itd.), traktowane są w tej młodszej grupie powszechnie jako eufemizmy.

Badanie prof. Szpyry-Kozłowskiej potwierdza jeszcze jedno zjawisko, które wraca w dyskusjach o młodej polszczyźnie: szczególną zmianę wrażliwości na wulgaryzmy u młodych kobiet. Wyniki kobiet z młodszej grupy wiekowej (20–23 lata) były prawie identyczne jak u mężczyzn w różnym wieku, przy czym znacząco niższe niż w starszej (40–60 lat) grupie kobiecej. Również częstotliwość używania wulgaryzmów u młodszych kobiet była prawie identyczna jak u ich męskich rówieśników. Przy czym młode

eprasa.pl 8a4c75bb48



Zmieniła się wrażliwość na wulgaryzmy u młodych kobiet. Częstotliwość używania przez nie niecenzuralnych wyrazów jest prawie identyczna jak u ich męskich rówieśników.

kobiety przodowały w grupie używających słowa „jebać" i „suka".

Wtórna c*nzura

Co w takim razie się dziś w internecie kropkuje i czego unika? Nie decydują o tym bynajmniej zalecenia Rady Języka Polskiego ani kary KRRiT, tylko zasady monetyzacji w serwisach wideo oraz algorytmy w mediach społecznościowych. Będący oazą patojęzyka YouTube w 2022 r. zmienił politykę wobec twórców filmów i tych, którzy w pierwszych sekundach filmu przyciągali wulgarnymi słowami, zaczął karać demonetyzacją, czyli odbierać im zyski z wyświetlanych przy filmach reklam. Nie był to jednak gest językowego puryzmu, tylko raczej ukłon w stronę reklamodawców.

Wkrótce reguły zostały na powrót poluzowane i teraz ciężki bluzg („fuck" – odpowiednik naszego „kurwa"), a w mniejszym stopniu te drobniejsze (jak „asshole" czy „bitch" – odpowiednik „dupka" i „suki") mogą nas kosztować demonetyzację, ale muszą się pojawiać dość często i być wykorzystywane nachalnie. Na pewno trzeba ich unikać w tytułach filmów, ewentualnie gwiazdkując („f*ck", „b**ch"), bo kropkowania algorytmy nie lubią. Lepiej też zachować umiar w stosowaniu wulgaryzmów w social mediach, algorytmy mogą ograniczać zasięgi takich postów.

Demonetyzacją lub ograniczeniem zasięgu grozi używanie słów już nie tyle wulgarnych, ile wrażliwych – tematyka związana z seksem, samobójstwem, pandemią, a przede wszystkim ekstremizm, mowa nienawiści, terroryzm lub inne sfery kojarzące się z Kodeksem karnym: gwałt lub pedofilia. Stąd coraz częstsze gwiazdkowanie – zarówno na YouTube, jak i w serwisach w rodzaju X czy Facebooka takich słów jak seks („s*x"), gwałt („r*pe"), narkotyk („dr*g") czy morderstwo („k*ll"), które powoli przeszczepiamy też na grunt polszczyzny, skrzętnie wymazując z wypowiedzi kontrowersyjne skojarzenia. I u nas używa się więc emotki kukurydzy (ang. corn), żeby ominąć słowo „porn". A wymyślny eufemizm „popełnić sudoku" opisuje targnięcie się na własne życie.

W tytule najnowszego lingwistycznego bestsellera Adam Aleksic upowszechnił nazwę dla tego procederu: „Algospeak". Bo to język omijający pułapki algorytmów. Internauci ukuli jeszcze jeden termin: Voldemorting. Od bohatera serii o Harrym Potterze, nazywanego też Tym, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać.

Z polszczyzną idzie algorytmom trudniej niż z angielskim, czego dowodem kariera słowa „podchujaszczy" (synonimu „przydupasa"). „Nowe odkrycie – algorytm YT nie zna słowa »podchujaszczy« i nie ma za to demonetyzacji. To moje nowe ulubione słowo!" – cieszył się jak dziecko w maju Krzysztof Stanowski, medialny bojownik w walce o zasięgi. Z drugiej strony, ta tendencja wymaga wprawy w czytaniu słów angielskich, pozwalającej na odróżnienie „sh**t" (jak *shoot* – strzelać) od „sh*t" (jak *shit* – gówno, cholera). No i rozeznania w szybko zmieniających się regułach serwisów i platform.

To omijanie zakazów stało się osobną grą. Hitem ostatnich miesięcy są na YouTube profile z wygenerowanymi przez AI piosenkami w stylu pop, disco albo country do wulgarnych tekstów, które udają odrzucone przez cenzurę stare klasyki. Rzekoma Rhoda Hardcok (już pseudonim znaczący) wykonuje na przykład piosenkę „It's Too Big To Put In My A**" – słowo „ass" (dupa) jest wygwiazdkowane, omija więc pułapki algorytmów. Ale od dosadnego seksualnie tekstu więdną uszy.

Tu wracamy do problemu modeli AI. Akademicy posługujący się dużymi cyfrowymi korpusami językowymi twierdzą, że na razie zalewu sztucznie generowanych wulgaryzmów w korpusach nie widać. Choć nie wiadomo, ile z tekstów prasowych – a te do korpusów trafiają – pomagają pisać chatboty. Pytanie, czy w ogóle zwrócimy na to uwagę, czy będziemy to mieli gdzieś. A dokładniej: w miejscu opisywanym słowem, które uczestnicy badania prof. Szpyry-Kozłowskiej ocenili jako „trochę wulgarne" z punktacją 1,5 na 5. Czyli minimalnie wyżej od „cholera".

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl 8a4c75bb48



Wszystkie fronty Tuska

Polityczna jesień za pasem. Wraz z nią nadciągną burzliwe spory, niekorzystne prądy społeczne, grad ataków i wewnątrzkoalicyjne zawirowania. Czy premier Tusk i jego ekipa są na to przygotowani?

eprasa.pl 8a4c75b048

ANNA DĄBROWSKA, MALWINA DZIEDZIC

Ruszą na wszystkich frontach – mówi jeden z bliskich współpracowników Donalda Tuska. Jak tłumaczy, PiS wykorzysta każdą okazję, aby uderzyć w rząd. Będzie inicjował protesty, wspierał lokalne referenda, atakował w sieci. I nie tylko. A na to wszystko nałoży się konfrontacyjna polityka Karola Nawrockiego, skomplikowana sytuacja międzynarodowa i masa problemów wewnątrz samej koalicji rządzącej. Sytuacja premiera jest nie do pozazdroszczenia. Gdziekolwiek się odwróci, tam będzie musiał gasić jakiś pożar: tłumić niezadowolenie, detonować wizerunkowe bomby i powściągać ambicje poszczególnych polityków. Sprawdziliśmy, z jakimi konkretnie wyzwaniami będzie się musiał mierzyć, jak na ten burzliwy czas są przygotowane jego szeregi, a także co planuje PiS.

1 Nowogrodzka

Dwie dekady ostrego ustrojowo-ideologicznego sporu potrafią uśpić czujność. Takie przynajmniej można odnieść wrażenie, rozmawiając z czołowymi przedstawicielami obozu rządzącego. I cóż z tego, że afera z KPO nie gaśnie, że Nawrocki nie próżnuje, PiS i jego medialni akolici prześcigają się w atakach, a po centrach polskich miast ostentacyjnie maszerują nacjonaliści? „Pomyślę o tym jutro" – można by zacytować bohaterkę słynnej powieści Margaret Mitchell i to najlepiej streszczałoby nastroje panujące wewnątrz obozu rządzącego. Wszak są wakacje – słyszymy. Tu ktoś szykuje się do wyjazdu, inny od wyborów prezydenckich jest na „emigracji wewnętrznej", kolejny bezradnie rozkłada ręce, bo sam nie rozumie tego rozprężenia i braku czytelnej strategii. Jeszcze inny mówi wprost: – *Jest taki bałagan, że wolę się w to nie mieszać. Albo nic się nie dzieje, albo co chwila inna koncepcja, nawet nie wiadomo, jak to komentować. Dlatego wolę przeczekać, nie wystawiać się.*

I tylko wieloletni polityk PO nie kryje wzburzenia: – *Jest dramat. Plan na jesień? My nie mamy planu nawet na pierwszy tydzień września!* Pytamy więc jego kolegę z zarządu PO, czy skoro spodziewają się zaciętego i wielostronnego ataku ze strony PiS, mają jakiś plan odporu? – *Na pewno będzie ofensywa, trudno mi jednak wskazać przyszłe elementy w tej chwili* – mówi. Co przekładając z języka polityki na polski, znaczy mniej więcej tyle, że będzie raczej wielka improwizacja.

Tymczasem PiS już szykuje armaty. – *Ofensywa to za mało powiedziane. To będzie, jak by to ująć w parlamentarnym języku, potężne uderzenie* – przekonuje ważny polityk tej partii. – *Po wygranej w wielkiej bitwie o prezydenturę wszyscy w partii poczuli krew, w szeregach podniosło się morale, a sytuacja wyraźnie przesunęła się na naszą korzyść* – dodaje. Inny, z grona kampanijnych strategów partii, zwraca uwagę, że jesień będzie sprzyjać PiS, bo „nastroje w społeczeństwie siądą" i to premier będzie za wszystko obwiniany: – *Z badań wychodzi, że zawsze tak jest, bo ludziom żyje się o tej porze roku po prostu gorzej.* Jak tłumaczy nasz rozmówca, Polacy tradycyjnie będą poirytowani, że skończyły się wakacje, że wydali majątek na wyprawki szkolne, że nie mają pieniędzy, że wcześniej robi się ciemno, że rachunki rosną...

Te pogarszające się nastroje mają pomóc PiS przykleić rządzącym etykietkę cwaniaków, którzy bogacą się kosztem Polaków. – *Przypomnę tylko, że my przez to musieliśmy oddać władzę. Teraz oni są bardzo blisko tej granicy, aby Polacy zaczęli o nich w podobny sposób myśleć. Będzie gruba akcja wokół KPO. W wakacje ten temat został przez nas ledwie liźnięty* – słyszymy w PiS. Niemałą partyjną ekipę zaprzęgnięto do wyszukiwania kolejnych przykładów wątpliwych dotacji z KPO, które zostaną wykorzystane w antyrządowej kampanii. Ma być konkret: z nazwiskami, kwotami, ze zdjęciami rodzin polityków i przedsiębiorców, którzy ich sponsorowali przed wyborami.

– *Z badań wychodzi nam, że to będzie uderzenie w sam splot słoneczny tej koalicji i mocno wkurzy jej elektorat, nasz zaś zmobilizuje. Bo KPO był fundamentem tej władzy: mówili, że jak PiS będzie dalej rządził, to Polacy nie dostaną tych unijnych pieniędzy. A teraz my pokażemy, że tak naprawdę walczyli o kasę dla siebie* – słyszymy. PiS dobrze czyta nastroje społeczne, wie, że afera KPO nie przygaśnie tak szybko. Ma potencjał słynnych „ośmiorniczek", które odbiły się PO czkawką za poprzednich rządów, czy „drugich pensji" rozdawanych ministrom w gabinecie Beaty Szydło. Jest łatwa do zrozumienia i opowiedzenia, do tego – memotwórcza.

Ale nie wszyscy w rządzie to rozumieją, o czym świadczy dość zuchwała postawa ministry Pełczyńskiej-Nałęcz odpowiedzialnej za KPO czy choćby słowa jednego z wiceministrów: – *Szczerze, nie wiem, czy ta afera będzie miała jakiś potencjał, od kilku dni jest cisza, jakby PiS odpuścił temat.* Zagrożenie dostrzega jednak jego starszy partyjny kolega: – *Ekscytujemy się, jaki to mamy wzrost gospodarczy, jak małą inflację, jak produkcja przemysłowa wzrosła. Dostaję te grafiki z partii do szerowania w mediach społecznościowych. Tylko jaki to ma efekt?! Przerabialiśmy to już w 2014 i 2015 r. Ludzie takie rzeczy mają gdzieś. Ruszają ich proste sprawy: jak to, że jakiś cwaniak dostał jacht z KPO. I to jest szalenie niebezpieczne. Na elektorat PiS też podziałało, jak pokazaliśmy, jakie sobie premie wypłacali, a nie to, że kradli miliardy, bo nikt miliarda na oczy nie widział, trudno sobie takie pieniądze wyobrazić.*

Te słowa potwierdza niedawne badanie IBRiS dla „Rzeczpospolitej": niemal trzy czwarte Polaków uważa, że afera z KPO zaszkodzi rządowi. Ale PiS nie zamierza na tej sprawie poprzestać. Kolejna linia narracyjna będzie równie mało wyszukana, zarazem jednak już wielokrotnie sprawdzona. Oto pławiący się w luksusach liberałowie będą przeciwstawiani tzw. zwykłemu człowiekowi. PiS zamierza m.in. wytknąć Tuskowi jego ostatni urlop. Narracja będzie brzmieć mniej więcej tak: – *Kiedy na Lubelszczyznę spada rosyjski dron, on pławi się w luksusach na zagranicznych wakacjach i nie myśli wracać.*

Choć akurat na tym polu rządzący nie zamierzają odstawiać nogi: tematy obronności, bezpieczeństwa – także energetycznego – będą dalej mocno eksploatowane, a za wysokie koszty życia będzie obwiniany PiS i osobiście Karol Nawrocki. Widać to już teraz w kolportowanych w mediach społecznościowych przez KO filmikach, z równie łopatologicznym przekazem: „On pławi się w luksusach, ty płacisz więcej przez jego weto" i obrazkami prezydenckiej limuzyny. Pretekstem jest odrzucenie przez Nawrockiego tzw. ustawy wiatrakowej, w której zaszyto zamrożenie cen energii. Nawrocki w podejściu do OZE nie ▶

© PIOTR MATUSEWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ różni się od reszty prawicy i tylko czekać, aż zacznie powtarzać, że przez wiatraki kury się nie niosą – bo choć brzmi to absurdalnie, wiatraki sklejono z „lewicowym szaleństwem", stały się kolejnym frontem ideologicznej walki. Ale i w PiS, i w Pałacu doskonale wiedzą, że ustawa była pułapką, a weto może rozbijać narrację, że wysokie rachunki są „winą Tuska". Stąd prezydent od razu odbił piłeczkę i przeklеił do własnej ustawy część dotyczącą mrożenia cen energii. Równolegle też rząd szykuje nowy projekt. Nikt bowiem nie chce brać na siebie kosztów niezadowolenia społecznego.

– *Nie możemy tu odpuszczać, musimy pokazywać, przez kogo Polacy będą płacić więcej za prąd. Ale to nie mogą być tylko takie sztampowe filmiki, które pojawiają się na naszych kanałach. Musi być coś więcej, jakiś event, większa energia. Trzeba zaangażować młodych posłów, którzy chcieliby coś zrobić, tylko nie ma kto nimi pokierować* – mówi cytowany wcześniej wiceminister. Jak opowiada, problemem jest to, że wszyscy myślą, że ktoś inny zajmie się danym tematem, i efekt jest taki, że niewiele się dzieje. – *W 2023 r. mieliśmy czas, żeby wymyślać różne fajne rzeczy, teraz ministrowie są zajęci rządzeniem, nie mają czasu na politykę. Z PiS było odwrotnie: zajmowali się głównie polityką.*

To się akurat nie zmieniło. Stąd oprócz ataków w sieci czy objazdowej wystawy o KPO prezes PiS planuje też bardziej „konwencjonalne" wydarzenia, jak: „wielka antyimigracyjna manifestacja" w Warszawie 11 października czy – równie wielka i piękna – konwencja programowa dwa tygodnie później w Katowicach. Kaczyński jest bowiem przywiązany do polityki w starym stylu, przekonany, że kilkusetstronicowy program jest do zwycięstwa niezbędny. – *Oczywiście program powstanie w gabinecie prezesa, ale w Katowicach Polacy mają zobaczyć, że mamy dla nich alternatywę, że PiS-owi chce się rządzić i mamy mapę tego rządzenia, w przeciwieństwie do ekipy Tuska. Na konwencji będzie niesamowity przemiał ludzi, komentatorów, ekspertów o różnych poglądach. Stworzymy wrażenie, że mamy zaplecze, że wielu jest z nami. Będzie rozmach!* – zapowiada ważny polityk PiS.

2 Pałac

Jak wynika z naszych informacji, możliwe, że na konwencji w Katowicach pojawi się też prezydent. PiS próbuje sklejać partię z Nawrockim i korzystać z jego popularności. – *To dla nas korzystne, bo jest doskonałym punktem odniesienia dla Tuska. Karol ma się z nim bić, wysyłać mu te jego 100 konkretów do Sejmu i pokazywać, że okazał się kłamcą, który nie realizuje obietnic* – twierdzi jeden z polityków tego ugrupowania.

Pałac to najnowszy front walki Tuska, nie do końca jeszcze zbadany, bo nawet PiS nie jest pewien, czego się może spodziewać po Nawrockim. Duda był przewidywalny, zarazem – jak słyszymy w PO – nie stanowił dla Tuska wyzwania, co najwyżej go śmieszył, drażnił albo nudził. Teraz sytuacja się zmieniła, bo pod żyrandolem Kaczyński zainstalował kogoś, kto nie zamierza trzymać się wyznaczonych przez konstytucję ram – będzie więc wychodził poza swoje kompetencje, wetował ustawy (już odrzucił cztery), stwarzał pozory, że mamy system prezydencki, że Tusk mu podlega.

Widać to zresztą od pierwszych dni prezydentury. Najbardziej widowiskowy odcinek tej wrogiej koabitacji będzie stanowiła polityka zagraniczna. Pierwsza „wojna o krzesło" już za nami. A efekt jest taki, że przy najważniejszym stole, kiedy dyskutowano o przyszłości Ukrainy, Polski nie było. – *Problem polega na tym, że polityka zagraniczna w wykonaniu ludzi PiS zawsze jest obliczona na użytek wewnętrzny. Tak będzie i w tym przypadku, bo Nawrocki w tych tematach jest po prostu zielony. Zełenski mu nie ufa, słyszał, co mówił w kampanii, wie, jakie ma poglądy, a relacji z Trumpem też nie ma co przeszacowywać. Prezydent USA nie chce słuchać, że bolszewika trzeba gonić, rżnąć jak w 1920 r., bo przecież on przed bolszewikiem rozkłada czerwony dywan* – słyszymy od jednego z przedstawicieli naszej dyplomacji. – *Europejczycy zaś wolą rozmawiać z Tuskiem.*

Jednak w PiS już zacierają ręce na wizytę Nawrockiego w Białym Domu 3 września. To ma być mocne otwarcie nowego sezonu politycznego. Jak twierdzą niektórzy, to właśnie dlatego odpuszczono szczyt w Waszyngtonie: zaplecze prezydenta bowiem obawiało się, że Trump może potem odwołać spotkanie jeden na jeden. A te obrazki z amerykańskim prezydentem są Nowogrodzkiej niezbędne do kreowania przekazu o mocarnym Nawrockim i pogardzanym Tusku. Temu też miało służyć słynne spóźnienie Nawrockiego. W PiS nie kryją dumy z „chłopaków" z Kancelarii, którym udało się pokazać, że „Tusk jest petentem", musi czekać na prezydenta, w dodatku pod portretem Lecha Kaczyńskiego: – *Piękny pstryczek, spodobał się prezesowi!*

Doświadczony polityk PiS zwraca jednak uwagę, że Nawrocki i jego otoczenie – w tym dwóch niedoszłych kandydatów na prezydenta: Marcin Przydacz i Zbigniew Bogucki – już „uwierzyli w swój geniusz". Utwierdza ich w tym swoisty kult Nawrockiego wśród wyborców prawicy: zachwyty jego tężyzną fizyczną, energią, rodziną. Czasem przybiera to groteskową formę, szczególnie kiedy sympatycy pary prezydenckiej zaczynają eksperymentować z tworzeniem grafik za pomocą AI. – *Jedyny, który stoi tam na ziemi, to Paweł Szefernaker. Ma ogromne polityczne doświadczenie* – słyszymy w PiS. – *Reszta odleciała i myśli, że Nawrocki zostanie nowym liderem na prawicy. Ale bez namaszczenia prezesa nie ma szans.*

Także w KO dostrzegają, że „Nawrocki odlatuje", liczą więc na to, że pycha i śmieszność w końcu go zgubią. – *To prężenie muskułów, granie takiego ważniaka: ja tu będę składał ustawy, zwoływał Radę Gabinetową, zarządzał, za chwilę będzie śmieszne, bo ludzie zobaczą brak skuteczności. Co z tego, że Nawrocki będzie zwoływał te rady, pytał Tuska przed kamerami, co z jego ustawami, jak ten mu powie: chłopie, ty się konstytucji naucz, idź z tym do Hołowni* – dworuje jeden z platformersów.

3 Koalicja

Choć to przekierowywanie do lidera Polski 2050 może nie być najlepszym pomysłem. Bo, jak twierdzi jeden z członków władz PSL: – *Szymon zauroczył się Kaczyńskim*. Co robi się coraz bardziej kłopotliwe, nie tylko wizerunkowo. Słychać nawet, że grupa posłów szykuje się do wyjścia z klubu Polska 2050: mają powołać własne koło, potem być może dołączą do KO (nie mogą przejść bezpośrednio, bo w 2023 r. koalicjanci zawarli nieformalny pakt o niepodbieraniu sobie posłów). W takich chwilach ciąży brak politycznego doświadczenia Hołowni. A to przekłada się na brak wzajemnego zaufania.

– *Ogromnym problemem jest słabość naszych partnerów* – przyznaje jeden z ważnych ministrów w gabinecie Tuska, z namaszczenia PO. Ale i inni widzą to podobnie. Bo jest ciężko. Koalicja

eprasa.pl 8a4c75bb48



Nawrocki i jego otoczenie już „uwierzyli w swój geniusz”

jest chybotliwa, morale słabe, a sondaże nie pozostawiają złudzeń: jeżeli coś się diametralnie nie zmieni, perspektywą jest powrót PiS do władzy. – *Owszem, wygramy na głosy, na procenty, ale co z tego, skoro nie będziemy w stanie rządzić, bo nasi obecni koalicjanci wylądują pod progiem albo wprowadzą po 15 posłów. A Konfederacja nie utworzy z nami rządu, im bliżej do PiS* – prognozuje partyjny kolega ministra.

Tusk – jak słyszymy – traci już cierpliwość do swoich partnerów, wygraża, że jeżeli nie będą trzymać wspólnego frontu, będą głosować za ustawami wnoszonymi przez Nawrockiego, to zerwie koalicję, będą wcześniejsze wybory. Problem w tym, że nie ma mocnych kart. – *Niech najpierw zdymisjonuje wiceministrów, bo nawet to się przeciąga kolejny miesiąc i pewnie ci, którzy akurat powinni polecieć, zostaną, bo taki Hołownia nie da ich ruszyć* – denerwuje się jeden z platformersów.

Ta „przenoszona” rekonstrukcja, jak to określają nasi rozmówcy, nie spełniła oczekiwań. Nie dała wizerunkowego odbicia po porażce Trzaskowskiego, do tego nawet w samej koalicji wzbudziła irytację – głównie dlatego, że ministry Pełczyńska-Nałęcz i Hennig-Kloska okazały się nie do ruszenia. – *Czasem pasowałoby, żeby Donald uderzył ręką w stół. Mam wrażenie, że kilkanaście lat temu takiej Pełczyńskiej już dawno nie byłoby w rządzie, premier nie pozwalałby, żeby ktoś mu grał na nosie. Tym bardziej że tu pretekst dostał na tacy. Po tej sprawie z KPO od razu powinien ją wyrzucić* – mówi nasz rozmówca z KO. I nie jest w tych obserwacjach odosobniony. – *Kiedyś minister leciał pod byle pretekstem, jak Ćwiąkalski, bo ktoś się powiesił w celi* – przypomina wieloletni członek PO. – *Jedno się od tamtego czasu nie zmieniło: Donald dalej o wszystkim decyduje jednoosobowo. Ma wokół siebie samych przytakiwaczy, którzy boją się przy nim nawet oddychać. Jak mają inne zdanie czy pomysł, to się nie odzywają, bo wolą się nie narażać. A tak na dłuższą metę się nie da.*

Tym bardziej że – jak potwierdzają wszyscy nasi rozmówcy – premiera mocno angażują sprawy międzynarodowe. Może tu liczyć na wsparcie Radosława Sikorskiego, ale jak pokazały ostatnie dni, od polityki zagranicznej i spraw bezpieczeństwa szef rządu nie ma urlopu.

Co innego sprawy partyjne i koalicyjne. – *Brakuje osoby odpowiedzialnej za cały projekt i kreowanie jego wizerunku. Igor* (Ostachowicz – przyp. red.) *dba tylko o wizerunek Donalda, zresztą zawsze tak było. A Adam* (Szłapka – przyp. red.) *został rzecznikiem, żeby się dziennikarze odczepili. Ale co z tego, że zrobi konferencję, będzie coś tłumaczył, napisze jakieś oświadczenie. Tak się dziś nie robi polityki, świat wygląda inaczej. Trzeba znać algorytmy, zalewać treścią YouTube, TikToka, tworzyć wirale* – wylicza jeden z członków PO. – *Nie wystarczy samo administrowanie państwem. Musimy mieć nową strategię, pokazać ludziom, o co nam chodzi* – dodaje jego kolega z Senatu.

I tu docieramy do kolejnego problemu: bo nieprzemyślana akcja z liczeniem głosów i podważaniem wyników wyborów, którą rozkręcił w sieci Roman Giertych, spowodowała, że nawet żelazny elektorat KO (tzw. Silni Razem, ale nie tylko) skłócił się ze sobą, podzielił. Nie wszyscy bowiem dali się omotać Giertychowi, inni zaś – jak słyszymy – ufają mu nawet bardziej niż Tuskowi (co było widać kilka tygodni temu w Pabianicach, kiedy premier próbował studzić emocje i oczekiwania dotyczące ponownego przeliczania głosów). – *Nasi „metalsi” stali się niekontrolowani, mamy z tym problem* – przyznaje jeden z członków zarządu PO. Ale podobnie jak inni nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego Tusk dał zielone światło Giertychowi. – *My te wybory przegraliśmy dwa razy. Najpierw 1 czerwca, potem kolejny raz przez tę akcję z podpisami* – dodaje cytowany wcześniej senator.

Uspokoić nastroje wśród wyborców, którzy przez ostatnie lata mocno angażowali się w sieci w walkę z PiS, wychodzili na manifestacje, kolportowali na swoich kanałach partyjne treści, ma powołanie na ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka. Tu jednak znów widać to samo niebezpieczeństwo: rozbudzenie zbyt dużych oczekiwań może wywołać kolejną falę rozczarowania, jeżeli wyborcy nie zobaczą efektów i skuteczności. (PiS to wie, stąd choćby prowokacje Dariusza Mateckiego – jak ta ostatnia, kiedy wrzucił do sieci swoje zdjęcie: uśmiechnięty, opalony, gdzieś nad wodą pozdrawia Prokuraturę Krajową, dzięki której „może doceniać lato w Polsce”).

Diagnozy i bolączki są więc powszechnie znane, choć – co znamienne – żaden z naszych rozmówców nie chce o nich mówić pod nazwiskiem. Bo polityka to także zakład pracy. A miejsce na liście wyborczej to skuteczny straszak. Niektórzy się pocieszają: – *Wcześniejszych wyborów nie będzie, bo Kaczor jeszcze nie wymyślił, jak rozegrać Konfederację.* Albo: – *PiS i Nawrocki w końcu sami się wyłożą.* Ale koalicja nie może wisieć tylko na takich nadziejach. Wbrew pozorom do wyborów parlamentarnych zostało już niewiele czasu. Wydarzenia typu konsolidacja szeregów – czyli włączenie do PO przy okazji październikowych wewnątrzpartyjnych wyborów Inicjatywy Polskiej i Nowoczesnej, plus ewentualna zmiana nazwy ugrupowania – to ruchy czysto techniczne, dla koneserów. Potrzebna jest przede wszystkim spójna narracja i przekonanie – także własnych ludzi – że to jeszcze walka, a nie już tylko trwanie.

ANNA DĄBROWSKA, MALWINA DZIEDZIC

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 8a4c75bb48



Sfinks na trojańskim koniu

Nawet kryzys wokół KPO i Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz nie zmusił go do zabrania głosu. Szymon Hołownia to największa zagadka rządzącej koalicji. Do końca swojego albo jej.

RAFAŁ KALUKIN

Po zaprzysiężeniu nowego prezydenta zniknął z widoku i podobno regeneruje rozdygotane nerwy na urlopie. Życie w jego partii też zresztą praktycznie zamarło, jeśli nie liczyć krótkiej przerwy na kryzys wokół dotacji z KPO z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz w roli głównej. Ale nawet ta sprawa nie skłoniła Szymona Hołowni do publicznego zabrania głosu w obronie swojej zastępczyni. Przy okazji zawiesił też relacje wewnątrz koalicji; żaden z pozostałych liderów od paru tygodni nie miał z nim kontaktu.

Mogą więc tylko spekulować, w jakiej formie wejdzie w nowy sezon polityczny. Partnerzy mają cichą nadzieję, że po wywołaniu serii koalicyjnych burz na tyle ochłonął, żeby umieć ocenić skutki ostatnich działań. Jego niezła dotąd pozycja w rankingach zaufania poleciała w dół, a całej partii polityczna śmierć zaczyna zaglądać w oczy. Chociaż nie brakuje też obaw, że sierpniową pauzę Hołownia wykorzystał na obmyślanie kolejnych akcji sabotażowych, żeby się odegrać na premierze i pozostałych koalicjantach za ostatnie niepowodzenia.

Problem w tym, że nikt tak naprawdę nie wie, o co dzisiaj chodzi liderowi Polski 2050. Jego osobisty uraz na punkcie Donalda Tuska jest od dawna bezsporny i stale się pogłębia. Ale czy nocne spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim oraz przypisywanie premierowi zamiaru przeprowadzenia „zamachu stanu" to tylko wendeta, czy jednak element politycznego planu? Raczej to pierwsze, bo w roli planisty nie dał się przecież dotąd poznać, przeważnie grając na siebie, żeby zaspokoić próżność oraz potrzebę bycia kimś ważnym. Tylko czy jeszcze mu zależy na karierze polityka?

Jako najsłabszy element koalicji stał się obiektem pisowskich zalotów. Nawet sam prezes publicznie go komplementował, chociaż – jak zaznaczył – „to jest w dalszym ciągu człowiek tamtej strony". Tym bardziej warto nad nim popracować. I takich zabiegów nie brakuje, czego szczególnie kuriozalnym przykładem był artykuł tygodnika „Sieci" o „nowym rozdaniu Hołowni". To typowa w dorobku jej autora fantazja, w której wszelkie prawa grawitacji zostają zawieszone, bo ważne jest tylko propagandowe przesłanie. Musiał się zresztą stokrotnie bawić, snując scenariusz powstania nowej formacji politycznej, którą rzekomo buduje Hołownia z kawałków Polski 2050, PSL, Konfederacji, Razem i Nowej Lewicy, a nawet polityków PiS i PO, dawnych współpracowników Pawła Kukiza i Ryszarda Petru, jak również niedawnych prezydenckich kandydatów: Artura Bartoszewicza, Marka Wocha i Krzysztofa Stanowskiego.

Istne monstrum Frankensteina, ale żarty na bok, bo jedynym celem takich wytworów jest urabianie gruntu pod wyciągnięcie Hołowni i jego ludzi z koalicyjnego układu, żeby obalić rząd Tuska. W jakimś sensie przeczy to jednak

© PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 8a4c75bb48

popularnej po drugiej stronie barykady teorii spiskowej, wedle której konszachty Hołowni z PiS są już na tyle zaawansowane, że zdrada jest nieuchronna.

Z relacji osób, które miały ostatnio z Hołownią osobisty kontakt, najczęściej wyłania się jego rozchwianie, ogólne rozczarowanie polityką, swoista „nieprzysiadalność", alienacja również od własnego środowiska, pogrążanie się w obsesjach. Ta najważniejsza wiąże się z jego rzekomą zdolnością przerzucenia mostu ponad politycznym sporem, co uważa za osobiste posłannictwo. Wchodził z nim do polityki jako kandydat na prezydenta w 2020 r. i z marnym skutkiem próbował odnowić w niedawnej kampanii. Zamiast jednak zrewidować nieskuteczną strategię, za wszelką cenę nadal próbował dowieść jej słuszności po wyborach. Zapewne nie zdając sobie sprawy, że przyjazne gesty PiS nie świadczą o jego wyjątkowości. Przeciwnie – dowodzą, że uchodzi za potencjalnego konia trojańskiego w koalicji 15 października.

Obiektem szczególnego zainteresowania Hołowni są teraz media publiczne. Sam był przecież człowiekiem mediów, a wrażliwość na ten obszar też jest uzasadniona. Nawet zwolennikom tej koalicji coraz trudniej jest bronić obecny prowizoryczny ład medialny, a już szczególnie kiepsko było w ostatniej kampanii prezydenckiej z ustawieniem obiektywnego przekazu. Nie byłoby więc powodu niepokoić się troską Hołowni o publiczne media, gdyby towarzyszył jej rozum polityczny. Co do tego wszyscy wokół mają jednak wątpliwości. Koalicjanci natychmiast więc wyłapali ze słowotoku Hołowni po jego spotkaniu z Karolem Nawrockim (wówczas jeszcze elektem) zapowiedź uchwalenia nowej ustawy medialnej w takim kształcie, „żeby była do zaakceptowania dla prezydenta".

Projekt już zresztą istnieje. Pod okiem poprzedniej ministry kultury Hanny Wróblewskiej przygotował go reprezentujący w resorcie Lewicę Sławomir Rogowski, wcześniej wieloletni menedżer kultury i członek KRRiT. Miała to być tzw. duża ustawa medialna, czyli regulująca cały obszar, z którą rząd chciał wyjść po oczekiwanym zwycięstwie Rafała Trzaskowskiego. Przewiduje m.in. zniesienie abonamentu i trwałe już przejście na finansowanie budżetowe, chociaż politycznie najwrażliwszą kwestią jest tryb wyboru zarządów publicznych mediów.

Czyli w pierwszej kolejności likwidacja ustanowionej przez PiS Rady Mediów Narodowych i ponowne przeniesienie tych uprawnień do KRRiT. Tyle że z „opcją zerową", gdyż po zmianie liczebności rady wygaszone mają zostać kadencje obecnych członków. Nowych mieliby pospołu wybrać Sejm, Senat i prezydent, ale w takich proporcjach, żeby to parlament decydował o większości. Na co Nawrocki oczywiście nigdy się nie zgodzi, a to przecież o jego akceptację zabiega Hołownia.

Ale przy okazji rekonstrukcji Tusk odwołał ministrę Wróblewską i oddał resort Polsce 2050, najpewniej żeby udobruchać coraz bardziej destrukcyjnego marszałka. Tym sposobem trafił on w ręce Marty Cienkowskiej, która jednak uchodzi za figurantkę Hołowni. Premier co prawda zasugerował, że nie upoważnia jej do grzebania w ładzie medialnym, ale Hołownia to zignorował. I jak wynika z naszych informacji, w ub. tygodniu Cienkowska odebrała Rogowskiemu nadzór nad ustawą, przejmując go osobiście. Wygląda więc na to, że marszałek zamierza nadać projektowi bieg legislacyjny. Wbrew premierowi nie da się tego zrobić na ścieżce rządowej, ale jest przecież jeszcze poselska, co otwiera pole do modyfikacji. Niektórym w koalicji zapaliły się zatem czerwone światełka, kiedy przypomnieli sobie słowa Hołowni o potrzebie znalezienia akceptacji u prezydenta.

A co skłoniłoby Nawrockiego do podjęcia gry? Przede wszystkim zwiększenie puli jego nominatów w KRRiT, żeby blokując koalicyjną większość, mógł szantażować Tuska, a może nawet zawiązać medialną koalicję z Polską 2050, która też miałaby w takim scenariuszu przywilej wskazania swojego przedstawiciela w KRRiT. To oczywiście scenariusz skrajnie konfrontacyjny, zapewne prowadzący do rozbicia koalicji. Jednak zafiksowany na własnych celach Hołownia może nie być w stanie przewidzieć konsekwencji własnych działań, co zresztą przytrafia mu się z zadziwiającą regularnością.

Lider Polski 2050 ma jednak niewiele czasu, gdyż w połowie listopada kończy się jego marszałkowanie. Powinien go zastąpić Włodzimierz Czarzasty, który intensywnie przygotowuje się do nowej roli. I podobno ma to być zmiana zasadnicza. Koniec silenia się na bezstronność, nowy marszałek zamierza być twardy, wręcz konfrontacyjny – jak przystało na trudną koabitację z Nawrockim. Pod jego laską rozmiękczająca konflikt ustawa medialna najpewniej trafiłaby więc do zamrażarki. Hołownia musi się zatem pospieszyć, dopóki sam kontroluje proces legislacyjny.

Pytanie, jak daleko sięgają granice cierpliwości premiera i pozostałych koalicjantów. Ostatnio wszyscy już mieli Hołowni powyżej uszu, nie wyłączając nawet niedawnego partnera z Trzeciej Drogi Władysława Kosiniaka-Kamysza. Ludowiec miał nawet ocieplić stosunki z Lewicą i obiecał Czarzastemu, że nie będzie już blokować ustawy o związkach partnerskich. Ma się ona pojawić w Sejmie jesienią i oczywiście jej kariera zakończy się na biurku Nawrockiego, ale przynajmniej zostanie wygaszone jedno ze źródeł wewnętrznego napięcia.

To jednak oznacza dalszą izolację Hołowni, co może uczynić jeszcze bardziej niestabilnym. A nie ma pewności, czy porzucił marzenie o fotelu marszałkowskim do końca kadencji. Niby dawał do zrozumienia, że akceptuje umowę koalicyjną. Ale można przecież zmienić zdanie albo postawić dodatkowe warunki, choćby w sprawie mediów, czy też wysunąć żądania personalne. A kolejnym punktem zapalnym w jego relacji z Tuskiem jest przecież ministra funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, druga osoba w Polsce 2050.

Jej silny charakter i kompetencje budzą respekt, ale skrajną pryncypialnością w narzucaniu własnej woli niemal wszędzie tworzy sobie wrogów. Kiedy zaczynała jako ekspertka w Ośrodku Studiów Wschodnich, nie umiała ułożyć sobie relacji ze współzałożycielem OSW Bartłomiejem Sienkiewiczem (skądinąd też trudnym). Podobnie było z Radosławem Sikorskim, kiedy w randze wiceministry znalazła się później w MSZ (chociaż szef dyplomacji musiał cenić jej kompetencje, skoro powierzył jej ambasadę w Moskwie). Za rządów PiS przez jakiś czas pracowała w Fundacji Batorego i znów to samo: świetna ekspertka, ale dobrze, że już sobie poszła.

Stamtąd trafiła do raczkującego projektu Hołowni, gdzie pracowała nad strategią i programem. W kampanii 2023 r. stanęła na czele sztabu wyborczego, chociaż sama do parlamentu nie kandydowała. Jak tłumaczyła, nie należy mieszać ról. Później wyszło na jaw, że partia wystawiała jej faktury za kampanię, co było uzasadnione, skoro dobrowolnie zrezygnowała ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ z poselskiej diety, ale też nie przysporzyło sympatii w strukturach. Podobnie jak ujawnione ostatnio finansowanie z partyjnej kasy córki pani minister, która prowadziła jej konta społecznościowe.

Jako szefowa resortu funduszy stała się w rządzie najsilniejszą figurą z rozdania Polski 2050. Z ambicjami nie tylko administrowania podległym obszarem, ale też tworzenia szerokich koncepcji (pod jej okiem powstaje średniookresowa strategia rozwojowa państwa) oraz określania ogólnej agendy rządowej (choćby w wewnątrzkoalicyjnych sporach o budownictwo mieszkaniowe). Tyle że ambitna i ekspansywna Pełczyńska-Nałęcz to antyteza idealnego (według Tuska) ministra, który powinien słuchać poleceń i nie wychodzić przed szereg. Konflikt był więc nieuchronny i dzisiaj oboje ponoć odzywają się do siebie wyłącznie w oficjalnych sytuacjach.

Tusk już dawno pozbyłby się problemu, gdyby miał taką możliwość. Hołownia nie tylko jednak nie pozwala zdymisjonować swojej najważniejszej współpracowniczki, ale jeszcze nalega, żeby ją awansować na wicepremierkę. Co było wprost niewyrażonym warunkiem pokojowego ustąpienia z funkcji marszałka. Tusk publicznie nie protestował, ale też jednoznacznie tego nie potwierdził. W sumie jakaś rekompensata Polsce 2050 powinna się należeć, gdyż mniej liczna Lewica ma przecież swojego wicepremiera, a teraz wzbogaci się o marszałka. Tyle że w umowie koalicyjnej przynajmniej oficjalnie nic o tym nie ma. Podobno istnieje jednak tajny protokół, który po marszałkowskiej rotacji daje Hołowni (i tylko jemu!) prawo wejścia do rządu w charakterze wicepremiera.

Czego nie można wykluczyć, bo Pełczyńskiej-Nałęcz właśnie powinęła się noga. Nie zareagowała z wyprzedzeniem, kiedy nadciągał kryzys wizerunkowy w związku z rozdziałem dotacji z KPO dla branży hotelarskiej. Później co prawda próbowała zneutralizować straty, ale Tusk i tak nie szczędził jej kąśliwych uwag i w koalicji panuje przekonanie, że na tym nie poprzestanie. Z perspektywy premiera faktycznie byłoby najlepiej wziąć Hołownię do rządu i związać go ważnym stanowiskiem. Nawet jeśli trudny z niego partner, ale sfrustrowany i bez przydziału mógłby bardziej zaszkodzić. Najbardziej oczywistą furtką byłoby Ministerstwo Kultury, tylko że Hołownia musiałby zapewne wyrzec się ambicji naprawiania z Nawrockim mediów publicznych.

Plany skupionego głównie na sobie polityka ostatecznie może jednak pokrzyżować jego własny klub. Kruszejący jeszcze przed urlopami, kiedy zdążyło odejść dwoje posłów. Reszta udawała entuzjazm po rekonstrukcji, chociaż nie jest tajemnicą, że nocne spotkanie ich szefa z Kaczyńskim wywołało negatywne wibracje. Po czym całe towarzystwo rozjechało się na wakacje, co zazwyczaj sprzyja osobistym refleksjom. Z jakimi przemyśleniami teraz powrócą?

O słabnącym przywództwie Hołowni mówi się od dłuższego czasu, chociaż to oczywiście kwestia stopniowalna, zależna od dalszych kroków marszałka. Rywalizując z Tuskiem, ale bez wyłamywania się z koalicyjnego szyku, pewnie może wciąż liczyć na poparcie. Chociaż dobrze byłoby też zatrzymać fatalny sondażowy trend, bo dzisiaj Polska 2050 zazwyczaj ląduje pod progiem, a w fundowanym przez lidera chaosie trudno wskazać miejsca odbicia. Jednak na poważny flirt z prawicą raczej nie ma przyzwolenia i jeśli wierzyć pogłoskom, jedynie dwójka posłów nadal bezgranicznie ufa instynktowi Hołowni. Jednym z nich jest wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka, który bezskutecznie zabiegał o stanowisko szefa Urzędu Komunikacji Elektronicznej, co by wskazywało, że podchodzi do polityki użytkowo.

Z drugiej strony pojawiły się doniesienia o coraz śmielszych podchodach ludzi Hołowni do KO bądź Lewicy. Niepokój o przyszłość Polski 2050 będzie skłaniać do poszukiwania szalup. To jeszcze nie jest czas poważnych politycznych transferów, ale petentów już teraz można wykorzystywać do poskramiania destrukcyjnych działań Hołowni. Wystarczy Tuskowi ostrzegawczo kogoś wyciągnąć, kiedy marszałek znów zacznie brykać. Co dla reszty klubu będzie kolejnym dowodem, że ta łajba idzie na dno.

Doświadczenie zresztą pokazuje, że wchodzenie w rolę opozycji wewnętrznej nie popłaca, o czym przekonywali się tacy politycy, jak Waldemar Pawlak, Marek Borowski, Janusz Palikot i (dwukrotnie) Jarosław Gowin. Dla ich partii, a jeszcze bardziej wyborców, slalomy ponad podziałem zawsze były nieczytelne i skłaniały do podejrzeń o przerost osobistych ambicji. Szczególnie w realiach ostrej polaryzacji, kiedy nawet drobne szantaże urastają do rangi fundamentalnej zdrady. Trudno więc rozstrzygnąć, kogo Hołownia próbuje uwieść swoją rzekomą zdolnością pogodzenia zwaśnionej Polski. Być może to tylko forma autoterapii na zranionym ego, ale politycznie szkodliwa, gdyż fundując koalicji ustawiczny kryzys, nie pomaga jej wyjść z ogólnych tarapatów. Z drugiej strony jego możliwości chybotania łódką też mogą okazać się ograniczone, kiedy po kolejnej próbie wyląduje na marginesie jako singiel bez znaczenia. Wówczas najważniejszą ofiarą tej infantylnej krucjaty będzie on sam.

RAFAŁ KALUKIN

GALERIA POLITYKI



MAX SKORWIDER

eprasa.pl 8a4c75bb48



© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Andrzej Duda melduje

JAKUB MAJMUREK

Jaki chce pozostać w społecznej pamięci były prezydent? Wizerunek kreowany w jego książce „To ja” raczej się nie przyjmie.

Dlaczego sięgamy po wspomnienia byłych prezydentów i szefów rządów? Najczęściej liczymy na szczerość autorów albo na ich pogłębioną refleksję. Oczekujemy, że niezaangażowany już w bezpośrednią politykę dawny przywódca powie wreszcie, co naprawdę myśli o współpracownikach i konkurentach, że ujawni kulisy kluczowych decyzji albo że dzięki wyjątkowej wiedzy, jaką zawdzięczał zajmowanemu stanowisku, przybliży nam najnowszą historię i kształtujące ją procesy.

Książka „To ja” Andrzeja Dudy nie sprawdza się ani jako szczery wgląd w kulisy dziesięciu lat prezydentury, ani jako pogłębiona refleksja nad okresem 2015–25. Autor bardzo oszczędnie ujawnia fakty, o których nie wiedziałaby zainteresowana polityką opinia publiczna, nie traktuje też tej publikacji jako okazji, by powiedzieć coś, czego jako prezydentowi mówić mu nie wypadało. Próżno też tu szukać próby pogłębionego zrozumienia tego, co stało się w Polsce i na świecie w ostatnich 10 latach. Może dlatego, że Duda pracował nad „To ja” jeszcze jako urzędujący prezydent?

W cieniu Mistrza

Rozpoczyna narrację 27 kwietnia 2025 r. w trakcie konwencji Karola Nawrockiego w Łodzi, gdy udzielił mu oficjalnego poparcia. Nie tylko z tego powodu „To ja” często wygląda jak materiał przygotowany na kampanię wyborczą. Jakby Duda zdawał swojemu politycznemu obozowi raport, mówiąc: „Melduję wykonanie zadania i jestem gotów do kolejnych”. A jednak w tym przydługim „meldunku” jest kilka interesujących wątków.

W powieści „Kandydat” Jakuba Żulczyka obserwujemy Prezydenta (nietrudno zgadnąć, kto był pierwowzorem), który w dniu wyborów mających zadecydować o jego reelekcji wspomina Mistrza, zmarłego w katastrofie lotniczej byłego prezydenta. Mistrz jest bratem bliźniakiem Cara (lidera partii politycznej popierającej Prezydenta), którego z głową państwa łączą bardzo skomplikowane relacje.

W „To ja” Duda nie pozostawia wątpliwości, że Lech Kaczyński był dla niego mistrzem: „Do pasji doprowadza mnie gadanie, że Lech podlegał Jarosławowi, że wykonywał jego polecenia. Bliźniacy znakomicie się uzupełniali. Domeną Jarosława było układanie struktur, twarda polityka partyjna i sprawy wewnętrzne. Lech Kaczyński był natomiast wizjonerem, autorem koncepcji Polski na arenie międzynarodowej” (s. 61).

Duda wielokrotnie daje do zrozumienia, że szacunek do dziedzictwa Lecha, podziw i poczucie zobowiązania wobec pamięci ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ Mistrza są kluczowe dla jego politycznych wyborów. Po pierwszym rozdziale, przedstawiającym konwencję Nawrockiego w Łodzi, drugi wraca do Smoleńska i prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Duda wspomina ich wspólny powrót rządowym samolotem z nieudanej wizyty na Litwie 8 kwietnia 2010 r.:

„Prezydent wydawał się smutny, w refleksyjnym nastroju. Niby z nami rozmawiał, ale wpatrywał się w okno samolotu, za którym panowały ciemności. (...) W pewnym momencie (...) popatrzył na nas i oświadczył.

– Widzicie, mam już swoje lata. Moje pokolenie będzie powoli odchodzić, na waszym spocznie ciężar prowadzenia polskich spraw" (s. 48).

Niewątpliwie jedną ze stawek książki Dudy jest chęć przekonania czytelników, że jako prezydent prowadził polskie sprawy tak, by Lech Kaczyński mógł być z niego dumny. O ile w wielu miejscach w „To ja" Duda stara się brzmieć jak gniewny populista (zwłaszcza gdy grzmi na „prawnicze elity"), o tyle do Lecha Kaczyńskiego odnosi się jak nieśmiały początkujący doktorant do promotora, którego traktuje jak onieśmielający autorytet: „Kiedy wszedłem do jego Kancelarii jako minister, miałem 36 lat, byłem dojrzałym mężczyzną z ugruntowanymi poglądami na świat, ale chłonąłem słowa szefa, tak jak student chłonie słowa (...) ulubionego wykładowcy" (s. 213).

NATO i Trójmorze

Jaka jest najważniejsza lekcja, którą prof. Lech Kaczyński przekazał swojemu ministrowi? Jak relacjonuje Duda, dotyczyła polskiego bezpieczeństwa i relacji ze Stanami Zjednoczonymi:

„Andrzej, Polska leży tu, gdzie leży. Byłoby najlepiej, gdybyśmy mieli silne państwo z potężną armią, ale musimy myśleć realistycznie. Przetrwamy, jeśli wytłumaczymy Stanom, że tu, w Polsce, mają swoje żywotne interesy. Bezpieczni będziemy wtedy, gdy przyjadą tutaj amerykańscy żołnierze i strategiczna infrastruktura militarna, która jest objęta ścisłą tajemnicą. Wtedy USA będą pilnowały tej części świata jak oka w głowie" (s. 213).

Duda przedstawia 10 lat swojej prezydentury jako ciągłą pracę na rzecz realizacji tego „testamentu". Fakt, że pod koniec jego prezydentury w Polsce stacjonuje ponad 10 tys. żołnierzy z USA i z innych państw NATO, że Amerykanie otworzyli bazę tarczy antyrakietowej w Redzikowie i bazę pancerną w Powidzu, były prezydent wyraźnie uznaje za jeden z największych sukcesów swoich dwóch kadencji. Nikt poważny nie będzie kontestował, że obecność żołnierzy NATO w Polsce zwiększa nasze bezpieczeństwo. Wiele innych stwierdzeń prezydenta na temat jego polityki zagranicznej może budzić jednak kontrowersje, a przynajmniej pytania i wątpliwości.

Uderza przede wszystkim to, że w narracji Dudy niemal nie pojawia się Unia Europejska, a już z pewnością nie jako przestrzeń polskiego bezpieczeństwa i rozwoju, gdzie mogą się spełnić cywilizacyjne aspiracje Polaków. Czytając „To ja", można zrozumieć, czemu Duda w zasadzie całkowicie „odpuścił" europejską politykę, zostawiając ją kolejnym rządom. Więcej miejsca niż relacje z Francją, Wielką Brytanią, Włochami i w zasadzie wszystkimi kluczowymi państwami Unii poza Niemcami we wspomnieniach Dudy zajmują jego relacje z przewodniczącym Xi Jinpingiem, przywódcami państw Zatoki Perskiej oraz podróże do afrykańskich stolic.

Jeśli w ogóle pisze o UE, to głównie w dwóch kontekstach: sporu o praworządność, gdy zarzuca „liberalno-lewicowym elitom europejskim" instrumentalizowanie problemu rządów prawa, by ułatwić Donaldowi Tuskowi powrót do władzy, oraz Trójmorza. Prezydent poświęca sporo miejsca tej inicjatywie, tłumaczy, dlaczego kraje z trójkąta Bałtyk–Adriatyk–Morze Czarne powinny współpracować, walcząc o mocniejszą pozycję w Unii, czemu sensowne są łączące je inwestycje infrastrukturalne.

O ile można się zgodzić, że warto inwestować – dajmy na to – w szybkie koleje spinające Wilno z Pragą i Zagrzebiem, to w książce wyraźnie zabrakło refleksji na temat tego, na ile projekt Trójmorza faktycznie okazał się sukcesem gospodarczym i politycznym. Zwłaszcza ten ostatni wymiar jest problematyczny, nie ma dziś w Unii większych podziałów w podejściu do Rosji i wojny w Ukrainie niż między państwami Trójmorza, gdzie z jednej strony mamy Polskę i kraje bałtyckie, z drugiej – skrajnie prorosyjskie rządy w Bratysławie i Budapeszcie.

W „To ja" nie znajdziemy też próby zastanowienia się nad stanem stosunków transatlantyckich, choć temat ten wywołuje niepokój elit politycznych w całej Europie. Duda podkreśla swoją dobrą współpracę ze wszystkimi trzema amerykańskimi prezydentami, którzy sprawowali urząd w trakcie jego dwóch kadencji, ale nie pozostawia wątpliwości, że najbliżej mu do Donalda Trumpa. Do Baracka Obamy ma pretensje o to, że w trakcie szczytu NATO w Warszawie w lipcu 2016 r. podniósł problem kryzysu praworządności, do Joe Bidena – że zniósł sankcje na Nord Stream 2, co faktycznie było błędem administracji demokraty.

Ani kroku wstecz!

Niestety, Duda praktycznie nie odnosi się do wątpliwych czy niepokojących z naszego punktu widzenia wypowiedzi Trumpa w sprawie wojny w Ukrainie czy Rosji Putina. Uwagi na temat obecnego prezydenta USA przepełnia wiara, że mimo „pragmatycznego, biznesowego" podejścia Trump jest przyjacielem Polski, że nigdy nie wyjdziemy źle na bliskim z nim sojuszu. Spotkanie Trump–Putin na Alasce i jego ewentualne konsekwencje mogą w nieprzyjemny sposób zweryfikować nadzieje, jakie Duda pokłada w Trumpie, choć oczywiście dla dobra Polski byłoby najlepiej, gdyby eksprezydent akurat w tej sprawie się nie mylił.

Wojna w Ukrainie zajmuje istotne miejsce w narracji Dudy, ale zabrakło próby syntezy tego wszystkiego, co stało się po 24 lutego 2022 r., refleksji nad możliwymi scenariuszami zakończenia konfliktu i ich skutkami dla Polski. Kwestię Ukrainy zamyka rozdział „Rysy", gdzie autor wylicza swoje pretensje pod adresem prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Chodzi głównie o zachowanie Kijowa w sprawie ukraińskiego pocisku obrony przeciwlotniczej, który spadł w Przewodowie w powiecie hrubieszowskim, zabijając dwie osoby, oraz w sprawie eksportu ukraińskiego zboża. Choć rozdział kończy „pojednawcza" ostatnia wizyta Dudy w Kijowie w czerwcu tego roku, to jego lektura wydaje się potwierdzać obraz wyłaniający się w opartej na rozmowach z ludźmi z otoczenia prezydenta i z rządu Mateusza Morawieckiego książce „Polska na wojnie" Zbigniewa Parafianowicza. Duda najpierw bardzo emocjonalnie zaangażował się w pomoc Ukrainie i w bliską relację z Zełenskim, a następnie, rozczarowany „brakiem wdzięczności" ukraińskich partnerów, w dużej mierze stracił serce do tematu.

eprasa.pl 8a4c75bb48

Żadnej refleksji Duda nie wykazuje też w kwestii sporu o praworządność. Poświęcony temu tematowi rozdział jest chyba najbardziej irytujący w całej książce. Brzmi jak przemówienie na wiecu do własnego elektoratu, którego fanatyzm trzeba utwierdzić okrzykami: „Ani kroku wstecz!".

W narracji prezydenta wszystko jest proste: Platforma Obywatelska próbowała „nielegalnie przejąć Trybunał Konstytucyjny", a on – przyjmując przysięgę od pięciu sędziów wybranych przez Sejm zdominowany już przez Prawo i Sprawiedliwość – temu zapobiegł. Gdyby tego nie zrobił, to wybrani przez PO sędziowie zablokowaliby czołowe reformy PiS – na czele z obniżeniem wieku emerytalnego i 500 plus – otwierając drogę do szybkiego powrotu PO do władzy. Prezydent zarzuca sędziom wybranym pod koniec Sejmu VII kadencji (2011–15) skrajną dyspozycyjność wobec PO, nie przedstawiając żadnych argumentów uzasadniających tę tezę, choćby odwołujących się do ich wcześniejszej linii orzeczniczej.

Spór o reformy Krajowej Rady Sądownictwa czy Sądu Najwyższego nie wynikał według Dudy z tego, że PiS dokonywał niekonstytucyjnych zmian, lecz z tego, że reformy naruszały monopol prawniczej elity sędziowsko-profesorskiej, od lat decydującej o obsadzie takich ciał jak SN. Prezydent tak opisuje jej panowanie:

„Choć konstytucja w procedurze powołania sędziów przewiduje udział tylko dwóch organów – Krajowej Rady Sądownictwa oraz prezydenta – w praktyce od lat listę nazwisk ustalała grupa wpływowych (...) profesorów prawa i sędziów. (...) Mój znajomy, wybitny prawnik, zarzekał się, że na początku lat 90. był przy takiej rozmowie.

– Profesorowie siedzieli sobie przy koniaku i ustalili, że żadna nominacja do jakiegokolwiek z ważniejszych sądów i trybunałów nie nastąpi bez ich aprobaty. (...)

Nie musiał mnie przekonywać" (s. 585).

Oczywiście trudno oczekiwać, by Duda przyznał teraz, że w sporze o praworządność to on się mylił i łamał konstytucję, a rację miała druga strona. Niemniej chciałoby się go spytać, czy naprawdę uważa, że jego polityka w sprawie praworządności okazała się sukcesem, nawet na gruncie jej własnych założeń. Czy nie czuje żadnej odpowiedzialności za to, że mamy dziś problem z sędziami, których status w świetle wyroków europejskich jest wątpliwy? Jak właściwie proponuje go rozwiązać, jak jego obóz planuje zmusić sędziów, by zapomnieli o problemie z neo-KRS i wyrokami europejskich trybunałów?

W „To ja" Duda w zasadzie nie stawia pytań o to, co nie udało się w ciągu ostatniej dekady jego obozowi, co można było zrobić lepiej. Narracja jest bardzo lojalna wobec Prawa i Sprawiedliwości. Były prezydent pisze co prawda o swoich trudnych relacjach z Antonim Macierewiczem i innymi doświadczonymi działaczami PiS, niezdolnymi do końca pogodzić się z tym, że „smarkacz, polityk drugiego szeregu został prezydentem" (s. 143), ale nie wnika w szczegóły.

Przyznaje, że jego relacje z Jarosławem Kaczyńskim bywały napięte, ale odsłania kulisy tylko jednego sporu – o to, kto po wyborach parlamentarnych powinien zostać premierem. Kaczyński, naciskany przez „starą gwardię", miał chcieć wycofać się ze złożonej w kampanii obietnicy, że na czele rządu stanie Beata Szydło, ale Duda po raz pierwszy w ciągu swojej prezydentury postawił się wówczas prezesowi PiS. Były prezydent nie pisze nic o sporach o kierowaną przez Jacka Kurskiego TVP ani o tym, jak PiS zignorował jego inicjatywę „referendum konsultacyjnego" w sprawie zmian konstytucji w 2018 r., choć zwłaszcza w pierwszym przypadku kulisy byłyby niezmiernie ciekawe.

Wieczny czeladnik

Ton żalu wobec PiS pojawia się dopiero wtedy, gdy wspomina o sytuacji po wyborach parlamentarnych w 2023 r. PiS stracił władzę ze względu na brak zdolności koalicyjnej: „To bolało, bo po wyborach prezydenckich w 2020 r. wielokrotnie apelowałem o stworzenie szerokiego porozumienia ponad partyjnymi podziałami – Koalicji Polskich Spraw. Była to idea powstania wspólnego frontu wokół wartości fundamentalnych i interesów narodowych, które powinny jednoczyć, a nie dzielić. W tamtym czasie zwracałem się szczególnie do Polskiego Stronnictwa Ludowego" (s. 605–606).

Czemu nie udało się mu przekonać własnego obozu do takiej koalicji? Czy nie ma to związku z szerszym problemem: że Duda, choć jak nikt inny w PiS sprawdzał się w wyborczym boju, to nie potrafił nigdy użyć prezydentury do tego, by wykroić sobie we własnym obozie mocną pozycję polityczną? Nie umiał nawet wyraźnie wyartykułować swojego pomysłu na prawicowość w ramach Zjednoczonej Prawicy, jak to zrobił Mateusz Morawiecki i jego technokraci czy Zbigniew Ziobro z radykałami z Suwerennej Polski. Zarys „doktryny Dudy" nie pojawia się też w „To ja".

Pojawia się za to nadzieja, że misję Lecha Kaczyńskiego po Dudzie będzie kontynuował Nawrocki. Szykuje się jednak zupełnie inna prezydentura, nawet jeśli pod patronatem Nawrockiego dojdzie w 2027 r. do budowy szerokiej prawicowej koalicji. Już widać, że obecny prezydent ma o wiele bardziej ekspansywny styl i większe polityczne ambicje niż Duda. Można się zastanawiać, czy na tle różnych wyrazistych prezydentów zapatrzony w Lecha Kaczyńskiego Andrzej Duda nie zostanie zapamiętany jako wieczny czeladnik, niezdolny wyjść z cienia Mistrza. Książka Dudy może miejscami jakoś tłumaczy, dlaczego jego urzędowanie wyglądało tak, a nie inaczej, ale w niczym nie zmienia to surowej oceny jego prezydentury.

JAKUB MAJMUREK

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl 8a4c75bb48

Papieroza

Po 20 latach cyfryzowania wymiaru sprawiedliwości są pierwsze jaskółki sukcesu. Każdy dokument powstaje już na komputerze. Co prawda później jest drukowany, ale widać trudno oczekiwać, żeby nowinki przyjmowały się aż tak szybko. Im więcej cyfryzacji, tym więcej papieru na nią potrzeba.

JULIUSZ ĆWIELUCH



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

eprasa.pl 8a4c75bb48

Sprawiedliwość po polsku bywa z papieru. I na papierze się opiera. Choć już lata temu zakończył się proces wyposażania pracowników wymiaru sprawiedliwości w komputery, to dalej można odnieść wrażenie, że w polskich realiach są to takie fajniejsze maszyny do pisania. – *Co z tego, że protokół z przesłuchania piszę na komputerze, skoro później i tak to drukuję i zakładam teczkę. W prokuraturze mają lepiej, bo tam już tworzą cyfrowe akta* – wzdycha policjant z 10-letnim stażem. Wzdycha, bo nie wie, że tam również najpierw tworzą dokument w komputerze, następnie drukują, a dopiero później go skanują. Można się zastanawiać, po co, skoro na końcu są sądy, których systemy nie łączą się z tymi z prokuratury. I tak wszystko trzeba im zawozić w papierze. A setki transkrybentów siedzą i przepisują cyfrowe nagrania z posiedzeń sądów.

W zeszłym roku Najwyższa Izba Kontroli po raz kolejny kompleksowo pochyliła się nad sądownictwem i jego problemami. Wnioski są przygniatające. Nie nastąpiła poprawa w żadnym z wcześniej badanych obszarów. Zaufanie do sądów szoruje po dnie, a terminy spraw odkleiły się od rzeczywistości. – *Średni czas trwania sprawy cywilnej w sądzie rejonowym wzrósł z ok. 9 do 16 miesięcy, w sprawach gospodarczych wzrósł z 11 do 18 miesięcy* – referował Tomasz Sordyl, dyrektor Departamentu Porządku i Bezpieczeństwa Wewnętrznego w NIK. Nie dodał, że na uzasadnienie wyroku można czekać nawet kolejny rok. Standardem jest jeszcze druga instancja. Czyli kolejne lata w sądzie.

Cyfryzacja wydaje się ostatnią deską ratunku i „cudowną bronią" każdego kolejnego szefa resortu. Minister Waldemar Żurek zapowiedział właśnie kolejne 200 mln zł na Cyfrowy Sąd. Pytanie tylko, czy swoimi pomysłami sądom ulży, czy je dobije?

Wyszło szydło z sądu

Sędzia A. (prosi o anonimowość, i tak ma na pieńku z przewodniczącym wydziału) pracę zaczynał w 1999 r. od Sądu Wojskowego. Zbliżał się nowy wiek. Ludzie drżeli o cyfrowego robaka, który miał wykasować dane na wszystkich komputerach świata. Ale w polskim wymiarze sprawiedliwości spali spokojnie, bo komputerów za dużo tam nie było. – *U nas w wydziale już były. Nawet więcej niż chętnych do ich obsługi. Starsi koledzy tego sprzętu nie dotykali. Rządziła hala maszyn, czyli maszynistki* – wspomina.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy kilka lat później dostał delegację do sądu rejonowego i tam komputerów jeszcze nie było. – *Nie dam sobie uciąć głowy, ale kolejny służbowy komputer dostałem albo w 2006, albo 2008 r. Dziś sprzęt ma już każdy, ale ciągle nie każdy z niego korzysta. Sędzia jest niezawisły. Nie możesz go zmusić, zawsze może się wysłużyć sekretarzem* – opowiada sędzia A.

A. jest sędzią 26. rok i w swoim zawodowym życiu nie miał jeszcze kontaktu z cyfrowymi aktami. – *Jak lepiej znam prokuratora, to czasem proszę, żeby mi podesłał cyfrową kopię aktu oskarżenia. Zdarza się, że to 600 zarzutów. Po co to klepać ręcznie, skoro wszystko już od dawna powstaje w komputerach* – tłumaczy. Z elementów cyfrowości w swojej pracy wymienia jeszcze przesłuchania na odległość za pomocą wideołącza. – *Uczciwie mówiąc, są takie zakłady karne, które mają słabe łącze i niewiele słychać, ale ja się wolę przemęczyć i jednak nie ciągnąć skazanego fizycznie, bo koszty konwojowania idą przecież w miliony* – dodaje. I to by było na tyle z cyfryzacji.

– *U nas rządzi papier. Jak przeglądam akta, to połowa okazuje się zwykłymi śmieciami. Jakieś doręczenia, zwrotki, obiegówki, nic niewnoszące do meritum papiery* – dodaje A. Sam zresztą produkuje kolejne. Jako sędzia penitencjarny wydaje postanowienie i zarządzenie. – *To drugie to często mniej więcej dwie linijki tekstu. Ale i tak się drukuje na oddzielnej kartce formatu A4. Kosztami czy ekologią nikt się nie przejmuje. Prawo jest przecież święte* – kpi.

31 lipca 2025 r. Waldemar Żurek, świeżo mianowany minister sprawiedliwości, ogłosił, że owe 200 mln zł na program Cyfrowy Sąd resort otrzyma z funduszy europejskich. I podkreślił, że nie może dochodzić do sytuacji, w której kancelarie prawne są lepiej przygotowane do cyfrowej pracy niż same sądy. To bardzo śmiałe podejście, biorąc pod uwagę, że w polskich sądach zaledwie sześć lat temu, 18 czerwca 2019 r., zarządzeniem ministra sprawiedliwości zniesiono wymóg łączenia akt za pomocą dratwy i szydła.

– *My na szczęście byliśmy reformatorskim zespołem, więc zamiast robić w aktach cztery dziury za pomocą dłuta, wpadliśmy na oddolny pomysł usprawniający. Każdy pokój złożył się na zakup wiertarki* – opowiada Dariusz Kadulski z NSZZ Solidarność Pracowników Sądownictwa i Prokuratury o swojej pracy w Krajowym Rejestrze Sądowym. – *Wiercenie w aktach wiertarką bardzo ułatwiło pracę. Ale nawet wiertła czasem nie dawały rady i się łamały. Po nowe wysłaliśmy do sklepu koleżankę. Zapytana, do czego potrzebuje wiertła, odpowiedziała, że do papieru. Sprzedawca patrzył na nią, jakby postradała zmysły* – dodaje Kadulski.

Mniej więcej tak samo na nowego ministra sprawiedliwości patrzą teraz podlegli mu pracownicy sądownictwa. – *Pomijając fakt, że nie ma jednego systemu, a jest ich kilka, to już dziś infrastruktura komputerowa ledwo zipie. Pracownicy zresztą też, a pracują za pieniądze, za które mało kto się do tej pracy garnie. Zapowiedź cyfryzacji to dla nas jak wyrok, bo kto i jak ma tego dokonać? My nie jesteśmy przeciwnikami cyfryzacji, trzeba ją tylko mądrze przeprowadzić, zapewniając odpowiednie wsparcie kadrowe i finansowe* – mówi Urszula Łobodzińska, asystentka sędziego.

Wirtuoz łapownictwa

Grzechem pierworodnym informatyzacji wymiaru sprawiedliwości po polsku była jej wyspowość. – *Ten proces nigdy nie miał jednego ojca i jednej matki. Policja była w jednym resorcie, sądy i prokuratura w drugim. Każdy miał inne podejście, inne priorytety. No i inne budżety, więc i inne możliwości i ambicje* – wspomina generał Adam Rapacki, wiceminister spraw wewnętrznych i administracji w latach 2007–12.

Ambicją Rapackiego było wprowadzenie Elektronicznego Modułu Procesowego, zwanego potocznie e-posterunkiem, który docelowo miał być bramą do scyfryzowania całego postępowania karnego. Policjanci liczyli po cichu, że na wzór Czechów stworzą narzędzie, z którego to prokuratura będzie zaciągała dane. Co zresztą wydawało się logiczne, skoro to policjanci prowadzą większość postępowań, a prokuratorzy je tylko nadzorują. Jednak w pierwszej kolejności narzędzie miało służyć policji i wyeliminować bezsensowne wklepywanie tych samych danych przez tych samych ludzi w tych samych sprawach.

– *Papierologia i biurokracja były przygniatające. Gdziekolwiek poszedłem, to policjanci się na to skarżyli. A przecież już wtedy dane można było zaciągać automatycznie, kopiować, przesyłać drogą elektroniczną, no i przede wszystkim tak obłędnie wszystkiego nie drukować* – wylicza Rapacki. ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ W 2010 r. e-posterunek poszedł do pilotażu. Uwagi użytkowników były miażdżące. W tym główna – kłopoty z drukowaniem, bo tego ostatniego nie dało się wyeliminować ze względu na zapóźnienie cyfrowe prokuratury. Kolejną ważną wadą systemu był brak intuicyjności, konieczność ręcznego dopisywania kwalifikacji prawnych, gubienie zapisanego tekstu. Albo potrzeba przepisywania całych tekstów, np. tych od prokuratorów nadzorujących śledztwo.

System miał kłopoty z załączaniem plików. W 2011 r. opracowano wersję 2.0 e-posterunku, w której większość tych błędów już wyeliminowano. Niebawem zresztą wyeliminowano cały program, bo okazało się, że informatyzacja w MSWiA skażona była wielopiętrową korupcją. W październiku 2011 r. CBA zatrzymało siedem osób, w tym Andrzeja M., dyrektora Centrum Projektów Informatycznych w resorcie. M. był wirtuozem łapownictwa. – *Po takim ciosie nie dało się obronić niczego, co wyszło spod jego ręki. To cofnęło informatyzację policji o lata* – wspomina gen. Rapacki.

W tym czasie na lidera cyfryzacji wysunęła się prokuratura. Duże zasługi w tym zakresie miał prokurator generalny Zbigniew Ziobro, który nie ukrywał, że prokuratura powinna być najsprawniejszym narzędziem kontroli ze strony państwa. Ziobro nie zaczynał wszystkiego od zera, a całość, jak na sztandarowego eurosceptyka przystało, zbudował za unijne dotacje. Na bazie rozproszonych systemów, które już wcześniej działały w prokuraturze, zaczęto budować jeden spójny. Spójny głównie ze sobą, bo próby połączenia z rozwijanym od 2003 r. Krajowym Systemem Informacyjnym Policji (KSIP) nawet nie podjęto. W grudniu 2021 r. w prokuraturach w całym kraju wdrożony został PROK-SYS – kompleksowy system informatyczny, który pozwalał na niemal w pełni cyfrowy obieg dokumentów.

Początkowo prokuratorzy nie zdawali sobie nawet sprawy, jak potężne narzędzie trafiło w ich ręce. A już w styczniu 2022 r. na forach prokuratorów system dostał łatkę PROK-SYF. Niesłusznie. Ale o tym za chwilę.

Świeże bułeczki

Solą pracy przy większości spraw są dziś billingi telefoniczne. Rocznie do operatorów trafia ok. 200 tys. zapytań z prokuratury w tej sprawie. Przed PROK-SYS korespondencja była wysyłana za pośrednictwem poczty. Załatwienie czegokolwiek liczone było w tygodniach.

Elementem PROK-SYS jest moduł komunikacji z czterema największymi operatorami telefonii komórkowej. – *Co prawda nadal trzeba je wydrukować i przybić okrągłą pieczęć, ale cała procedura zajmuje kilka godzin. Oszczędności na znaczkach, czasie, pracy ludzi czy papierze można liczyć w setkach tysięcy* – mówi Agnieszka Gryszczyńska, dyrektor Departamentu do spraw Cyberprzestępczości i Informatyzacji w Prokuraturze Krajowej. O tym, jak genialnym narzędziem jest PROK-SYS, może opowiadać godzinami.



Materiały dalej się drukuje i skanuje, ale: – *...proszę pamiętać, że to nie są zwykłe obrazki papierowych kart, tylko skany w technologii OCR, czyli Optycznego Rozpoznawania Znaków. Na tych dokumentach można pracować. Można z nich kopiować tekst, można go przeszukiwać po słowach kluczach* – tłumaczy prokurator Gryszczyńska. – *Łatwo jest odnaleźć dokument lub kluczowe dla postępowania informacje – zarówno w konkretnej sprawie, jak i we wszystkich zdigitalizowanych aktach w całej prokuraturze. Jest to kluczowe np. w sprawach z zakresu cyberprzestępczości, gdzie pokrzywdzeni dajmy na to działaniem tego samego fikcyjnego sklepu składają zawiadomienia w całej Polsce. Pozwala nam to lepiej zarządzać informacjami i „łączyć kropki". Za zgodą prowadzącego sprawę inny prokurator może się zapoznać z aktami sprawy prowadzonej na drugim końcu Polski. Kiedyś taka operacja wymagałaby skserowania akt i wysłania ich drogą służbową.*

Tyle że pliki z zaszytym OCR są dużo cięższe niż „płaskie". W efekcie wrzucenie 300 tys. spraw rocznie, bo tyle mniej więcej wysyłają do sądów co roku prokuratorzy, byłoby katastrofą dla systemu sądowego. – *Miałam okazję dostać takie pliki i one na naszych komputerach otwierają się bardzo wolno, są za ciężkie, jest ich za dużo* – dodaje Urszula Łobodzińska, asystentka sędziego i wiceprzewodnicząca związku zawodowego Ad Rem.

Konopielka

Zespół, który w Ministerstwie Sprawiedliwości pracuje nad Cyfrowym Sądem, ma świadomość, że tą drogą cyfryzacji zrobić się nie da. – *Zdajemy sobie sprawę, że należy zapewnić przede wszystkim wydajną infrastrukturę, rozlokowaną w co najmniej kilku sądowych centrach przetwarzania danych, oraz zbudować narzędzia do łatwej pracy z aktami. Dostęp do dokumentów zapewni dedykowana aplikacja, dostępna w przeglądarce internetowej. Pozwoli ona sędziom i urzędnikom sądowym na szybkie i proste wyszukiwanie konkretnego materiału w aktach, które potrafią mieć nawet 100 i więcej tomów* – mówi Grzegorz Polak, dyrektor Departamentu Informatyzacji i Rejestrów Sądowych w Ministerstwie Sprawiedliwości. Tylko że to ten rodzaj projektu, nad którym co prawda trwają prace, ale o których nie mówi się z użyciem dat.

A i w prokuraturze pożegnanie z papierem idzie opornie. Po objęciu władzy przez nową ekipę podsumowano skalę cyfryzacji akt w poszczególnych prokuraturach. O ile w okręgach szło to nieźle, o tyle w terenie bywało już różnie. W lipcu 2024 r. Prokuratura Rejonowa Warszawa-Mokotów zdigitalizowała 600 kart i była w ogonie cyfryzacji, jeśli chodzi o okręg warszawski. Ale w kraju były miejsca, gdzie digitalizowano ich jeszcze mniej. W lipcu tego roku mokotowska prokuratura digitalizowała już 38 tys. 411 kart miesięcznie. Duża w tym zasługa systemu motywacyjnego, który przyjął szef Prokuratury Okręgowej w Warszawie Michał Mistygacz. Dla jednostek, które więcej digitalizowały, szły większe pieniądze na premie.

Mistygacz nie ukrywa, że cyfryzacja jest jego konikiem. – *Zdarzało się,*

eprasa.pl 8a4c75bb48

że kilku prokuratorów prowadziło postępowanie wobec tego samego przestępcy, dajmy na to kradnącego paliwo na stacjach benzynowych. Ten sam człowiek popełniał przestępstwo w różnych miejscach kraju. W efekcie w różnych prokuraturach toczyły się różne postępowania. Dziś system pozwala łączyć te sprawy, eliminuje zbędną, wykonywaną bez sensu pracę – wylicza korzyści prokurator Mistygacz. Tylko w czerwcu tego roku w podległych mu jednostkach połączonych zostało 500 spraw. System pozwala na bezpieczną wymianę korespondencji pomiędzy jednostkami prokuratury w całym kraju. Jeśli są scyfryzowane, to akt nie trzeba wozić. Można wysyłać mniej pism pocztą. Tym bardziej że usługa ta staje się coraz droższa. Ministerstwo Sprawiedliwości zakładało, że za 3,5 roku obsługi pocztowej zapłaci 2,5 mld zł. Poczta Polska, jedyny oferent w tym przetargu, położyła na stole ofertę opiewającą na 4,3 mld zł. Gdyby akta szły cyfrowo, to oszczędności szłyby w ciężkie miliony.



– *Nadal nie ma cyfrowego połączenia pomiędzy nami i policją. Jak również między prokuraturą a sądem. Ale takie połączenie nastąpi. Dlatego musimy jak najszerzej posługiwać się narzędziami cyfrowymi, żeby po połączeniu systemów płynnie to wszystko działało* – tłumaczy prokurator Mistygacz.

Raz, dwa, trzy, list dostaniesz ty

Tyle że sama cyfryzacja sprawy nie załatwia, bo sądy mają nie tylko XIX-wieczne zwyczaje i mentalność, ale również procedury. Z wewnętrznych wyliczeń robionych na potrzeby Ministerstwa Sprawiedliwości wynika, że w sądach te same dane wpisywane są nawet w sześciu różnych miejscach. Same procedury w obrocie aktami powodują, że zanim trafią do rąk sędziego, poddawane są aż 11 czynnościom administracyjnym. Zdarza się, że w tym samym budynku sądu akta przemieszczają się z prędkością kilku dni na jedno piętro.

Państwo dorzuca do systemu miliard za miliardem, a efektów ciągle nie widać. W 2013 r. na funkcjonowanie sądów powszechnych wydano 6,2 mld zł. Dziesięć lat później – 12,4 mld zł. Dwa razy więcej, a jednocześnie sprawy trwają niemal dwa razy dłużej niż 10 lat temu. Od kilku lat każdy kolejny minister sprawiedliwości twierdzi, że remedium na systemową już zapaść sądownictwa będzie cyfryzacja. Tylko że cyfryzacja w polskim sądownictwie od dwóch dekad nie może się przyjąć.

Nawet w księgach wieczystych, które poszły na pierwszy ogień. Proces migracji danych z papierowych ksiąg wieczystych do systemu cyfrowego rozpoczął się 1 lipca 2003 r. Już w grudniu 2014 r. ogłoszono wielki sukces i pełne ucyfrowienie ksiąg wieczystych w postaci systemu EKW (Elektroniczne Księgi Wieczyste). Jakież było zdziwienie ludzi, którzy po wprowadzeniu EKW poszli do notariusza i podpisali umowę na zakup mieszkania, a następnie dowiedzieli się, że do ksiąg wieczystych muszą iść z wersją papierową aktu notarialnego. Na miejscu jeszcze zrobić jakieś ksero. Żeby kilka miesięcy później dostać listem poleconym grubą kopertę z wydrukiem zmian dokonanych w KS. Zatem nawet EKW z perspektywy przeciętnego użytkownika do dziś niewiele ma wspólnego z informatyczną nowoczesnością.

Cyfryzacja kolejnych rejestrów spowodowała, że co prawda powstały bazy danych, ale są rozproszone. – *Do każdej bazy trzeba mieć hasło, które zmienia się co miesiąc albo trzy w zależności od bazy. Haseł nie wolno nam zapisywać, bo takie są procedury bezpieczeństwa. Czasem trzeba się logować po kilka razy dziennie. A jak coś pójdzie nie tak, to tragedia, bo do informatyków jest utrudniony dostęp. Zostali zgrupowani w zespołach przy 11 sądach apelacyjnych* – wylicza Urszula Łobodzińska, asystentka sędziego.

Przełomem i ulgą miała być cyfrowa rejestracja głosu podczas rozpraw cywilnych i wykroczeniowych, czyli wdrożenie tzw. protokołu elektronicznego. Chodziło o wyeliminowanie uciążliwego i dramatycznie wydłużającego procedurę dyktowania przez sędziego tego, co ma się znaleźć w aktach. Element ludzki miał się sprowadzać do przeglądania, czy nagrane protokoły zostały prawidłowo przepisane przez system VoiceLab, który kupiono na potrzeby wartego 140 mln zł projektu.

– *W praktyce 90 proc. przypadków nagranie nie zgadza się z materiałem spisanym. Czasem są to błędy drobne, jakaś interpunkcja, jakieś braki. Najczęściej jednak są to błędy kardynalne. Albo materiał w ogóle nie odzwierciedla nagrania* – opowiada pani Halina (imię zmienione na prośbę rozmówczyni), formalnie zatrudniona na stanowisku inspektora, bo oficjalnie w sądownictwie nie ma transkrybentów. W takiej sytuacji kasuje całość i zaczyna ręczną transkrypcję materiału. – *Najczęściej przyczyną złej transkrypcji jest fatalna jakość nagrania. Zdarza się, że 10-minutowy plik spisuję przez pół dnia, bo muszę wielokrotnie przewijać w tę i z powrotem* – tłumaczy pani Halina. Jakość materiału, który do niej trafia, jest tak zła, że obrobienie pięciu plików dziennie uchodzi za wynik niemal rekordowy. W efekcie jakiś czas temu pracowała na pliku, który miał być zrobiony na sierpień, ale 2023 r. – *Teraz zaległości są już mniejsze, ale i tak liczone w miesiącach* – mówi.

W sądownictwie jest ok. 200 transkrybentów. Spraw są setki tysięcy. – *Nasze szczęście polega na tym, że większość sędziów po prostu tego nie używa. Część dalej po staremu korzysta ze stenografowania, choć niemal już prawie wszystkie sale sądowe wyposażone są w sprzęt do rejestrowania dźwięku i mowy. Ja tam jestem tylko małym, źle opłacanym trybikiem w tej maszynie. Ale ta nasza praca chyba w ogóle nie ma sensu* – mówi z żalem pani Halina. Żal jest tym większy, że sekretarze sądowi dostali ostatnio niezłą podwyżkę, niemal 600 zł na osobę. A transkrybenci zaledwie 140 zł. Pensje są żenująco niskie. Motywacja nie większa. Sama motywacja ministra Żurka może więc nie wystarczyć, żeby uzdrowić ciężko chore sądownictwo.

JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl 8a4c75bb48

Śmierć na baczność

21 lat temu para ludzi spłonęła w samochodzie. Ich śmierć początkowo uznano za samobójstwo. Potem umorzono śledztwo z braku dowodów winy. Czy tajemniczą sprawę da się jeszcze rozwikłać po ponad dwóch dekadach?

ZBIGNIEW BOREK



Spalony samochód, w którym odnaleziono zwłoki Zdzisława i Haliny B. Zdjęcie z archiwum policji.

Zdzisława i Halinę B. rozpoznano po oznaczeniach auta. Zwłoki nie nadawały się do identyfikacji, bo ich objętość skurczyła się do 20 proc. (jak później wyliczy ekspert). Skoda Favorit też była doszczętnie spalona, ale synowie państwa B. i Wiesław (brat Zdzisława) nie mieli wątpliwości, że to ich samochód. Odnaleźli go w lesie w połowie drogi między Włocinem Kolonią, gdzie mieszkali B., a Jamnicami, gdzie nadal mieszka Wiesław. Według synów B. mieli jechać do niego w odwiedziny. To pogranicze Łódzkiego i Wielkopolski, asfaltem 18 km, lasem – tylko 6. Z Wiesławem przedzieramy się w to miejsce przez łachy piasku. Wtedy sypał śnieg. – *Mech poplamiło aluminium wytopione z samochodu, sosna obok osmoliła się do wierzchołka* – wspomina.

Jakimś cudem ta sosna się uchowała. Jest roślejsza, z Jezusem na krzyżu i wyblakłą Marią w ramce wciąż przypomina dramat z 9 lutego 2004 r. Śledztwo w tej sprawie umorzono już dwa razy. Za pierwszym razem uznano, że doszło do nieszczęśliwego wypadku. Za drugim – z braku dowodów winy tych, których wskazało wielkopolskie archiwum X. – *To był rzadko spotykany bestialski mord. W chwili podpalenia ofiary jeszcze żyły* – mówi jego szef podinsp. Robert (nazwiska nie ujawnia ze względów bezpieczeństwa). Prowadził drugie śledztwo. Formalnie zagadka zbrodni pozostaje nierozwikłana, ale on uważa, że jest inaczej.

Ktoś musiał ich podpalić

Ekipa poznańskiego archiwum X (czyli Sekcji Przestępstw Niewykrytych Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji) przyjrzała się temu w 2018 r. Już wstępna analiza wskazywała, że w wersji o nieszczęśliwym wypadku nic się nie klei. Według biegłych z 2004 r. B. sami zaprószyli ogień, miało też dojść do zapłonu bimbru w bagażniku, a to za sprawą uszkodzonego tłumika, który przepalił blachę. Szkopuł w tym, że felerny tłumik nie wytwarza tak wysokiej temperatury, a już na pewno nie błyskawicznie. Z tych samych powodów trudno sobie wyobrazić wielki pożar w aucie w wyniku zaprószenia ognia z papierosa czy zapalniczki. Gdyby jednak tak było, ofiary próbowałyby

eprasa.pl 8a4c75bb48

się wydostać – jak nie drzwiami (były zamknięte), to oknem (było otwarte). To wręcz instynktowne, ale B., jak siedzieli, tak się spalili – niemal „na baczność". I nikt nie weryfikował dlaczego.

Kolejne elementy też nie pasowały do układanki. W organizmie kierowcy i pasażerki wykryto ponad 2 promile alkoholu, ale policjanci z archiwum X ustalili, że Zdzisław nigdy nie siadał za kółko po pijanemu, a Halina była zdeklarowaną przeciwniczką alkoholu. Mieli jechać do Wiesława w odwiedziny, to był jednak poniedziałek, za oknem śnieżyca, a bracia widywali się w weekendy, Halina zaś po rodzinnej scysji nie utrzymywała kontaktów ze szwagrem.

Rodzinna kłótnia

– *Mieliśmy mocne podstawy, żeby zlecić niezależne opinie* – mówi szef archiwum X. Nowy biegły z zakresu pożarnictwa wykazał, że do wywołania pożaru użyto łatwopalnej substancji wysokoenergetycznej, która szybko się rozprzestrzenia i wytwarza wysoką temperaturę. Zapłon nastąpił między przednimi siedzeniami, stamtąd ogień powędrował do tyłu, a to oznacza, że nie doszło ani do eksplozji bimbru w bagażniku, ani do zwarcia instalacji elektrycznej pod maską (jak głosiła jedna z hipotez).

Innymi słowy, ktoś musiał wlać do samochodu benzynę czy inne paliwo i podpalić, a B. nie próbowali uciekać, bo albo byli nieprzytomni, albo związani. Wyjaśniła się też kwestia obecności alkoholu w ich szczątkach. „Jeśli zgon poprzedziła sytuacja stresowa, wysoce prawdopodobna w niniejszym przypadku, to w organizmach Haliny i Zdzisława B. mogło dojść do wytworzenia dużej ilości adrenaliny, co skutkuje przemianą glikogenu w glukozę, stanowiącą substrat do wytwarzania alkoholu w procesach gnilno-fermentacyjnych" – czytamy w opinii Zakładu Medycyny Sądowej.

Drastyczne samobójstwo nie wchodziło w grę, wniosek mógł więc być jeden: doszło do zabójstwa. Pozostało ustalić sprawców. Kluczowa znów była analiza dawnych akt. Policjanci z archiwum X wychwycili w nich niespójne – jak to określają – zachowanie synów B. 17-letni wówczas Witold i 22-letni Piotr przez cały dzień mieli szukać zaginionych rodziców, ale dopiero nazajutrz ich wujek zarządził sprawdzenie leśnego duktu między Włocinem a Jamnicami. Znalazł się też świadek, który opowiedział o kłótni Zdzisława B. z synami.

Mieszkał w sąsiedniej wsi, u Zdzisława B. zamówił palety. Ten etatowo pracował u przewoźnika w mieście, a palety zbijał po godzinach, jak wielu w okolicy nazywanej paletowym zagłębiem. Feralnego dnia pożyczonym od świadka samochodem przywiózł mu z synami zamówione palety, po czym świadek odwiózł ich do domu. Już w samochodzie wybuchła rodzinna kłótnia o pieniądze za to zlecenie. Ojciec wypominał też, że musi płacić rentę ofierze wypadku, który spowodował starszy z synów, bo ten „nie garnie się do roboty". W coraz większej złości – jak zeznał świadek – wchodzili do domu. Było ok. 17, do zgonu państwa B. zostały dwie godziny. Opowieść świadka przeczyła zeznaniom synów. O kłótni nie wspomnieli. Zapewniali, że opili z ojcem udaną transakcję, po czym „rodzice pojechali do wujka" (nie potrafili jednak wyjaśnić, dlaczego mama zimą nie wzięła płaszcza).

Awantura o pieniądze przerodziła się w bijatykę, najpierw ogłuszony został ojciec, potem matka, żeby nie było świadków, a ogień miał zatrzeć ślady zbrodni – taką hipotezę postawili policjanci z archiwum X. W tym czasie braci nie było już w Polsce – wkrótce po śmierci rodziców wyjechali do Anglii i zostali tam na stałe. Gdy młodszy z nich Witold przyleciał do kraju w odwiedziny, został zatrzymany pod zarzutem zabójstwa rodziców. – *Przesłuchiwany plątał się w zeznaniach, opowiadał niestworzone historie* – mówi podinsp. Robert. Na podstawie materiałów zgromadzonych przez jego ekipę prokurator złożył wniosek o trzymiesięczny areszt, ale sąd go odrzucił. Puścił Witolda wolno, ten zaś opuścił Polskę.

Zabójstwa z archiwum X

– *W prowadzonych przez nas śledztwach nie jest tak, że dowody są od razu oczywiste i podane na tacy. Zwykle mamy do czynienia z zagadkami, których rozwikłanie wymaga kreatywnego myślenia i mrówczej pracy. Trzeba wszystko rozebrać na czynniki pierwsze, a potem od nowa poskładać, tyle że niekoniecznie w ten sam sposób jak przed laty* – mówi szef poznańskiego archiwum X. W służbie od 29 lat, zaczynał w prewencji, potem drogówka i robota operacyjna przy kradzieżach z włamaniem, dekadę kierował wydziałem zwalczającym przestępczość samochodową. W tym czasie archiwum X budowało w kraju swoją legendę.

Nazwę wzięło z amerykańskiego serialu „Z archiwum X", który robił furorę w latach 90. Opowiada o nietypowej parze agentów FBI. Fox Mulder i Dana Scully prowadzą tytułową komórkę FBI, do której trafiają sprawy niedające się wyjaśnić na drodze konwencjonalnego rozumowania. Mulder wierzy w istnienie istot pozaziemskich, Scully, początkowo nastawiona sceptycznie, niebawem staje się świadkiem niewytłumaczalnych zjawisk. Nazwa archiwum X przylgnęła do jednostki, która kształtowała się pod koniec lat 90. w Komendzie Wojewódzkiej w Krakowie. Na jej czele stanął Karol Suder, ówczesny zastępca naczelnika wydziału kryminalnego, który z własnej inicjatywy już wcześniej badał niewykryte przestępstwa. Jak opowiadają jego dawni podwładni, do każdego śledztwa zbierał grupę policjantów, a archiwum X pozwoliło mu je usystematyzować i przynosiło „sukcesy wykrywcze".

Na krakowskim archiwum X zaczęły się wzorować inne komendy wojewódzkie. Tworzyły osobne zespoły, delegowały do nich policjantów („nieetatowo", jak to określano), później zaczęły powstawać sekcje i wydziały, a gdy w maju 2023 r. w Biurze Kryminalnym Komendy Głównej Policji powstał Wydział Przestępstw Niewykrytych, nazwa „archiwum X" weszła na stałe do policyjnego obiegu. Obecnie taka jednostka jest w każdym wojewódzkim garnizonie, zatrudnia zwykle po dwóch–trzech policjantów procesowych (rekrutują się spośród dochodzeniowców) i operacyjnych, których jedynym zadaniem jest analiza i selekcja spraw, a potem wykrywanie sprawców najpoważniejszych przestępstw.

Jednym z pierwszych, jakimi zajęło się poznańskie archiwum X, było „zabójstwo z pamiętnika", jak je nazywają dziennikarze. W 2015 r. z Jeziora Lusowskiego w Lusówku (to jedno z ulubionych miejsc rekreacji poznaniaków) wyłowiono ciało 69-letniego Wojciecha L. Prokuratura umorzyła sprawę, uznając, że L., z protezą nogi i zapuszczony zdrowotnie, niechcący wpadł z pomostu wędkarskiego do wody i utonął. Kilka lat później na światło dzienne wypłynął pamiętnik jego pasierba Grzegorza L. Opisał, że został znaleziony jako dziecko na śmietniku i adoptowany, a także to, że ojczym znęcał się nad nim i jego przybraną matką. Relacjonował też (w trzeciej osobie), jak ojczyma zabił. „Wszedł na pomost, spojrzał mu w oczy i mówiąc »to za mnie i mamę«, ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ popchnął go prosto do wody" – czytamy w rozdziale „Zemsta po latach". Szczegóły z pamiętnika pasowały do życiorysu Grzegorza, a miejsce zbrodni przedstawił tak precyzyjnie, że stojąc na pomoście z pamiętnikiem w dłoni, policjanci z archiwum X nie mieli co do tego żadnych wątpliwości. 44-letni wówczas Grzegorz L. został skazany na pięć lat więzienia (wyrok pozostał niski m.in. z powodu błędów proceduralnych w apelacji).

Za to na 25 lat trafił do więzienia Waldemar B., zabójca Zyty Michalskiej. W wielkanocny poniedziałek 1994 r. 20-latka wyszła z domu w Mikuszewie (woj. wielkopolskie) i ślad po niej zaginął. Ciało z urazami głowy znaleziono 800 m od jej miejsca zamieszkania. Przyczyną śmierci było udławienie się piaskiem i liśćmi, sprawca próbował też ofiarę zgwałcić. Gdy doszło do zbrodni, miał 26 lat. Później założył rodzinę, pracował, nie był notowany za przestępstwa, żył jakby nigdy nic się nie stało. Rodzina ofiary czekała na sprawiedliwość 27 lat. Wpadł, gdy archiwum X wznowiło śledztwo. Na podstawie analizy akt doszło do wniosku, że sprawca mieszkał w pobliżu ofiary. Wytypowało 40 mężczyzn, którzy mogli mieć związek z zabójstwem. Najsłabsze alibi miał Waldemar B. Pobrano od niego materiał biologiczny w celu porównania ze śladami zabezpieczonymi na ciele i odzieży zamordowanej. Zgodność była pełna, sprawca się przyznał.

„Zaangażowanie i determinacja funkcjonariuszy policji, którzy ponownie zajęli się sprawą, zabezpieczonymi w tamtym czasie dowodami, pozwoliły na osiągnięcie celu, jaki ma do spełnienia szeroko rozumiany wymiar sprawiedliwości, a mianowicie: wydanie sprawiedliwego wyroku" – mówiła sędzia Urszula Duczmal.

Jedną z najnowszych spraw, zakończoną w połowie sierpnia aktem oskarżenia, jest zabójstwo dwóch starszych kobiet. Sprawczynią okazała się Małgorzata R., 55-letnia dziś wdowa, matka trojga dzieci, dorywczo sprzątaczka. Była znajomą jednej z ofiar i krewną drugiej. Jesienią 2012 r. martwą Janinę W., 81-letnią mieszkankę bloku na osiedlu Wichrowe Wzgórze w Poznaniu, odnalazła rodzina. Janina leżała w kuchni, wokół była kałuża krwi, liczne rany kłute klatki piersiowej, pleców, szyi i obrażenia głowy wskazywały, że została zaatakowana podłużnym tępym narzędziem – najpierw od tyłu. Na stole stały szklanki, policjanci zdjęli odciski palców, ale części nie udało się zidentyfikować. Nikogo też nie udało się dopasować do profilu psychologicznego sprawcy. Wiosną następnego roku w piwnicy willi przy ul. Nałęczowskiej na poznańskich Podolanach wezwana przez sublokatorkę policja znalazła zwłoki 82-letniej Łucji D. zabitej młotkiem i siekierą. Portret psychologiczny nie pomógł także w tym przypadku. Z obu mieszkań ofiar zginęło po tysiąc złotych i drobna biżuteria, śladów włamania nie było. Z braku sprawców jedno i drugie śledztwo zostało umorzone.

Gdy po dekadzie sprawa trafiła do archiwum X, specjalista daktyloskopii odkrył w policyjnej bazie, że odciski ze szklanki w mieszkaniu Janiny W. należały do Małgorzaty R., odsiadującej wyrok za okradanie mieszkań. Okazało się, że Małgorzata R. poprzez swoją mamę znała Janinę W., a Łucja D. była jej ciotką. Co więcej, zachowany w aktach ślad biologiczny na skarpetce Łucji pasował do DNA zabójczyni. Po kilku tygodniach w areszcie Małgorzata R. przyznała się do obu zabójstw, grozi jej dożywocie.

– *Sprawcy zbrodni sprzed lat każdego dnia liczą się z aresztowaniem, nie wiedzą tylko, kiedy nastąpi. Gdy zostają zatrzymani, początkowo zaprzeczają, a w areszcie przychodzi refleksja i przyznają się do winy. Jakby zrzucali z siebie ciężar, który dźwigali od dnia przestępstwa* – opowiada szef poznańskiej Sekcji Przestępstw Niewykrytych.

Krewni dziwnie nie dopytują

Niezależni eksperci mówią tymczasem o zjawisku tzw. aresztów wydobywczych, stosowanych nie po to, by zapobiec mataczeniu czy ucieczce, lecz w celu „wydobycia" przyznania się do winy. Raporty Fundacji Court Watch Polska i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka wskazują, że w Polsce to problem systemowy: sądy uwzględniają ponad 90 proc. wniosków prokuratury o aresztowanie, a wiele aresztów trwa około roku bądź dłużej, choć podstawowy okres kodeksowy to trzy miesiące.

Kontrowersje dotyczą też archiwów X, w tym krakowskiego i jego najgłośniejszej porażki – sprawy zabójstwa Katarzyny Zowady z 1998 r. Zabójca zdjął z jej tułowia skórę i obciął kończyny, zwłoki wrzucił do Wisły. Do pracy nad rozwiązaniem tej sprawy włączono profilera z FBI, eksperta ONZ do spraw tortur, a nawet egzorcystę i jasnowidza. W 2017 r. zatrzymano Roberta J., 52-letniego mieszkańca Krakowa. Uchodził za dziwaka, w jego profilu psychologicznym wskazywano skłonności do nękania kobiet, ustalono, że odwiedzał grób zamordowanej. Dziennikarze (m.in. Monika Góra w książce „Kryptonim Skóra") wskazywali jednak zaniedbania w śledztwie i utrzymywali, że brakuje dowodów winy, są tylko wątłe poszlaki. W 2022 r. Robert J. został skazany na dożywocie, a po dwóch latach uniewinniony na podstawie zasady *in dubio pro reo* (art. 5 Kodeksu postępowania karnego: „Niedające się usunąć wątpliwości rozstrzyga się na korzyść oskarżonego").

Oliwy do ognia dolewały poglądy Bogdana M., który kierował krakowskim archiwum X po przejściu jego twórcy na emeryturę. Nie pokazywał twarzy, nie podawał nazwiska, ale dziennikarzom chętnie opowiadał, że potrafi czytać emocje, podważał też zasadę domniemania niewinności. Stał się policyjnym celebrytą, zarzucano mu jednak, że przez wycieki medialne manipuluje opinią publiczną, nagina fakty i pomija niewygodne dowody, a wiele jego śledztw ma jedynie charakter poszlakowy.

Poszlakowy mógł być też proces w sprawie zabójstwa Zdzisława i Haliny B., ale do niego nie doszło. Po tym, jak poznański sąd odmówił aresztowania ich młodszego syna, w Polsce pojawił się starszy syn. Również był przesłuchiwany, ale prokurator nie postawił mu nawet zarzutów i umorzył całe śledztwo w sprawie zbrodni.

Szefowi archiwum X ta sprawa nie daje spokoju. Zastanawia go to, że obaj bracia zupełnie nie interesowali się śledztwem, choć bez wątpienia ich rodzice zostali zamordowani: – *Krewni ofiar zazwyczaj dociskają śledczych, żeby szukali sprawców.*

Małgorzata, córka ofiar: – *Ani moi bracia, ani ja nie pogodzimy się ze śmiercią rodziców, ale na organach ścigania się zawiedliśmy. Nie będziemy już o nic dopytywać także dlatego, że mamy swoje rodziny i chcemy żyć własnym życiem.*

Małgorzata mieszka w Polsce, ale z dala od rodzinnej wsi. – *Tam wytykają nas palcami, braci nazywają mordercami.* W winę braci nie wierzy.

W poniedziałek 9 lutego 2054 r. nastąpi przedawnienie zbrodni spod Jamnic. Do tego czasu może się pojawić nowa okoliczność dowodowa, jak to określa podinsp. Robert. Jak wszyscy „archiwiści" wyznaje zasadę, że żadna zbrodnia nie może pozostać bezkarna, a żaden morderca nie powinien czuć się bezpiecznie, nawet gdy upływają lata.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 8a4c75bb48

Oddział zamknięty



ILUSTRACJA **IZA KUCHARSKA**

Zwolniono kierowniczkę, pocięły się dwie pacjentki, terapeuci są w szoku. Słynny „Zameczek", czyli Oddział Leczenia Nerwic dla Młodzieży w Zagórzu, może przestać istnieć.

AGNIESZKA SOWA

W ciągu ostatnich miesięcy z ośrodka odeszli terapeuci, pacjentów też coraz mniej – w lipcu zaledwie sześć osób na 23 miejsca. W maju na skutek skarg pacjentów i rodziców odbyły się dwie kontrole – z Ministerstwa Zdrowia i z Biura Rzecznika Praw Pacjenta. Postępowania są w toku.

„Murem za Panią Doktor"

„Zameczek" to miejsce ostatniej szansy dla nastolatków, których dorastanie przypomina piekło. Dla tych, którzy się samookaleczają i próbują sobie odebrać życie. Są już najczęściej po kilku hospitalizacjach na oddziałach zamkniętych po kolejnych próbach samobójczych. Wychodzą z nich otumanieni lekami, które głuszą objawy, ale dalej nie są w stanie funkcjonować „normalnie". Zmagają się z depresją, lękiem, fobiami, nie mogą chodzić do szkoły, rozmawiać, a czasem nawet wstać z łóżka, bo ich choroba przybiera nieoczekiwanie somatyczną twarz.

Jak była pacjentka „Zameczku", która nagle przestała chodzić. Ból w kręgosłupie był tak silny, że nie była w stanie podnieść się z łóżka. Po miesiącu hospitalizacji na oddziale ortopedycznym i wszystkich badaniach, które wykluczyły jakikolwiek problem somatyczny, dostała skierowanie na zamknięty oddział psychiatryczny. Nie było miejsc i tak trafiła do podwarszawskiego Zagórza, gdzie spędziła dwa lata. Dziś studiuje i pracuje, i choć mówi, że pewnie nigdy nie będzie zupełnie zdrowa, obywa się bez leków. Wraz z kilkunastoma innymi byłymi pacjentami przyjechała do Zagórza, gdy dotarła do nich wieść o tym, co się dzieje. Bo „Zameczek" to dla nich drugi dom. Zaraz potem opublikowali dramatyczny apel w mediach społecznościowych: „Pomóż nam uratować miejsce, które uratowało nasze życia!".

Zaczęło się w kwietniu od nieoczekiwanego zwolnienia, z dnia na dzień, lekarki, specjalistki z zakresu psychiatrii Anny Bieniek, która od 16 lat kierowała oddziałem i wdrożyła tu model leczenia, którego fundamentem jest społeczność terapeutyczna. To jedyny taki oddział dla młodzieży w Polsce. Podobną terapię dla młodych dorosłych – na wzór Cassel Hospital w Londynie – od ponad 20 lat z powodzeniem prowadzi się w Krakowie w Szpitalu Klinicznym im. J. Babińskiego w Oddziale Leczenia Zaburzeń Osobowości i Nerwic. Z krakowskimi lekarzami i terapeutami współpracowała dr Bieniek i wykorzystała te doświadczenia w „Zameczku".

W piątek podziękowano pani doktor, a w poniedziałek oddziałem kierowała już psycholożka Natasza Żurowska, nie znając pacjentów ani ich historii. W ciągu następnych kilku tygodni wypowiedzenia złożyli wszyscy zatrudnieni tam psychoterapeuci (pięć osób) oraz superwizorka odpowiedzialna za nadzorowanie przebiegu terapii. A szkolna wychowawczyni ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ prowadząca z młodzieżą zajęcia na oddziale została zwolniona na wniosek nowej kierowniczki. Nie ma oddziałowego psychiatry, jego obowiązki sprawuje dr Jerzy Popek, dyrektor medyczny Mazowieckiego Centrum Neuropsychiatrii (MCN), któremu podlega ośrodek w Zagórzu.

Czy zwolnienie dr Bieniek oznacza rezygnację z dotychczasowego modelu terapii? Nie ma już w Zagórzu nikogo, kto wie, na czym on polega. – *Coś, co sprawdzało się kilkanaście lat temu, nie musi sprawdzać się dziś* – mówi dr Popek. – *Wyrywanie młodego człowieka na dwa lata z jego środowiska jest dla mnie kontrowersyjne i nie zgadza się z modelem psychiatrii środowiskowej.*

– *Kiedy dowiedzieliśmy się, że pani doktor została zwolniona, płakaliśmy wszyscy właściwie przez cały dzień* – wspomina pacjentka, która w lipcu opuściła „Zameczek". – *Bo każdego to dotknęło. To była strata osoby, która chciała dla nas jak najlepiej. I pamiętam, że to był taki bardzo trudny dzień dla nas.* Dwa tygodnie po zwolnieniu kierowniczki odbyło się zakończenie roku szkolnego maturzystów. Zaprosili dr Bieniek. Włożyli koszulki z własnoręcznie wymalowanym napisem „Murem za Panią Doktor".

Zawalił nam się świat

– *Dla tej młodzieży, z różnymi trudnościami emocjonalnymi, z poważnymi zaburzeniami, sytuacja, gdy z dnia na dzień tracą osobę, która koordynuje ich leczenie i ma z nimi bardzo bliski kontakt, to poważna trauma* – uważa psychoterapeuta z dziewięcioletnim stażem w „Zameczku". Oburzeni terapeuci wystosowali do zarządu pismo ze sprzeciwem. Odpowiedziano im, że zmiany są podejmowane dla dobra placówki i pacjentów.

– *Jeżeli terapeuci są w takim głębokim poruszeniu, żeby nie powiedzieć szoku, to strach pomyśleć, co się dzieje z pacjentami* – mówi Danuta Pisarek, superwizorka jednego z terapeutów do niedawna pracujących w „Zameczku". Dyrektora medycznego MCN dr. Jerzego Popka nie było wówczas w pracy – przez dwa miesiące leżał w szpitalu. Dziś twierdzi, że nie było innego wyjścia, bo oddział został bez personelu pielęgniarskiego, który nie chciał współpracować z dr Bieniek. Wolałby jednak, żeby zmiana dokonała się po zakończeniu turnusu pacjentów.

Gdy zwolniono dr Bieniek, pocięły się dwie pacjentki. Obie miały za sobą historię poważnych prób samobójczych i samookaleczeń. Jedna poraniła się bardzo poważnie. Był weekend, a na dyżurach – trzy pielęgniarki i jeden pielęgniarz, którzy od kilku miesięcy pozostawali w konflikcie z kierowniczką. – *Ta grupa nie rozumiała, że na oddziale terapeutycznym trzeba z młodzieżą rozmawiać, uczyć, żeby dyskutowali, brali odpowiedzialność* – wspomina dr Bieniek. – *I to muszą robić także pielęgniarki, bo od godz. 19 i w weekendy tylko one są z pacjentami. A oni chcieli jak na oddziale zamkniętym pacyfikować, rozdawać kary, nagrody.*

Najpierw próbowała przekonać, potem zwróciła się do przełożonej personelu pielęgniarskiego, wreszcie do dyrektora medycznego. W rezultacie grupa pielęgniarska oskarżyła ją o mobbing. – *Wewnętrzne postępowanie wyjaśniające nie potwierdziło, aby w stosunku do skarżących dochodziło do zachowań o charakterze mobbingu* – opowiada prezes zarządu Michał Stelmański. – *Stwierdzono jednak zachowania niewłaściwe ze strony byłej kierowniczki oddziału. Były złośliwości wobec pracowników oraz zła komunikacja. Atmosfera między pracownikami oddziału zrobiła się tak trudna, że już pacjenci zaczęli to odczuwać.*

Potem trzy pacjentki przyniosły lekarce listy, w których opisały, jak przez kilka miesięcy były indywidualnie zapraszane, także w nocy, do dyżurki pielęgniarskiej, wypytywane o to, co mówiły na terapii i o czym rozmawiały z lekarką. Słyszały oskarżenia pod adresem terapeutów i dr Bieniek, że manipulują pacjentami, nie chcą dla nich dobrze. Wśród zapraszanych do dyżurki były obie dziewczyny, które dokonały poważnych samookaleczeń. Trzecia zrezygnowała z terapii i to ona (między innymi) złożyła skargę do Rzecznika Praw Pacjenta.

– *Natychmiast zawiadomiłam o sprawie zarząd, dołączając zaszyfrowane kopie tych listów* – mówi dr Bieniek. Następnego dnia, w piątek, otrzymała wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym.

Pielęgniarki, które nawiązały dziwną relację z trzema pacjentkami, nie zostały zwolnione, chociaż prezes Stelmański przyznaje, że z ich strony „doszło do nieprofesjonalnych zachowań". Dwie z nich dalej pracują (nie pełnią razem dyżurów), ale są „pod szczególną obserwacją i oceną kierownika oddziału". Zwolnić wszystkich nie można było, bo personelu pielęgniarskiego brakuje. Pielęgniarz jest na długim zwolnieniu lekarskim, a czwarta pielęgniarka odeszła z pracy.

W weekend po zwolnieniu dr Bieniek na dyżurach były właśnie te cztery osoby, które manipulowały pacjentkami. – *Nie tylko było nam przykro, że pani doktor już nie będzie z nami, bo to najlepsza pani doktor, jaką znam, a wcześniej byłam na sześciu oddziałach zamkniętych* – mówi była pacjentka. – *Czułam okropny lęk, co się ze mną teraz stanie, i wiem, że inni mieli podobne odczucia. Tak jakby nagle zawalił nam się świat.*

Ich świat to przez rok, półtora roku, a nawet dwa lata (maksymalny czas pobytu w „Zameczku"), społeczność, którą tworzą pacjenci, psychoterapeuci, lekarz, wychowawcy i pielęgniarki. Codziennie spotykają się na tzw. małych społecznościach, dwa razy w tygodniu na dużych, kiedy omawia się wszystkie wspólne sprawy na oddziale. Przekazywanie pacjentom odpowiedzialności za swoje leczenie i otoczenie to fundament procesu terapeutycznego.

– *Wszystko było zawsze konsultowane z nami, czy nam to odpowiada, czy tego chcemy, czy to potrzebne i chyba właśnie to był dla nas największy szok, że kiedy zwolniono panią doktor, a na jej miejsca przyszła nowa kierowniczka oddziału, nie zostaliśmy o tym uprzedzeni* – wspomina pacjentka, która była wówczas w „Zameczku". – *Staraliśmy się poruszać to na społecznościach, bo to także my tworzyliśmy ten oddział.*

Dyktat NFZ

Nowa zarządzająca oddziałem często nie przychodziła na społeczności. W ocenie terapeutów nie próbowała nawet zrozumieć zasad funkcjonowania oddziału – *Nie zainteresowała się choćby systemem punktacji opracowanym przez pacjentów, według którego samorząd nagradzał za dobrze wykonane obowiązki, utrzymanie porządku w pomieszczeniach wspólnych, wyniesienie śmieci czy posprzątanie lodówki* – mówi terapeuta Andrzej Jamiołkowski.

Natasza Żurowska nigdy nie kierowała oddziałem ani nie pracowała w oddziale terapeutycznym. Była zatrudniona w MCN, do którego należy szpital w Zagórzu, w Józefowie na oddziale psychiatrycznym zamkniętym. Jej szefową była dr Lidia Popek, prywatnie żona dr. Jerzego Popka. Żurowska była jej najbliższą współpracowniczką także dlatego, że jest tłumaczką z języka angielskiego. Dobrze zna też francuski. Towarzyszyła więc dr Popek na konferencjach i sympozjach.

– *Na pierwszym spotkaniu z zespołem nowa kierowniczka mówiła o długości*

eprasa.pl 8a4c75bb48

pobytów, że niezgodne z przepisami, że powinien być jeden sześciomiesięczny, ewentualnie drugi, jeśli cały zespół jest za, a na trzeci zgodę musi wyrazić zewnętrzne konsylium – relacjonuje Jamiołkowski.

Długi pobyt oznacza koszty. – *Ale w globalnym rachunku to się bardziej opłaca, bo osoby, które mają głębokie zaburzenia osobowości, fatalnie funkcjonują społecznie i potem generują znacznie większe koszty jako powracający pacjenci szpitali psychiatrycznych czy klienci opieki społecznej* – ocenia Danuta Pisarek. – *A ponieważ nadzorowałam terapie pacjentów „Zameczku", wiem, że to byli młodzi ludzie z głębokimi objawami klinicznymi depresji albo tacy z dużym ryzykiem zaburzeń osobowości. „Zameczek" to było miejsce, do którego można było skierować rodzinę, jeżeli różne metody ambulatoryjnej psychoterapii okazywały się niewystarczające, i dawało szansę na to, że młodzi ludzie będą wchodzić w dorosłe życie bez obciążenia głębokim zaburzeniem.*

Prezes Stelmański tłumaczy, że NFZ po ostatniej kontroli zaczął od nich wymagać likwidowania kolejek: – *Pani minister wprowadziła piramidę świadczeń, ma być jak najwięcej szybko wyleczonych pacjentów, a NFZ zaczął wymagać dostosowania terapii do warunków kontraktu, co przyniesie skrócenie kolejek. Zarząd spółki po konsultacjach z dyrektorem ds. medycznych uważa, że oferując więcej terapii pacjentom, nie dwie, a cztery sesje tygodniowo, uda się te dwuletnie pobyty zredukować do sześciu miesięcy bez szkody dla pacjenta i zaraportować do NFZ, że dostępność tego rodzaju świadczeń znacząco się poprawiła.*

Głową w kaloryfer

– *Problemem ochrony zdrowia psychicznego w większości krajów europejskich było wybieranie systemów, które mają działać krótko i szybko. Czyli wszystkie metody poznawcze, behawioralne. Ich jedyną przewagą jest to, że są tanie. Dają krótkotrwałą poprawę objawową* – mówi Edyta Biernacka, superwizorka z krakowskiego oddziału dla młodych dorosłych.

Dr Popek jest zdania, że pobyty w szpitalu nie muszą być tak długie, psychoterapia powinna być kontynuowana, ale nie na oddziale zamkniętym, w lesie, lecz blisko miejsca zamieszkania. Poza tym czeka kolejka pacjentów, a oddziały terapeutyczne dla młodzieży, takie jak w Zagórzu, są trzy na cały kraj.

Ze świetlicy zniknęły pufy i bujany fotel. – *Podobno dlatego, że mamy wszyscy być równi, więc mamy siedzieć na takich samych krzesłach* – opowiada była pacjentka. – *Ale nie ma takich samych krzeseł dla wszystkich, samorząd i personel mają takie wyścielane, miękkie, przyjemne krzesła.* Pacjenci dostają punkty karne za niepunktualne stawienie się po leki, nawet gdy spóźnili się dosłownie minutę. W „Zameczku" nie ma krat w oknach, zamkniętych drzwi, monitoringu, pasów – zabezpieczeń typowych dla oddziałów zamkniętych. Dotychczas nie trzeba było tu nikogo pacyfikować. Panowała tolerancja, próbowano zrozumieć, opracowywać strategie korektywne.

W ostatnim tygodniu lipca jedna z pacjentek po rozmowie z kierowniczką oddziału waliła mocno głową w kaloryfer. Inna uciekła z oddziału. Znalazł ją wychowawca, gdy szła poboczem drogi.

AGNIESZKA SOWA

REKLAMA



ORGANIZACJA
Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena
Łazienki Królewskie
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca
PARTNER GŁÓWNY
LOTTO
MECENAS
ORLEN
PARTNER
City
Limpol
PATRON MEDIALNY
POLITYKA

eprasa.pl 8a4c75bb48

Bułka na kółkach

Food trucki, budki, lokaliki z fast foodem na wynos, dla małej gastronomii wakacje to czas żniw. Jedni zwiększają zyski, oszukując klientów, inni zgodnie z zasadą: wyróżnij się lub giń.



JOANNA PODGÓRSKA

Odpowiedź na pytanie, z czego składa się burger wołowy, powinna być prosta, ale nie jest. Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych opublikowała właśnie wyniki kontroli food trucków. Gdy przebadano laboratoryjnie pobrane próbki, okazało się np., że burger wołowy może składać się z wieprzowiny i drobiu.

– *Naszą rolą jest pilnowanie, by producenci i sprzedawcy mówili prawdę. Sprawdzamy, czy to, co jest napisane na etykiecie, zgadza się ze stanem faktycznym* – deklaruje Przemysław Rzodkiewicz, dyrektor IJHARS.

W co piątym przebadanym food trucku skład sprzedawanych dań różnił się od deklaracji sprzedawców. Zamiast sera feta (nazwa zastrzeżona) podawano inny serek sałatkowy, zamiast sera owczego – krowi, zamiast cheddara – goudę albo wręcz produkt seropodobny. Inne grzechy to brak informacji o alergenach, używanie wag bez legalizacji, brak dokumentów umożliwiających identyfikację surowców. W prawie 70 proc. skontrolowanych miejsc brakowało poprawnych informacji dla konsumentów.

– *W przypadkach nieprawidłowości nakładamy kary, ale według mnie największy sens ma presja konsumencka* – mówi dyr. Rzodkiewicz. – *Każdy kupujący ma prawo żądać podania składu oferowanych dań, a jeśli sprzedawca odmawia, należy nas zawiadomić. I tak się dzieje, bo ludzie przywiązują coraz większą wagę do jakości, czytają etykiety, są coraz bardziej świadomi.*

Rynek food trucków znów się rozwija. Pandemia go przydusiła, ale teraz jest w trendzie, bo to bardzo wygodna forma sprzedaży – można podążać za klientem; latem przenosić się nad morze, zimą w góry, odwiedzać festiwale, imprezy, świąteczne jarmarki. No i VAT za dania sprzedawane na wynos jest niższy. Inspekcja badała głównie sprzedawane w food truckach hot dogi, burgery i zapiekanki, ale jest w nich już kuchnia z całego świata. Co roku pojawiają się nowości – meksykańskie burritos, tajskie pad thaie, greckie gyrosy, pierożki orientalne, węgierskie langosze, hiszpańskie churrosy, kuchnia peruwiańska, ormiańska, koreańska, gruzińska, japońskie ryżowe kanapki i portugalskie ciasteczka. I coraz więcej dań kuchni polskiej, dla znudzonych egzotyką.

Konkurencja w małej gastronomii jest coraz większa. Sam kebab to 25 tys. punktów wydających 5 mln dań każdego dnia. Żeby przetrwać, trzeba się wyróżniać.

– *Kilkanaście lat temu, żeby utrzymać się na rynku z kebabem czy pizzą, wystarczyło zaopatrywać się w najbliższej hurtowni. Teraz ludzie patrzą na jakość. Liczą się produkty kraftowe, wytwarzane ręcznie, w małych ilościach, na podstawie oryginalnych receptur* – tłumaczy Jacek Dura, który od blisko 20 lat prowadzi w Bydgoszczy pizzerię Jolanta.

Swego czasu Jacek Dura miał w mieście trzy punkty sprzedaży, ale przyszła pandemia, a potem – jak to nazywa – szał ciał z cenami energii i gazu, które poszły do góry o 600 proc. Dziś w Bydgoszczy jest tylko jedna Jolanta. Ale za to serwuje „Petardę", najostrzejszą pizzę w Polsce, a prawdopodobnie także w Europie (Dura ma już na to potwierdzenie z większości krajów, czeka na informacje już tylko z Węgier i Hiszpanii). Nie musiał nawet inwestować

eprasa.pl 8a4c75bb48

w reklamę – „Petarda" rozpropagowała się sama. Gdy na rynku gastronomicznym pojawia się coś „naj", przyciąga to lokalne media, a ich śladem idą foodyoutuberzy (w Bydgoszczy był m.in. Książulo, którego filmy ogląda ponad 2 mln ludzi). A za nimi klienci. Tak to dzisiaj działa. – *Miałem gościa, który przejechał 1800 km, żeby spróbować „Petardy"* – mówi Dura, zaznaczając, że jest to pizza jedynie dla garstki ludzi. Trzeba ją zamawiać wcześniej, bo przygotowuje ją wyłącznie osobiście. Chce też zobaczyć klienta, upewnić się, czy jest pełnoletni, czy jadł wcześniej ostre rzeczy i ostrzec, by nie próbować zjeść więcej niż dwa kawałki, bo to się może źle skończyć. Innym „naj", jakie wymyślił, jest „Bestia" – kwadratowa pizza o wymiarach 60 na 60 cm. Prawdopodobnie największa w Polsce; waży 3 do 4 kg.

Patent „na najostrzejszy" wykorzystują też inni. W Pyskowicach serwowane są najostrzejsze zapiekanki, które też przygotowuje wyłącznie szef, odmierzając ostry sos kroplomierzem. Do konsumpcji dodaje się gumowe rękawiczki i formularz, który trzeba podpisać, że je się na własną odpowiedzialność, znając możliwe skutki uboczne (nudności, wymioty, bóle brzucha, spuchnięte wargi). Haczykiem na klienta jest też challenge – zjesz w ciągu 10 min bez popijania, wygrywasz 100 zł. W warszawskim Killerburgerze popijać można, na konsumpcję jest 15 min, a tym, którym się uda, kasa zwraca pieniądze.

Filmiki youtuberów przyciągają też klientów do miejsc, w których podawane są dania największe. Jest więc największy kebab (Radzionków), o rozmiarach niemowlaka i wadze blisko 3 kg. Są prawie metrowe zapiekanki – Anakonda (Warszawa, Toruń). Jest największy burger (Sopot) z bułką o średnicy 30 cm (tyle, ile średnia pizza), ważący 2,5 kg (w tym kilogram mięsa); choć według niektórych youtuberów jeszcze większy jest w Rzeszowie – 4,5 kg, średnica 35 cm. Można też iść wzwyż – i wsadzić między bułki sześć kotletów.

Okazuje się, że patent „na najdroższe" też może przyciągać. Np. kebabem z wołowiną wagyu, uznawaną za jedno z najbardziej luksusowych mięs na świecie. Punkt, który w Sopocie założył kilka lat temu Szymon Czerwiński, finalista Master Chefa i absolwent paryskiej szkoły kulinarnej Le Cordon Bleu, zasłynął hot dogiem, za który trzeba zapłacić 100 zł (z truflowym majonezem, popcornem z boczku i płatkami jadalnego złota). Cały czas stoi tam kolejka, złoty hot dog sprzedaje się świetnie, ale Czerwiński zdaje sobie sprawę, że działa na zasadzie ciekawostki.

– *Średnia cena naszych produktów to 30–40 zł i one są podstawą. Liczy się jakość produktów. Mamy własnego masarza, sami wypiekamy bułki i nie podajemy niczego, czego sami byśmy nie zjedli ze smakiem* – deklaruje. – *A druga rzecz to nowości. Ludzie ciągle ich szukają, dlatego co roku wprowadzamy coś nowego, by goście mieli poczucie, że coś się dzieje.*

Nie wszystkie nowe trendy przyjmują się na stałe. Jacek Dura, który także próbuje wprowadzać w „Jolancie" nowe dania, przyznaje, że nie zawsze są to eksperymenty udane. Pizza z masłem, czosnkiem i kurczakiem jakoś się nie przyjęła. – Chcemy próbować czegoś, czego jeszcze nie znamy. Swego czasu wybił się trend na bubble gofry, potem na tajskie lody, a teraz na ice cheesecake'i, czyli lodowe serniczki na patyku. Takie trendy zazwyczaj umierają po 2–3 latach – opisuje Dura. – Trwa natomiast moda na kuchnię fusion.

I widać to także w małej gastronomii. Pojawiają się spolszczone wersje kebabów z karkówką, z kiszką, kiełbasą, a nawet z dziczyzną. Wersja śląska Hanys kebab z roladą, kluskami śląskimi i modrą kapustą. Albo wersje ekskluzywne, takie jak w warszawskiej Kurze Warzyw, gdzie szef kuchni z gwiazdką Michelin przygotował kebab, w którym oprócz mięsa drobiowego i warzyw jest śliwkowy chutney z przyprawą piernikową, śnieg truflowy, marynowane pędy sosny i dżem z białej cebuli.

– *Ale równolegle można obserwować trend inny – coraz więcej miejsc reklamuje się hasłem: u nas prosty, zwykły kebab, bez udziwnień* – mówi Dura.

Kebabom, czyli daniu, które najczęściej poza domem jedzą Polacy, przyjrzała się też wspomniana Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych. Na ok. 100 punktów nieprawidłowości wykryto w 89. Były to przede wszystkim braki deklarowanego gatunku mięsa, głównie baraniny, którą udawały wołowina lub kurczak. W innym wypadku wołowina okazała się indykiem z dodatkiem soi, pszenicy, kukurydzy czy żyta. Zrobiła się afera, posypały grzywny. Teraz prowadzący kebabowe punkty jakby rzadziej deklarują, że to, co kręci się na opiekaczu, to mięso wołowo-baranie. Powszechnie za to nadużywane jest określenie „kraftowy". Teoretycznie taki kebab powinien być zrobiony z mięsa od lokalnych rzemieślników. A faktycznie często jest to kupiona w markecie mrożona kula z mielonką. Gdy spojrzeć na etykiety, okazuje się, że jedne kule zawierają 90 proc. czystego mięsa, a inne 50 proc.; reszta to łój, MOM (mięso odkostnione mechanicznie), skóry i wypełniacze. I też się sprzedaje.

Bo to, że konsumenci coraz bardziej zwracają uwagę na jakość i są gotowi za nią płacić, nie oznacza, że zniknął drugi koniec skali. Wielu nadal oczekuje, że kebab będzie tani, duży i nie wnikają, co jest w środku. Youtuber Książulo z ekipą od kilku lat jeździ po Polsce, testując fast foody (choć nie tylko). I trzeba przyznać, że chwilami przypomina to sport ekstremalny. Zapiekanki na mrożonych bułkach, polane pieczarkowym błotem z wiaderka, zapleśniałe pity, skwaśniałe sosy, wysuszone mięso, ścinane wcześniej z szarosinych kul, które dogorywa potem godzinami w bemarach, kurczak medium rare, czyli po prostu na wpół surowy, kebaby „tłuszczaki", kebaby „żylaki", kebaby „warzywniaki", czyli takie, w których homeopatyczna ilość mięsa tonie w morzu kapusty. To także jest polska codzienność gastronomiczna. Zwłaszcza przy dworcach czy w miejscowościach turystycznych, gdzie trudniej o stałego klienta. Obowiązuje raczej zasada: zje, zapłaci, zapomni. Może nawet nie zauważy, że dorsza udaje morszczuk.

Jednak coraz trudniej lekceważyć świadomość konsumentów (kto jeszcze niedawno robiłby problem z podmiany cheddara na goudę) i ignorować nowe trendy. Jednym z tych, które utrzymują się już od dłuższego czasu, jest obecność wegetariańskich czy nawet wegańskich dań. Nie chodzi już tylko o zapiekanki czy falafele. Wegeburgery są obecne w menu największych sieci, stacje Orlenu oferują wegańskie hot dogi. W punktach małej gastronomii pojawiają się coraz częściej potrawy bardziej wymyślne: „skrzydełka" z boczniaków, wegańskie wersje burrito czy tacos, warzywne klopsiki, a nawet wegańska kaszanka. I temu też IJHARS coraz uważniej się przygląda. Tym razem nie chodzi – jak w przypadku burgerów czy kebabów – o zawartość mięsa w mięsie, ale wręcz przeciwnie. ■

© OSKAR NOWAK/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 8a4c75bb48

Bomba kolagenowa

Reklamują go gwiazdy – ma pomagać zachować piękno skóry i włosów. Stosują go sportowcy – stawy wyczynowca są przecież eksploatowane bez litości. Kolagen to najnowszy hit. Pytanie tylko: hit czy kit?

KATARZYNA KACZOROWSKA



© SHUTTERSTOCK

Wystarczy wpisać w wyszukiwarkę słowo „kolagen" i sztuczna inteligencja podpowiada definicję tego białka będącego głównym składnikiem tkanki łącznej w organizmie: to budulec skóry, kości, chrząstek, ścięgien, więzadeł, naczyń krwionośnych i innych tkanek, w sumie ok. 30 proc. wszystkich białek w ciele. Czytelnik dowie się, że są trzy typy kolagenu, wyszukiwarka podrzuci mu też reklamy konkretnych preparatów i podpowie najczęściej zadawane pytania. Chcemy się dowiedzieć, co nam daje przyjmowanie kolagenu, po czym poznać, że brakuje go w organizmie i kto właściwie powinien go brać. Okazuje się też, że kolagen może być „czysty", z dodatkiem witamin, kwasu hialuronowego, mikroelementów, np. krzemu. Może być rybi, wieprzowy, wołowy, drobiowy lub z błony skorupki jajka, więc zdecydowanie nie jest to produkt wegański. Do picia – w płynie lub w proszku. Ale też w tabletkach. W opakowaniach mniejszych, większych, w saszetkach, butelkach, w postaci jednorazowych shotów. Ceny? Od 2 zł za jeden shot do blisko 400 zł za puszkę 450 g proszku na 30 dni.

Moda i biznes?

Dermatolog i specjalistka medycyny estetycznej dr Katarzyna Osipowicz przyznaje, że wzrost zainteresowania suplementacją kolagenu to zjawisko obserwowane globalnie – szczególnie u osób aktywnych fizycznie, takich jak biegacze, oraz wśród pacjentów i konsumentów dbających o kondycję skóry. – *Moda ta przyszła do Europy i USA głównie z krajów Azji Wschodniej, zwłaszcza Japonii i Korei, gdzie kolagen od lat stanowi integralny składnik suplementów diety, kosmetyków i żywności funkcjonalnej. Aktualne dane z badań randomizowanych i przeglądów*

eprasa.pl 8a4c75bb48

systematycznych potwierdzają korzystny wpływ suplementacji hydrolizatem kolagenu na poprawę elastyczności i nawilżenia skóry – mówi lekarka, dodając, że kolagen nie jest panaceum na wszystko i choć ma szerokie zastosowanie, nie jest cudownym lekiem. Najlepiej działa jako element szerszej profilaktyki zdrowotnej – uzupełnienie zbilansowanej diety, regularnej aktywności fizycznej i odpowiedniej pielęgnacji.

Dr Paweł Szewczyk, dietetyk z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, związany też z fundacją Badamy Suplementy, pytany o kolagen, odpowiada bez wahania: – *Pięć lat temu powiedziałbym, że kolagen to wydmuszka marketingowa. Nie było za wiele doniesień na ten temat. Był sprzedawany jako substancja, która w cudowny sposób miała się dostawać do stawów, by regenerować w nich chrząstkę. I nikt do końca nawet nie wyjaśniał, jak to się miało dziać.*

Jeszcze kilka lat temu, jak tłumaczy Szewczyk, poza sferą beauty panował więc pogląd, że przyjmowanie kolagenu niewiele daje. Owszem, prowadzono badania, ich wyniki były obiecujące, ale np. dietetycy podchodzili do nich nieufnie – sponsorowały je firmy, które zajmowały się dystrybucją kolagenu na rynku.

Na zmarszczki i stawy

– *Ale w ciągu ostatnich pięciu lat pojawiło się dużo niezależnych badań. Jest np. badanie kubatury zmarszczek, a więc porównanie ich głębokości przed i po suplementacji kolagenem przez minimum 8–12 tygodni. I tu naprawdę widać poprawę, czyli zmniejszoną głębokość tych zmarszczek* – przyznaje dietetyk, a lekarka chętnie udostępnia fachową bibliografię z naukowymi artykułami, potwierdzającymi skuteczność działania kolagenu. Szewczyk, który prywatnie uprawia sport i jego konikiem jest dietetyka personalizowana pod wymagania sportowców i osób aktywnych, dodaje, że są też badania dotyczące wpływu kolagenu na kondycję stawów – badano np. *in vitro* model tkankowy tkanki chrzęstnej oraz *in vivo* osób aktywnych fizycznie.

– *Podawano im 15 g żelatyny z dawką witaminy C, czyli np. kawałkiem cytryny czy papryki, dla usprawnienia syntezy endogennego kolagenu w organizmie. I to przed rozpoczęciem aktywności. Badani po jakimś czasie mieli za zadanie skakać na skakance. Wysiłek argumentowano tym, że tkanka chrzęstna jest naturalnie bardzo słabo ukrwiona, a tym samym mało dostępna dla aminokwasów. Aktywność fizyczna zaś poprawia cyrkulację krwi i zwiększa dostępność tych aminokwasów* – wyjaśnia badacz związany z fundacją Badamy Suplementy, tłumacząc od razu, że w tym konkretnym badaniu zaobserwowano zwiększenie produkcji preprokolagenu, z którego powstaje w organizmie prokolagen, a potem właściwy kolagen. I uzupełnia: – *To nie tak, że ochotników nagle jak za dotknięciem ręki przestały boleć kolana, ale stwierdzono w badaniu zwiększenie produkcji endogennego kolagenu w okolicy stawowej.*

Paweł Szewczyk zastrzega jednak, że wiara w cudowne działanie kolagenu na stawy to ślepa uliczka, bo deficyty w aparacie ruchu – jak mówi fachowo – powinni ocenić fizjoterapeuta z lekarzem rehabilitacji.

– *Przykurcze? Nieprawidłowy tok chodu? Kolagen na wywołane nimi bóle nie pomoże, bo nie działa przeciwbólowo. Może ułatwić powrót do sprawności, np. przy naderwanej torebce stawowej, kiedy jesteśmy w trakcie rehabilitacji* – tłumaczy Paweł Szewczyk i jednocześnie podpowiada, że maniacy biegania prewencyjnie kolagen jeść mogą, ale i tak nie zastąpi im prawidłowej rozgrzewki, techniki biegu, odpowiedniego spożycia białka, obuwia itd.

Sprawa dla prokuratora

Anna z rozbawieniem przyznaje, że farmaceutka z apteki, w której systematycznie kupuje witaminy i leki przeciwbólowe, jakiś czas temu zaproponowała jej kolagen. Jeden był na stawy, drugi dla urody. Wzięła oba.

– *Trochę czuć było rybę, która przebijała się przez pomarańczowy smak. Wypiłam obie butelki. Zmarszczki nie zniknęły, stawy są w takim stanie, w jakim były. Może gdybym piła tego więcej?* – głośno myśli 50-letnia nauczycielka akademicka i po chwili przyznaje, że moda na kolagen wydrenowała jej portfel na ponad 2 tys. zł. A może na 3? Skończyło się telefonicznymi awanturami, straszeniem sądem, egzekucją komorniczą i czym się jeszcze da.

Któregoś dnia Anna, siedząc przed komputerem w pracy i przygotowując się do konsultacji, odebrała telefon. Jakiś młody miły głos wyjaśnił, że reprezentuje innowacyjną polską firmę biotechnologiczną, która w ramach innowacyjnego projektu dofinansowanego przez Unię Europejską i Ministerstwo Zdrowia testuje kolagen. Kiedy dała się wciągnąć w rozmowę, nieopatrznie powiedziała, że ma 50 lat. A potem przyznała, że czasem bolą ją kolana. I usłyszała, że problemy ze stawami to plaga współczesnego świata, że z wiekiem odczuwa je każdy, ale można im skutecznie zaradzić. – *I tak zgodziłam się na udział w specjalnym programie, dotowanym przez Unię i wspierającym polską innowację. Darmowym, bo dofinansowanym* – Anna wzdycha, bo za tydzień odebrała kolejny telefon. Tym razem przyjdzie do niej aktywator kolagenu. Za ponad 300 zł. A potem telefony dzwoniły co rusz.

– *Nerwy mi w końcu puściły. Byłam wściekła na siebie za brak uwagi i asertywności. Darłam się do słuchawki, że mają mnie wykreślić z tego cholernego programu. Usłyszałam, że dostanę ostatnią przesyłkę i właśnie mnie wykreślają. Machnęłam ręką, dobra, ostatni raz i zapominam o nich. Ale znowu się odezwali. Dyrektor, a przynajmniej tak się przedstawił, podał też imię i nazwisko, straszył mnie sądem, karami za zerwanie udziału w dotowanym programie. Koledzy z katedry śmiali się, jak widzieli kuriera i kolejne paczuszki w czarnej folii. Pytali o dilera…* – Anna w końcu przestała odbierać kolejne telefony i kolejne przesyłki z innowacyjnym kolagenem. I sprawdziła firmę, która ją naciągała.

Znalazła na Facebooku profil poświęcony naciągaczom. A tam komentarze. Pod nazwiskami.

Pani Olga: „Moją mamę też oszukali. Jest więcej ludzi oszukanych przez tą firmę, którzy stracili po kilka tysięcy, może by tak zrobić pozew zbiorowy albo ich zgłosić do różnych stacji telewizyjnych, może ktoś się zainteresuje? Oni stosują metodę zastraszania i wpędzania w poczucie winy, że niby »oni tracą, bo to niby dofinansowanie«. Ten facet krzyczał na moją mamę przez telefon. Bezczelni! Są agresywni w podejściu. Nie odpuszczajcie im!".

Pani Ewa: „Mój wujek też dał się nabrać. Dzwoniłam do UOKiK i na policję, niewiele można zrobić, ale wpadłam na inny pomysł. Zgłosiłam do badania ten suplement na stronie https://www.badamysuplementy.pl/#!/zglos. Wujek otrzymał ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ Ultimoflex i taki zgłosiłam. Oni badają te preparaty, które uzyskają najwięcej zgłoszeń. Także jakbyśmy wszyscy zgłosili, to może go przebadają i gdyby okazało się, że skład jest niezgodny z tym, co na opakowaniu (np. mąka, bo tania), to można by ich od tej strony ścignąć. ps. W UOKIK mi powiedzieli, że tej pierwszej przesyłki nie ma jak zwrócić, bo to podpada pod towary medyczne, ale na pewno nie trzeba odbierać kolejnych, zgodnie z paragrafem 38 ust. 1 pt 5.".

Katty: „Mnie też naciągnęli, a twierdzili za pierwszym razem, że to za darmo i państwo refunduje, przysłali mi to, a potem drugi raz musiałam zapłacić i trzeci, w końcu nie wytrzymałam i powiedziałam do babki, że ja tego nie chcę i nie potrzebuję, to zaczęła być niemiła i mnie straszyć, że będę musiała karę zapłacić i że ma dość, bo chce zamknąć moją kartę, a ja do niej, że niech zamknie i da mi spokój. A dziś rzekomo dzwonił do mnie dyrektor i twierdził, że muszę wziąć 4 część i to już koniec, od 2023 do mnie dzwonią, dużo telefonów blokuję, ale mam ich dość. Przesyłka ma przyjść, ale nie odbiorę, bo byłam u prawnika i mi doradził, że można zgłosić do urzędu obrony danych osobowych i na policję. Nie odbieram żadnych już obcych numerów. Oszuści i bezkarnie zgarniają kasę, a my dajemy się nabrać".

Innowacyjną polską firmę oferującą w „darmowym" programie innowacyjny polski kolagen sprawdziła POLITYKA. To Centrum Zdrowia Wysokiński Spółka Jawna, a preparat sprzedaje spółka UNICTA, mieszcząca się pod tym samym warszawskim adresem, co Centrum.

Okazuje się, że prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów już na początku kwietnia 2024 r. złożył do Prokuratury Rejonowej Warszawa-Wola zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa z art. 286 par. 1 Kodeksu karnego (oszustwo) przez Centrum Zdrowia Wysokiński Sp. j. z siedzibą w Warszawie, działające w porozumieniu z innymi podmiotami, m.in. z Maluro Sp. z o.o. W wyniku kolejnych sygnałów konsumenckich 2 kwietnia 2025 r. prezes UOKiK przekazał prokuraturze informację, że – zgodnie z najnowszą skargą – sprzedaż suplementów diety produkowanych przez Centrum Zdrowia Wysokiński prowadzona jest obecnie przez Unicta Sp. z o.o.

„Prezes Urzędu sukcesywnie przekazuje do prokuratury nowe skargi i informacje dotyczące działalności tych firm. Podejmujemy także działania monitujące i przypominające prokuraturze o sprawie. Liczymy, że postępowanie przyczyni się do wyjaśnienia mechanizmów stosowanych wobec poszkodowanych oraz – w razie potrzeby – do wyciągnięcia odpowiednich konsekwencji wobec osób odpowiedzialnych za działania przestępcze".

A prokuratura potwierdziła, że postanowienie zostało wszczęte 19 lipca 2024 r., jest w toku, są przesłuchiwani świadkowie oraz analizowana jest dokumentacja zgromadzona w toku postępowania.

Cena mody?

Paweł Szewczyk przyznaje, że szczególnie wśród starszych osób popularna jest galaretka z kurzych łapek – na stawy właśnie. Ale gdyby człowiek miał jej zjeść tyle, by rzeczywiście zadziałała, to chyba sam by się stał taką galaretką... – *Kupiłbym żelatynę wieprzową, spożywczą, bo wychodzi najkorzystniej cenowo. 30–35 zł za kilogram. Nie ma tak taniego kolagenu na rynku. I oczywiście da się kupić kolagen za ok. 30–40 zł za pół kilo, tyle tylko, że nie będzie to produkt reklamowany przez influencera, aktorkę, sportowca. Ale to już jest kwestia decyzji, czy chcemy płacić za marketing* – mówi Szewczyk. I podkreśla, że z fundacją Badamy Suplementy sprawdzali modne produkty i odkryli, że może go mieć każdy. Pod swoją marką, ze swoją etykietą. Wystarczy zamówić 1 tys. opakowań. Okazuje się bowiem, że suplementów nie trzeba nigdzie rejestrować, ubiegać się o zgody itd. Wystarczy zgłosić chęć sprzedaży produktu w Polsce. I już. – *W przypadku kolagenu zarabia się na marży. Ostatnio jedna ze studentek nawet mnie pytała o ceny, bo miała shoty kolagenowe, kupowane w abonamencie co miesiąc za 300 czy 400 zł. Składowo były fajne, zawierały 10 g kolagenu, ale biorąc pod uwagę cenę, powinno to być 300 lub 400 g. Przebitka naprawdę robi wrażenie* – przyznaje Szewczyk.

> Kolagen to nie tylko suplement „dla skóry". Ma też zastosowanie medyczne, np. w leczeniu ran, i dietetyczne, szczególnie u osób starszych.

Dr Katarzyna Osipowicz mówi jednak, by pamiętać, że kolagen to nie tylko suplement „dla skóry". Ma również zastosowanie *stricte* medyczne i dietetyczne. W medycynie kolagenowe opatrunki, membrany i implanty stosowane są w leczeniu trudno gojących się ran, takich jak owrzodzenia cukrzycowe, oparzenia czy odleżyny. Znajduje również zastosowanie jako wsparcie w gojeniu różnych tkanek zarówno w ortopedii, jak i stomatologii – pomaga w regeneracji kości, dziąseł i tkanek miękkich. W dietoterapii może stanowić element żywienia medycznego, szczególnie u osób starszych, po zabiegach operacyjnych, z chorobami zwyrodnieniowymi stawów, sarkopenią (utratą masy mięśniowej) lub przewlekłym stanem zapalnym.

– *Dzięki swojej wysokiej biodostępności i dobrej tolerancji kolagen hydrolizowany jest łatwostrawnym i wartościowym źródłem białka. Ale przyjmowanie zbyt dużych dawek kolagenu nie poprawia proporcjonalnie efektów – organizm wykorzystuje jedynie określoną ilość aminokwasów do syntezy własnych białek, a nadmiar jest katabolizowany i wydalany* – tłumaczy dr Osipowicz, która na nieuchronne pytanie w temacie kolagenu – czy musimy się starzeć – odpowiada, że to naturalny proces biologiczny, którego nie da się całkowicie zatrzymać.

– *Mamy jednak realny wpływ na to, jak będziemy się starzeć. Styl życia, zbilansowana dieta, regularna aktywność fizyczna, regenerujący sen i profilaktyka zdrowotna mogą znacząco opóźnić pojawienie się objawów starzenia – zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych. Starzenie się nie musi oznaczać utraty energii, zdrowia ani sprawczości – może być świadomym, aktywnym i satysfakcjonującym etapem życia, na który mamy wpływ każdego dnia* – podkreśla dr Osipowicz.

Czy kolagen może nas w tym wspierać? Wychodzi na to, że mądrze stosowany tak. Ze znajomością składu. I ceny.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 8a4c75bb48

Polska jest cool

Włosi i Hiszpanie widzą w nas chłodniejszą alternatywę dla południa Europy, Litwini i Czesi bliski kulturowo kraj, który zaczęli odkrywać, a dla Ukraińców staliśmy się miejscem spotkań rodzin rozsianych po świecie. Szkoda, że sami nie mamy żadnej strategii rozwoju turystyki.



Arabskie turystki nad Morskim Okiem

© MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

CEZARY KOWANDA

Tegoroczny lipiec został powszechnie uznany za zimny i kapryśny. Przeczą temu twarde dane Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej: temperatura w całej Polsce była bardzo zbliżona do średniej z lat 1991–2020 (to obecnie punkt odniesienia dla analiz klimatycznych), a nad samym morzem okazała się nawet nieco wyższa. Łączna suma opadów też nie odbiegała znacząco od wieloletniej średniej. Jednak kilka ostatnich, wyjątkowo upalnych lat sprawiło, że branża turystyczna, zwłaszcza nad Bałtykiem, określa tegoroczny lipiec jako rozczarowujący. Z jednym wyjątkiem. O ile bowiem wielu polskich turystów odwoływało rezerwacje lub przekładało ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ je na sierpień, o tyle przybysze z innych krajów takich problemów hotelarzom nie sprawiali. Zwłaszcza ci, którzy patrzą na nas jako na alternatywę dla południowej Europy walczącej z kolejnymi falami upałów.

Trend coolcation (skrzyżowanie słów *cool* – chłodny i *vacation* – wakacje) kojarzy się przede wszystkim z letnimi wyjazdami do Skandynawii. Okazuje się jednak, że i my na nim już korzystamy. – *Dwie największe grupy, które traktują Polskę jako chłodniejszą alternatywę dla spędzania wakacji u siebie, to Włosi i Hiszpanie. Oni są zmęczeni swoimi upałami, a nasza pogoda jest dla nich komfortowa do zwiedzania. Wystarczy zresztą obserwować, jak często język włoski i hiszpański słychać w pociągach Pendolino łączących Trójmiasto i Kraków. Podróżni z tych krajów często spędzają tydzień nad naszym morzem i kolejny na południu, także w górach. Odpoczywają w sposób aktywny. Nie oczekują wody w Bałtyku tak ciepłej jak w Morzu Śródziemnym. Przyjeżdżają do nas przede wszystkim po to, żeby jak najwięcej zobaczyć* – mówi Tomasz Kozioł, ekspert ds. nieruchomości premium w polskich kurortach, partner zarządzający Marshall Real Estate.

Przez lata wydawało się, że turystów z południowej Europy ciężko przyciągnąć do Polski, zwłaszcza w wakacje, skoro są przyzwyczajeni do spędzania ich u siebie. To się jednak zmienia, nie tylko z powodu coraz gorętszego lata. – *Sama pogoda by nie wystarczyła, gdyby nie wielkie zmiany w naszym kraju. Goście z zagranicy wybierają raczej klasyczne apartamenty, których bardzo przybyło u nas w ostatnich latach, niż pokoje hotelowe. Doceniają świetną, nowoczesną infrastrukturę i obsługę, która często jest już u nas lepsza niż u nich. Do tego ceny w Polsce są wciąż nieco niższe. Ci, którzy byli już nad morzem i w górach, odkrywają też Mazury. Chwalą, polecają znajomym i sami wracają* – wyjaśnia Tomasz Kozioł. Z punktu widzenia takich turystów najlepsze, co może się zdarzyć, to tegoroczny lipiec. Oni nie potrzebują upałów, tylko pragną przerwy od nich.

Zagraniczni turyści do Polski przyjeżdżają coraz chętniej, ale wciąż nie wróciliśmy do poziomu sprzed pandemii. Jak wynika z danych Głównego Urzędu Statystycznego, w ubiegłym roku Polskę odwiedziło 19,7 mln osób z innych krajów, spędzając u nas co najmniej jedną noc. GUS próbuje również określić, jaki jest powód takich przyjazdów. Według jego analiz 4,8 mln przyjezdnych było u nas głównie w celach turystycznych. To więcej niż w 2023 r. (wzrost aż o 20 proc.), ale wciąż jeszcze mniej niż w 2019, czyli ostatnim przedpandemicznym roku. Wówczas takich turystów było ponad 6 mln. Wprawdzie załamanie z powodu covidu przeżył cały świat, ale my musieliśmy zaraz potem mierzyć się z kolejnym problemem. Atak Rosji na Ukrainę zaniepokoił wielu turystów i z pewnością wpłynął na decyzje niektórych z nich – postanowili omijać nasz region. Według branży turystycznej obawy o bezpieczeństwo są obecnie rzadkim tematem rozmów z zagranicznymi gośćmi. Nie wiadomo jednak, ilu z tego powodu wciąż odkłada przyjazd do Polski.

Geopolityczne niepokoje to zresztą stałe zagrożenie dla wszystkich, którzy żyją z zagranicznych turystów. Pokazuje to sytuacja na Podhalu. – *Po pandemii wrócili do nas turyści z Izraela. Niestety, teraz ich znowu nie ma z powodu sytuacji na Bliskim Wschodzie. Mieliśmy też ogromny wzrost liczby amerykańskich Żydów, którzy często wybierali nasz region na spotkania rodzinne. Ten ruch też znacznie zmalał. W tym roku obserwujemy zresztą w ogóle mniejszą liczbę przyjazdów ze Stanów Zjednoczonych, co jest z pewnością efektem politycznych napięć między Ameryką a Europą. Ale równocześnie możemy się cieszyć np. z wizyt naszych sąsiadów. Czesi, którzy intensywnie odkrywają Polskę* (więcej na ten temat w art. „Cisi Czesi", POLITYKA 34 – przyp. red.), *przypomnieli sobie także o Zakopanem. Wierni pozostają nam Węgrzy, którzy przyjeżdżają praktycznie przez cały rok, zazwyczaj zorganizowanymi grupami. A te wakacje to wielki wzrost liczby podróżnych z krajów bałtyckich. Litwini, Łotysze i Estończycy przybywają do nas głównie samochodami, korzystając z nowoczesnych dróg. Dla nich jesteśmy najbliższymi górami skalistymi, a do tego czują się u nas bardzo dobrze dzięki bliskości kulturowej* – przekonuje Karol Wagner, członek zarządu Tatrzańskiej Izby Gospodarczej.



Jednak nie tylko napięcia zewnętrzne martwią branżę turystyczną. Ogromnym sukcesem ostatnich lat było zainteresowanie naszym krajem gości z krajów arabskich. Na Podhalu trend wzrostowy obserwowany jest od 2016 r., ale prawdziwa eksplozja nastąpiła po pandemii. – *Zaczęło się od jednodniowych wycieczek do nas osób przylatujących do Krakowa. Potem część z nich zaczęła wybierać dłuższe pobyty w Zakopanem i okolicach. Najpierw przyjeżdżali najbogatsi, potem klasa średnia, teraz nie brakuje także imigrantów zarobkowych mieszkających w regionie Zatoki Perskiej. W tym roku powinniśmy osiągnąć apogeum zainteresowania. Liczymy się ze spadkami przyjazdów z tych kierunków w kolejnych latach, chociaż wiele będzie zależeć od atmosfery w naszym kraju. Niestety, nie jest ona korzystna, a trzeba pamiętać, że turyści z takich krajów są bardzo wyczuleni i łatwo ich zrazić. Im więcej będzie w Polsce nieprzychylnych im komentarzy i nastrojów wrogości wobec cudzoziemców, tym większe ryzyko, że zaczną omijać nasz kraj* – ostrzega Karol Wagner z Tatrzańskiej Izby Gospodarczej. Przypomina, że hotelarze z Podhala bardzo dużo zainwestowali, żeby przystosować swoje obiekty do wymagań arabskich gości.

Cała branża turystyczna w Polsce to rocznie ok. 100 mln noclegów, z tego mniej więcej jedna piąta przypada na gości z innych krajów. – *Ciekawym zjawiskiem jest to, że Polska notuje dwa razy szybszy wzrost przyjazdów turystów z zagranicy niż krajowych. Szkoda tylko, że Polska Organizacja Turystyczna nie przykłada się do promocji podróży po kraju i do dbania o wizerunek naszej branży. W Unii Europejskiej tylko Rumunia ma niższy udział*

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 8a4c75bb48



Wakacje w Polsce

Rok	Liczba turystów z zagranicy* [mln]	w tym kategoria: wypoczynek, rekreacja, wakacje [mln]
2024	19,7	4,8
2023	19,0	4,3
2022	15,9	3,1
2021	9,7	1,9
2020	8,4	2,0
2019	21,2	6,1
2018	19,6	5,4

* minimum jeden nocleg w Polsce

Źródło: GUS

turystów zagranicznych niż Polska. Najwięcej gości tradycyjnie jest z Niemiec – to aż jedna czwarta wszystkich przyjazdów, a w naszych obiektach nawet więcej. Niemcy wybierają głównie Pomorze Zachodnie, Dolny Śląsk i największe miasta. Ponad 10 proc. turystów to Ukraińcy, którzy podróżują po całej Polsce. Sporo osób przyjeżdża z Wielkiej Brytanii – skupiają się na dużych miastach, podobnie jak Amerykanie – mówi Jan Wróblewski, współzałożyciel Zdrojowa Hotels & VacationClub.pl.

Spośród metropolii turystycznymi liderami pozostają od lat Warszawa, Kraków i Gdańsk. Stolica w ubiegłym roku odnotowała 3,6 mln przyjazdów zagranicznych turystów (chodzi o tych, którzy spędzili w niej przynajmniej jedną noc) – to wzrost aż o 58 proc. w porównaniu z 2023 r. – *Zaraz po pandemii duże miasta miały problem z odbudową turystyki, bo wielu podróżnych obawiało się większych skupisk ludzi. Ale ostatnie dwa lata to imponujące odbicie. W Warszawie obserwowaliśmy w ubiegłym roku znaczny wzrost liczby gości m.in. ze Stanów Zjednoczonych, z Litwy i Niderlandów. Ciekawym zjawiskiem są przyjazdy Ukraińców z ojczyzny i z emigracji, którzy właśnie u nas często organizują rodzinne spotkania i przy okazji zwiedzają Warszawę. A do tego dochodzi trend workation, znacznie popularniejszy niż przed pandemią, czyli dłuższe pobyty turystów łączących pracę zdalną ze zwiedzaniem. Takie osoby zostają u nas nierzadko ponad dwa tygodnie* – opowiada Paweł Moras, dyrektor Stołecznego Biura Turystyki.

W Krakowie w 2024 r. nocowało ok. 1,5 mln osób z innych krajów – to z kolei nieco mniej niż rok wcześniej. Gdańsk miał niespełna 900 tys. zagranicznych gości (wzrost o 10 proc.). Region nadmorski korzysta nie tylko na trendzie coolcation. Może także liczyć na turystów skandynawskich – niedawno telewizja norweska przekonywała, że Norwegowie wyjątkowo ukochali sobie Sopot. Podczas gdy dla jednych jesteśmy chłodniejsi i to nasz atut, inni cieszą się, że u nas jest nieco cieplej niż u nich. A do tego stosunkowo blisko, wygodnie i taniej.

Szkoda tylko, że wszystkie te trendy nie są wpisane w sensowną, ogólnopaństwową strategię rozwoju polskiej turystyki. Aż trudno uwierzyć, ale taka strategia u nas w ogóle nie istnieje. Dopiero trwają prace nad nią i nie wiadomo, kiedy się zakończą. Tymczasem w Europie konkurencja o zagranicznych gości jest ogromna. W ostatnich latach jej przykładem stała się rywalizacja o przychylność linii lotniczych, głównie tych niskokosztowych, potocznie nazywanych tanimi (chociaż akurat latem to określenie często mocno na wyrost). Ryanair czy Wizz Air stawiają sprawę jasno – chcą latać przede wszystkim z tych lotnisk, które gwarantują niskie opłaty. Na tym jednak nie koniec. Zwłaszcza w przypadku mniejszych portów, z których trzeba zaoferować niższe ceny, aby zdobyć klientów. Linie oczekują też dopłat – nie formalnych, bo to niezgodne z prawem europejskim, ale ukrytych. Najprościej zrobić to pod płaszczykiem tzw. promocji regionu.

Lokalne władze rozpisują zatem przetargi na reklamy w samolotach lub na nich, a linie, które je wygrywają i dostają pieniądze, w zamian uruchamiają więcej połączeń. U nas taki model funkcjonuje np. w województwach kujawsko-pomorskim, lubuskim, warmińsko-mazurskim czy podkarpackim. Dzięki temu lokalne porty mają więcej połączeń. Aby ratować puste lotnisko w Radomiu (na jego przebudowę wydano ponad 800 mln zł za rządów PiS), jego właściciel – Przedsiębiorstwo Porty Lotnicze – też chce dopłacać przewoźnikom. Regionalne władze często przekonują, że takie wydatki z publicznej kasy i tak się opłacają, bo dzięki nim przyjeżdża więcej zagranicznych turystów. O ile bowiem Polacy na południe często latają liniami czarterowymi w ramach ofert biur podróży, o tyle już Włosi, Hiszpanie czy Skandynawowie przylatują do nas wyłącznie połączeniami rejsowymi. Z ich punktu widzenia bezpośredni lot, najlepiej w atrakcyjnej cenie, to czynnik, który często decyduje o tym, gdzie spędzą część wakacji.

Jednak już niedługo wiele połączeń tanich linii może zniknąć z mniejszych portów. Taki może być efekt działań prezydenta Karola Nawrockiego, w którego projekcie ustawy mającej rzekomo przyspieszyć budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego znalazł się bezwzględny zakaz dotowania lokalnych połączeń. Gdyby ten projekt został uchwalony przez parlament, skończyłyby się dopłaty marketingowe, co oznaczałoby katastrofę dla mniejszych portów. I równocześnie dla lokalnej turystyki. Podobno chodzi o to, żeby regionalne lotniska nie podbierały pasażerów CPK, gdy ten kiedyś powstanie. Tyle tylko, że CPK nie będzie w ogóle przeznaczony dla tanich linii, a planowane na nim opłaty od przewoźników (kilkakrotnie wyższe niż obecnie na stołecznym lotnisku Chopina) z pewnością nie okażą się kołem zamachowym polskiej turystyki. Sam ten pomysł, wrzucony po cichu do projektu prezydenckiego, pokazuje, że nie mamy żadnego spójnego planu na przyciąganie zagranicznych turystów. I choć duże lotniska, jak w Warszawie, Krakowie, Gdańsku czy Wrocławiu, takiej kroplówki od podatnika nie potrzebują, to małe bez niej właściwie należałoby zamknąć.

Tymczasem to właśnie mniejsze miasta i piękne, a wciąż mało odkryte regiony mają w Polsce największy potencjał turystycznego rozwoju. Jeśli chcemy ściągać nie 20, ale 40 czy 50 mln gości z zagranicy rocznie, nie możemy tylko koncentrować się na głównych metropoliach i już zapchanych górskich czy morskich kurortach. Powinniśmy wybrać np. kilkanaście mało znanych za granicą regionów i promować je, oferując łatwy dolot w ich okolice. Tak właśnie robią Włosi czy Hiszpanie, od których nadal możemy się wiele nauczyć. Bo przecież mimo trendu coolcation to wciąż my jeździmy do nich dużo częściej niż oni do nas.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 8a4c75bb48



Lojalność i ślepe posłuszeństwo stają się ważniejsze niż kompetencje. Nie tylko w gabinecie Donalda Trumpa, ale i w całym państwie.

Czary MAGA

ANDRZEJ LUBOWSKI

Donald Trump kipi energią i samozadowoleniem. Ale obiecywana przez niego Ameryka Znów Wielka niepokojąco zaczyna się zmieniać w Stany Bananowe.

Łatwość, z jaką sparaliżował polityczną opozycję; bezkarność, z jaką lekceważy instytucje demokracji; skuteczny atak na kulturowe elity Ameryki; strach, jaki wywołał na świecie chaotycznymi podwyżkami ceł – wszystko to utwierdziło Donalda Trumpa w przekonaniu o własnym geniuszu. Na razie jednak nie widać zwiastunów zapowiadanego z wielką pompą renesansu amerykańskiej gospodarki. Stopa bezrobocia wciąż jest niska (4,25 proc.), ale częściowo dlatego, że nadal kurczy się siła robocza. Nie ulega wątpliwości, że huśtawka ceł hamuje decyzje firm o zatrudnianiu i inwestowaniu.

Najświeższe dane obrazujące kondycję gospodarki, całkiem przyzwoite, tak bardzo prezydentowi się nie spodobały, że zdymisjonował szefową Bureau of Labor Statistics. Gdy w styczniu 2021 r., po przegranych wyborach prezydenckich, Trump naciskał na republikańskiego sekretarza stanu Georgii, by „znalazł" mu wystarczającą liczbę głosów dla odwrócenia wyniku

© MATERIAŁY PRASOWE PDT

eprasa.pl 8a4c75bb48



wyborów, i groził mu nawet „postępowaniem karnym", jeśli tego nie zrobi, spotkał się z odmową. „Bo wtedy – wspomina Thomas Friedman z „New York Timesa" – istniało coś takiego jak republikański urzędnik z kręgosłupem moralnym. Ale ten gatunek najwyraźniej całkowicie wymarł w drugiej kadencji Trumpa". Janet Yellen, była sekretarz skarbu, po zwolnieniu szefowej BLS powiedziała: „Takie rzeczy widuje się tylko w republikach bananowych".

W myśl sprawdzonej idei, że kadry są najważniejsze (Józef Stalin), Trump nie poprzestał na doborze swego gabinetu wedle zasady, że lojalność i ślepe posłuszeństwo ważą więcej niż kompetencje. Chce rezygnacji szefa banku centralnego i rektorów elitarnych uczelni. Dotychczas zostawił w spokoju wielkie prywatne korporacje. Ale i to się zmienia. Publicznie składane hołdy, nabijanie po brzegi kieszeni Trumpa i jego rodziny, zapowiedzi ogromnych inwestycji w USA – wszystko to wielki biznes czynił w nadziei, że zadowoli prezydenta i powstrzyma przed wtykaniem nosa w ich interesy. Mylił się. Trump domaga się właśnie dymisji prezesa Intela. Szefom firm samochodowych radzi, żeby nie podnosili cen. Walmartowi – żeby nie obciążał konsumentów ciężarem ceł. Coca-Coli mówi, jakich nowych słodzików używać, a ta natychmiast się tym pomysłom podporządkowuje.

Trump i jego zwolennicy przedstawiają coraz bardziej skomplikowany labirynt umów handlowych jako początek nowego porządku w światowym handlu, korzystnego dla Ameryki. Reszta świata – z wyjątkiem Chin – nie zdecydowała się na odwet. Rynek amerykański jest na tyle duży, że większość państw woli strawić 15-procentowe cło, niż ryzykować jeszcze wyższe taryfy w formie odwetu za „niesubordynację".

Imperium cła

Gdy Trump wprowadzał się ponownie do Białego Domu, średnia stawka celna wynosiła 2,4 proc. Ile wynosi dziś, nikt nie wie, bo sytuacja zmienia się z godziny na godzinę, i jeśli nie nastąpią kolejne trzęsienia ziemi i nikt z dużych graczy, z którymi Ameryka wciąż negocjuje, nie zdenerwuje prezydenta, średnia wyląduje zapewne w przedziale 15–20 proc. To spora różnica. Gospodarka USA jest silna i odporna na wstrząsy. Zapewne sobie z tą sytuacją poradzi. Ale cudów nie ma. Ceny wzrosną. Trudno dociec, czy prezydent nie wie, czy udaje, że nie wie, jak cła działają, i że to nic innego jak podatek nałożony na amerykańskiego nabywcę. Zagraniczny eksporter też ich nie lubi, bo zmniejszają apetyt na jego towar, ale to nie on je płaci.

Podwyżka ceł w obecnej skali oznacza wzrost obciążeń podatkowych (tym w istocie są cła) o blisko 360 mld dol. rocznie – to jedna z największych podwyżek podatków w najnowszej historii USA. Gdy prezydent obwieszczał w Ogrodzie Różanym Dzień Wyzwolenia Ameryki z opresji zagranicy i początek ery renesansu, listę największych wyzyskiwaczy Stanów Zjednoczonych otwierała Kambodża – i na ten właśnie kraj nałożył najwyższe cła. Robert Solow, laureat Nagrody Nobla z ekonomii, tak wyjaśniał kiedyś ideę deficytu: „Mam chroniczny deficyt w relacjach z moim fryzjerem, który nie kupuje ode mnie absolutnie niczego".

Trump od dawna fantazjuje o zastąpieniu podatku dochodowego cłami i nostalgicznie odwołuje się do amerykańskiej polityki fiskalnej z końca XIX w., kiedy dominowały cła, a podatek dochodowy jeszcze nie istniał. Ogłosił też plan zastąpienia IRS (urzędu zbierającego podatki dochodowe) przez External Revenue Service, czyli agencję mającą pobierać wpływy z ceł. Eksperci podatkowi i ekonomiści są zgodni, że to praktycznie niewykonalne.

Cła stanowią zaledwie ok. 2 proc. dochodów federalnych, a podatki dochodowe to ich połowa. Generowanie wielu bilionów dolarów rocznie z ceł wymagałoby absurdalnie wysokich stawek, które zrujnowałyby handel i gospodarkę. Cła już zaczęły przynosić znaczne dochody rządowi federalnemu. Pomogą zasypać część dziury po cięciach podatków i nowych wydatkach. Ale po pierwsze – tylko drobną część; po drugie – to podatek nałożony na Amerykanów, a nie na ich partnerów; po trzecie – na cięciach podatków zarobią najwięcej najbogatsi, a za podwyżki ceł zapłacą głównie biedni. A skoro ciężar dochodów państwa przenosi się z podatków na cła, to gdyby spełniło się marzenie Trumpa i zagraniczne firmy przeniosły znaczną część produkcji do Ameryki, wówczas dochody z ceł zaczęłyby się kurczyć.

Redakcja „Wall Street Journal" wyraziła swe obawy w komentarzu z 11 sierpnia: „Prezydent Trump postrzega cła jako opłatę drogową za dostęp do amerykańskiego rynku, którą tylko on może ustalać. Teraz nakłada opłaty na amerykańskie firmy za rzekomy przywilej eksportu chipów sztucznej inteligencji do Chin. Odnotujmy to jako kolejny krok w stronę rządowej kontroli nad prywatnym biznesem". ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ Ruch MAGA z entuzjazmem przyjął prezydencki dekret oznajmiający, że są tylko dwie płcie, wieści o masowych łapankach migrantów o nieuregulowanym statusie i przymiarkach do masowych deportacji. Entuzjazm odrobinę osłabł na widok stosowanych praktyk. Czy skurczy się bardziej, gdy zacznie zanikać perspektywa powrotu dobrze płatnych miejsc pracy, a trudniej będzie z opieką zdrowotną? Czy MAGA zapomni o obietnicy lepszego chleba, tak jak zapomniała w pierwszej kadencji, bo dostała i dostaje regularnie igrzyska?

Amerykańskie wyższe uczelnie – przez długie lata duma Ameryki, źródło jej siły i prestiżu – stają dziś w obliczu kłopotów, które mało komu przyszłyby rok temu do głowy. System, historycznie wspierany przez amerykańskich podatników, jest dziś zagrożony — ponieważ prezydent uzależnia finansowanie publiczne od podporządkowania się jego wizji szkolnictwa wyższego. A jest to obrona „amerykańskiej tradycji i cywilizacji Zachodu", ograniczanie protestów i badań naukowych. Dewastowane uniwersytety znajdują niewielu sojuszników. Antyintelektualizm był, jest i będzie refrenem i spoiwem gniewnych populistów z prawej strony. Według Pew Research Center w 2012 r. 26 proc. Amerykanów uważało, że uczelnie wyższe mają negatywny wpływ na kraj. W 2024 r. odsetek ten wzrósł do 45 proc.

Gdy 4 października 1957 r. Sowieci wystrzelili w kosmos Sputnika, zszokowana Ameryka odpowiedziała utworzeniem NASA i ARPA (której zawdzięczamy internet, dzisiejsza DARPA), a kilka lat później przeznaczeniem niemal 12 proc. budżetu federalnego na badania i rozwój. Dziś dzieje się dokładnie na odwrót. Z ankiety przeprowadzonej przez czasopismo „Nature" wśród 1600 naukowców w USA wynika, że trzy czwarte z nich rozważa emigrację.

Gra w Chińczyka

Prezydent z jednej strony zapewnia, że Ameryka zdominuje sektor AI, w którym Chińczycy drepczą jej po piętach. Z drugiej zaś oddaje Chinom jedną z nielicznych już technologii, w których Ameryka wciąż przoduje. Niedawny sukces chińskiej firmy DeepSeek porównywano – może odrobinę na wyrost – do znaczenia Sputnika. Tylko że po Sputniku w ciągu roku USA trzykrotnie zwiększyły budżet Narodowej Fundacji Nauki (NSF). A po *DeepSeek moment* rząd obciął budżet NSF o 56 proc., prezydent wdał się w konfrontację z najlepszymi uniwersytetami, tnie wsparcie dla nauki i blokuje import talentów z reszty świata.

Wiosną Departament Handlu wprowadził ograniczenia w sprzedaży do Chin chipów AI produkowanych przez Nvidię i Advanced Micro Devices, powołując się na konieczność ochrony „bezpieczeństwa narodowego i gospodarczego". Nvidia, dziś największa pod względem wartości rynkowej korporacja Ameryki i świata (wartość rynkowa to 4,4 bln dol.), lobbowała w Białym Domu o ich złagodzenie. I administracja zniosła te ograniczenia w zamian za złagodzenie przez Chiny kontroli eksportu metali ziem rzadkich. Sekretarz skarbu Scott Bessent powiedział, że wznowienie sprzedaży strategicznych chipów było „częścią większej układanki".

„Teraz widzimy resztę tej układanki i nie wygląda ona dobrze – pisze „Wall Street Journal". – Administracja żąda 15-procentowej prowizji od sprzedaży tych chipów. Nie wiadomo, czy zamierza przeznaczyć te pieniądze na zmniejszenie deficytu, wydać je czy zasilić nimi planowany fundusz majątku narodowego. Tak czy inaczej, jest to podatek eksportowy, którego Kongres nie zatwierdził". Wygląda na to – twierdzi „WSJ" – że za złagodzeniem restrykcji w zamian za ustępstwa Chin i opłaty od producentów stoi prawdziwy priorytet rządu, czyli zawieranie umów w celu zdobycia dodatkowych pieniędzy.

„Krok po kroku prezydent Trump wydłuża ramię państwa, sięgając po kolejne obszary prywatnej gospodarki. Czy któryś z Republikanów zaprotestuje? Niestety, raczej nie" – kończy swój komentarz redakcja „Wall Street Journal", gazety będącej własnością Ruperta Murdocha, od którego Donald Trump domaga się 20 mld dol. za rzekome kłamstwa w sprawie jego relacji z Jeffreyem Epsteinem.

Powrót do przeszłości

Wirówka pomysłów potęguje nerwowość i nadwyręża postrzeganie Ameryki jako bezpiecznej przystani. Zagraniczni inwestorzy żądają dodatkowej premii za ryzyko inwestowania w USA. Stephen Miran, przewodniczący rady doradców ekonomicznych Białego Domu, właśnie desygnowany na gubernatora Fed, ma pomysł, by zagraniczne banki centralne płaciły za „przywilej" przechowywania swych rezerw w amerykańskich obligacjach. Tymczasem wyjątkowy status dolara daje Amerykanom ogromną korzyść – pozwala im tanio się zadłużać, w przeciwieństwie do tego, co twierdzi Miran.

„Gospodarka, głupku" – napisał sobie nad biurkiem Bill Clinton, któremu nie zaszkodziła pikantna afera z Monicą Lewinsky, bo tworzył miejsca pracy. Z tego samego powodu nawet rasizm nie zagrodził Barackowi Obamie drogi powrotu do Białego Domu. Wprawdzie wpływ prezydenta na stan gospodarki jest często (nie bez powodu) kwestionowany, tak się jednak składa, że w ostatnich 50 latach demokratyczni prezydenci (Jimmy Carter, Bill Clinton, Barack Obama i Joe Biden) zostawili po sobie w sumie o przeszło 60 mln więcej miejsc pracy, niż zastali, a republikańscy (Gerald Ford, Ronald Reagan, George H.W. Bush, George W. Bush, Donald Trump) – w sumie o niespełna 22 mln. Trump jest jedynym w minionym półwieczu prezydentem, który pozostawił po sobie mniej miejsc pracy (o ponad 3 mln), niż ich było, gdy wprowadzał się do Białego Domu. Co nie zmieniło pokutującej wśród znacznej liczby Amerykanów opinii, że Republikanie są lepsi dla gospodarki niż Demokraci. To kolejny dowód, jak ważna jest narracja i kto ją kontroluje.

Populizm, który wyniósł Trumpa na tron, a jemu podobnym dał władzę gdzie indziej, to wynik skutecznej opowieści, wedle której to inni są winni temu, że nie jest tak dobrze, jak być powinno – wyraz nostalgii i wiary, że przeszłość da się przywrócić. Trump widzi siebie w roli cudotwórcy. I tak go widzą miliony w czapeczkach MAGA. Jedyny cud, jakiego mu się do tej pory udało dokonać, to w rekordowym czasie zniszczyć wiarygodność i *soft power*, którą Ameryka budowała przez 80 lat. Drogę do władzy utorowały mu zapowiedzi wojny kulturowej, ale przede wszystkim obietnice renesansu przemysłu. I to postęp w tej dziedzinie, a nie likwidacja toalet dla osób transpłciowych i upokorzenie Uniwersytetu Harvarda będzie prawdziwym testem dla prezydenta i jego partii. Tymczasem zawierucha celna, potęgując niepewność, hamuje inwestycje, cła zaczynają się przekładać na wzrost cen. Na horyzoncie pojawia się wizja stagflacji, czyli mariażu inflacji z wolnym wzrostem. Ciekawe, gdzie Trump znajdzie winnych?

ANDRZEJ LUBOWSKI

Jak Trump podzielił Hollywood s. 80.

eprasa.pl 8a4c75bb48

Witamy w klubie

Młodzi bogaci Indusi chętnie zapłacą, by pokazać się w ekskluzywnym otoczeniu. Wracają elitarne kluby członkowskie, tak modne w epoce kolonialnej. I na nowo definiują pojęcie luksusu.

PAULINA WILK

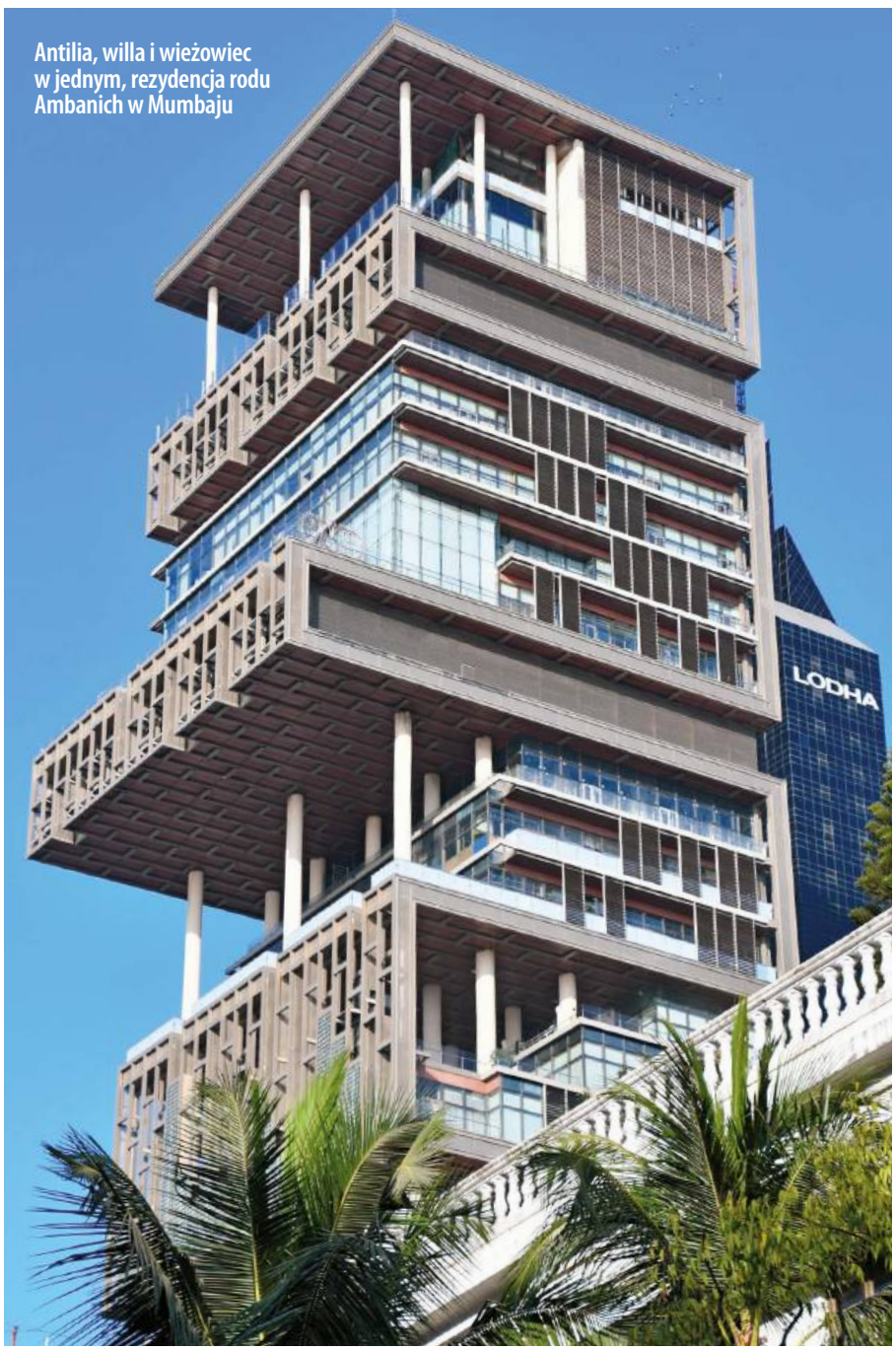

Antilia, willa i wieżowiec w jednym, rezydencja rodu Ambanich w Mumbaju

© RITU MANOJ JETHANI/SHUTTERSTOCK

Samo bycie kimś zamożnym to w liczącym półtora miliarda ludzi kraju za mało, by się wyróżnić. Bogaci się teraz zbyt wielu, zbyt szybko. Tendencję potwierdza nawet wskaźnik Giniego, mierzący różnice majątkowe. W tym roku wynosi w Indiach 25,5, co stawia kraj wśród tych o umiarkowanych różnicach zarobkowych. Co prawda indyjscy ekonomiści krytykują metody przyjmowane do mierzenia nierówności, a rzeczywistość potwierdza, że różnice w dostępie do zasobów i dobrobytu są nad Gangesem wciąż wyraźne, ale nikt nie ma wątpliwości, że indywidualne bogactwo rośnie – widać je gołym okiem. Pandemia trochę namieszała na listach najbogatszych, ale przed rokiem indyjskie elity wróciły na ścieżkę wzrostu; w kraju mieszka już 284 dolarowych miliarderów, więcej mają tylko USA i Chiny.

Najmłodsi w gronie ultrabogaczy nad Gangesem są – według aktualnego zestawienia globalnej firmy doradczej Hurun Research Institute, specjalizującej się w rynkach Chin i Indii – założyciele serwisu do płatności internetowych Razorpay. To dwaj 34-latkowie, którzy poznali się na studiach – Shashank Kumar i Harshil Mathur. Obaj mają znakomite technologiczne wykształcenie i solidne doświadczenie w międzynarodowych korporacjach, jak Microsoft. Dostrzegli, że Indiom brakuje serwisów umożliwiających szybkie płatności online. Był 2014 r., siedem lat później ich biznes miał inwestorów z Singapuru i był wart 7,5 mld dol. Dziś każdy z założycieli posiada już majątek wart miliard dolarów netto.

Według wyliczeń tego samego ośrodka, z listy 10 najbogatszych osób świata wypadł właśnie prawdziwy indyjski gigant – Mukesh Ambani, szef grupy Reliance Industries, dobiegający siedemdziesiątki potentat, który zręcznie pomnożył fortunę odziedziczoną po ojcu. Z majątkiem wartym 104 mld dol. pozostaje najzamożniejszym Azjatą. A także ikoną magnatów wczesnej fazy indyjskiego kapitalizmu: budujących potęgę na starym korzeniu bliskości z władzą, licencjach rządowych na wyłączność i przychylności biurokratycznych elit. Młodsi od niego o trzy dekady twórcy Razorpay reprezentują nową erę: majątki tworzone niemal od zera, błyskawicznie, w sposób innowacyjny, z zaangażowaniem międzynarodowego kapitału. To ludzie innych czasów, ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ szukający nowego wyrazu i towarzystwa dla swojej zamożności.

Z Ambanim i starą gwardią łączą ich jednak dwie rzeczy: niebotyczne aspiracje (postawiona w Mumbaju przez Ambaniego prywatna willa-drapacz chmur dosłownie wyraża ambicję sięgania nieba) oraz potrzeba wyraźnego odseparowania się od tłumu. Indyjskie elity nie tylko się reprodukują, ale też gwałtownie rosną. W salonie robi się tłoczno. Dlatego potrzebny jest nowy salon. A dokładnie 25.

Klub klubów

Tyle elitarnych klubów członkowskich działa obecnie w Indiach. Od dwóch dekad takich adresów przybywa, a gwałtowny wzrost zaczął się po pandemii. To wtedy ultrabogaci odkryli satysfakcję z kameralnych spotkań w kontrolowanym i bezpiecznym otoczeniu. Ale odgradzanie się od gorzej urodzonych, mniej zasobnych czy uprzywilejowanych jest podstawową regułą rządzącą indyjskim życiem społecznym. Przed zewnętrznymi obserwatorami kraj roztacza opowieść o doskonale uzupełniających się i współistniejących odmiennościach, ale w tym wielobarwnym etniczno-kulturowym dywanie wszystkie nici są dokładnie oddzielone. Błyskawiczne identyfikowanie różnic, od kastowych po majątkowe, a także rozumienie swojego miejsca jest kluczowe dla codziennego współżycia tej wielkiej populacji. Pokojowego, choć nabrzmiałego od napięć i rywalizacji. To jedna z fascynujących sprzeczności współczesnych Indii: tu niemal każdy próbuje przełamać przypisaną sobie rolę i piąć się w górę, ale po czyichś plecach. A gdy tylko pokona szczebel, wyraźnie zaznacza majątkową granicę, poniżej której nie zamierza już zejść. Naturalnie więc ci, którzy dostali się na sam szczyt, najbardziej potrzebują zamanifestować swoją osobność.

Stąd odradzająca się moda na ekskluzywne kluby typu *members only*, popularne za panowania Brytyjczyków. O dziwo przetrwały bez większych zmian – poza wymianą elit z europejskich na indyjskie – aż do początku lat 90. XX w. Wtedy wybuchła gospodarka wolnorynkowa i kluby popadły w zapomnienie. Teraz wracają jako odświeżony koncept.

Działają jako adresy przyjmujące wyłącznie członków rekomendowanych i spełniających określone wymagania, które innym pozwalają czuć się swobodnie, jak wśród swoich. To tam – w budynkach pieczołowicie projektowanych przez międzynarodowe biura architektoniczne, sytuowanych dogodnie blisko centrów biznesowych wielkich metropolii lub w pobliżu lotnisk – spotykają się i spędzają czas nowe elity. Ambitni przedsiębiorcy, twórcy start-upów, rekiny korporacyjne, młodzi spadkobiercy fortun, inwestorzy *venture capital* i wszyscy ci, których da się włożyć do worka HNI – *high net worth individuals* (z ang. osoby o wysokich dochodach netto). Bogaczy tej kategorii jest już ponad milion, łączy ich próg zamożności: minimum milion dolarów kapitału, nie licząc nieruchomości. Pośród nich swoich potencjalnych członków upatrują twórcy luksusowych adresów, oferujących wszystko, czego w Indiach dotkliwie brakuje.

Kluby to ponad wszystko starannie zaprojektowane przestrzenie, a nawet całe krajobrazy. Bywa, że zajmują nawet kilkanaście hektarów – jak otwarty pięć lat temu w Hajdarabadzie klub 17 Degrees North. Niektóre oferują wypielęgnowane ogrody, odpoczynek w ciszy, bez tumultu wypełniającego ulice. Większość zapewnia pola golfowe, trasy biegowe, odkryte baseny, boiska do koszykówki, badmintona, squasha, krykieta, miniboiska do piłki nożnej. Czyli to, co nawet należący do wyższej klasy średniej Indusi definiują jako trudno dostępne. Bo publiczne przestrzenie rekreacji, jak romantyczne ogrody Lodhi Gardens w Delhi czy wielki trawiasty Majdan w Mumbaju, choć są otwarte dla wszystkich i stanowią bodaj najbardziej zdemokratyzowaną przestrzeń w kraju, to są też oblegane, zaśmiecone i trudno w nich odpocząć. Własna przestrzeń do życia, wyjęta poza nawias hiperintensywnej codzienności, w której wszystkiego jest za dużo: hałasu, światła, tłoku, ludzkich dążeń, to bez wątpienia najbardziej upragniony nad Gangesem luksus.

Złoty standard

Złotym standardem jest to, że klub doskonale pełni funkcję tzw. trzeciego miejsca. Nie jest domem, nie jest miejscem pracy, ale czymś pośrodku, pozwalającym odpoczywać i się realizować. Stąd w klubach specjalnie projektowane sale spotkań – bombastyczne albo kameralne, sprzyjające nieformalnym rozmowom bary z rzadkimi trunkami, pokoje do testowania cygar, osobne pokoje z limitowanymi kolekcjami win, gabinety do wygodnej pracy solo lub w zespołach, cenione teraz, gdy popularne jest zdalne wykonywanie obowiązków.



Mukesh Ambani (na fot. z lewej, z synem Akashem) **wypadł z pierwszej dziesiątki największych bogaczy świata, ale pozostaje najzamożniejszym Azjatą**

Ale każdy szanujący się klub może być salą bankietową, tanecznym parkietem, teatrem, scenerią konferencji albo stołem negocjacyjnym. Bywa także hotelem, z prywatnym lokajem oddelegowanym do całodobowej opieki nad gościem. Służba pozostaje ważnym elementem indyjskiej kultury zamożności, jej obecność jest zakorzeniona w podziałach kastowych i ekonomicznych. Kto może sobie pozwolić na sprzątaczkę, praczkę, pomywaczkę, ogrodnika, ochroniarza czy kierowcę, na pewno to robi. A magnaci chętnie sięgają do arystokratycznych wzorców i korzystają z małych armii obsługujących ich codzienne potrzeby. Kluby mają takie doskonale wyszkolone zespoły do dyspozycji. Prowadzą całodobowe restauracje, często kilka, by zapewnić członkom wybór smaków z różnych stron świata.

Nowe kluby podnoszą poprzeczkę. Teraz każdy z adresów prowadzi własny program wydarzeń i aktywności. Od zajęć z jogi i medytacji, przez zabiegi spa, seanse leczenia dźwiękiem, warsztaty garncarskie, aż po koncerty muzycznych sław, prywatne spektakle teatralne i wystawy unikatowych dzieł sztuki czy kameralne spotkania ze znakomitymi pisarzami. Wszystko to podane na srebrnej tacy, a dokładniej – w specjalnie projektowanych aplikacjach, w których jedno kliknięcie załatwia sprawę planów na weekend. Najlepsi artyści, w małej sali, bez ścigania się z tłumem po bilety czy tkwienia w korkach podczas dojazdu? W Indiach naprawdę trudno mieć większe marzenia niż bezstresowy dostęp do wyrafinowanych przeżyć i zasobów, które dla mniej zamożnego mieszkańca Dubaju czy Nowego Jorku są normą i nie wymagają szarpania się z rzeczywistością.

Oczywiście indyjskie kluby mają wyraźną lokalną specyfikę, do perfekcji doprowadzają organizację przyjęć i celebracji wynikających z usianego festiwalami religijnymi kalendarza, ale też organizują

eprasa.pl 8a4c75bb48



© FRANCIS MASCARENHAS/REUTERS/FORUM

wspólne oglądanie meczów krykieta (a to fiesta kilkudniowa) czy taneczne imprezy z muzyką Bollywood. Dla przedstawicieli nowych elit, kształtowanych przez globalne wzorce, edukujących się i bywających w świecie, prywatne kluby są czymś na kształt substytutu wyprowadzki z kraju pełnego ograniczeń i poważnych problemów. Bo nawet najbogatsi jeżdżą tymi samymi drogami, którymi wciąż chodzą bosi i biedni.

Płacą, by omijać biurokrację, kolejki, korupcję, niską jakość usług, niedomaganie państwa. Przecież zamożne Indie nie pokonały wciąż podstawowych wyzwań: nie dają blisko połowie swoich obywateli ani solidnego dachu nad głową, ani czystej wody w kranie. W luksusowym klubie można o tym zapomnieć, skierować wzrok na czule wypreparowany pejzaż – zatokę w Mumbaju, obfitą zieleń w Bangalurze, panoramę dzielnicy rządowej w New Delhi. I zachowywać się trochę jak obcokrajowiec, którego lokalne problemy nie obciążają.

Solo i z rodziną

Tak – wyjątkowo – musieli się czuć ci, którzy zakładali pierwsze w Indiach kluby dżentelmenów. Byli to brytyjscy oficerowie oraz urzędnicy, którzy chcieli sobie ulżyć w tropikach – szklaneczką whisky, partią bilarda i utyskiwaniem na kolonizowanych. Kluby członkowskie przywędrowały nad Zatokę Bengalską z londyńskiego West Endu, gdzie powstały już w XVII w. z inspiracji jeszcze starszych kawiarni czasów imperium osmańskiego. W XIX w. były już w Wielkiej Brytanii i jej koloniach dobrze rozpowszechnione. Zostały szczelnie obwarowane regułami. Tylko dla mężczyzn. Tylko dla członków rekomendowanych i tych, którzy uzyskali aprobatę w głosowaniu. Dla właściwie urodzonych oraz ich potomków. Dla odpowiednio zamożnych, odpowiednio się zachowujących i ubranych. Dla białoskórych.

Taki był The Bangal Club, pierwszy na indyjskim subkontynencie, otwarty w Kalkucie 198 lat temu i do dziś działający. W niedużym wiktoriańskim budynku, pomalowanym na biało, mieszczącym się przy Russel Street 1, kilkanaście minut spaceru od monumentalnej budowli Victoria Memorial i tyle samo od cmentarza Park Street, na którym leży większość jego pierwotnych członków wycieńczonych dyzenterią lub malarią, spotykają się do dziś stare pieniądze i tradycyjne kręgi władzy. W XIX w. bywali tam sędziowie, urzędnicy, politycy, przedsiębiorcy – nie inaczej teraz, choć meble z ciemnego drewna z haftowanymi obiciami, żyrandole pod wysokimi sufitami, ciężkie żaluzje, sala bilardowa i restauracja serwująca trójkątne kanapki z grillowaną piersią kurczaka, przyciągają dziś gości raczej leciwych.

Nowa energia, inwestycje i blichtr buzują kilkanaście kilometrów dalej, w dzielnicy nazwanej bez poezji: New Town, wyrosłej obok starej Kalkuty. Jest w tym istotna symbolika: nowe elity nie idą dosłownie w ślady dawnych, niezdolnych oderwać się od kolonialnego dziedzictwa i replikujących europejskie pojęcie ekskluzywności. A jeśli muszą, obchodzą dawne struktury i aleje zasłużonych. Wytyczają własne.

Minęło prawie osiem dekad, odkąd zdjęto wiszące przy drzwiach klubów tabliczki „Indusom i psom wstęp wzbroniony". A jednak do najdłużej istniejących klubów, jak: kalkucki Tollygunge, mumbajski The Royal Bombay Yacht Club czy Delhi Gymkhana, dostać się nie sposób. I pieniądze nic nie zmieniają. Po złożeniu aplikacji trzeba czekać nawet kilka dekad. Obecnie rozpatrywane są wnioski z końcówki lat 80. XX w.! Tylko potomkowie znakomitych rodów mogą liczyć na nieco szybszą ścieżkę. A ceny za wpis są horrendalne. Dlatego nowe elity mają nowe kluby. I choć wciąż ważną regułą jest kontrola przypływu członków, obowiązują systemy rekomendacji i aprobaty przez już zapisanych – to jest to snobizm bardziej elastycznej generacji. I inaczej wyceniającej swoje towarzystwo. Płaci się do kilkunastu tysięcy dolarów bezzwrotnego wpisowego, a do tego comiesięczną składkę sięgającą 1–3,5 tys. dol.

Nowe kluby nie odmawiają przedstawicielom profesji artystycznych czy sportowcom, a tak do lat 90. bywało. Nie wypraszają też osób w tradycyjnych indyjskich strojach. Powstają nawet takie jak otwarty w 2020 r. mumbajski Kathiwada City House w niedużej kamienicy w stylu art déco z 1940 r. Jego właściciele stawiają na członków elit twórczych i artystycznych. No i nie zamyka się już drzwi przed kobietami – choć jest ich mniej, a w najmłodszych stażem klubach dostępne są spotkania „tylko dla panów".

Z drugiej strony coraz więcej klubów ma też ofertę rodzinną. The Bay Club w biznesowym dystrykcie Bandra Kurla w Mumbaju ma baseny ze zjeżdżalniami, pokoje muzyczne, studio nagrań, sale przyjęć dla dzieci, trampoliny, ścianki wspinaczkowe, pokoje gier komputerowych i strefę relaksu dla nastolatków. Indusi są bardzo rodzinni, czas inwestowany w relacje z najbliższymi jest coraz cenniejszy, a dzieci są oczkiem w głowie i przechodzą wczesną socjalizację w elitarnym otoczeniu, które ma pozostać ich naturalnym środowiskiem.

Rzeczy bezcenne

W tej chwili do luksusowych klubów w Indiach należy ponad 11 tys. członków. I ta ekskluzywna nisza rośnie szybko – o 17 proc. rocznie. Prowadzeniem klubów, jak przed laty, zajmują się znane sieci hotelowe, np. Oberoi, Four Seasons czy St. Regis (inwestują w unowocześnianie przestrzeni i nowe usługi). Ale znakiem czasu są też nowe butikowe modele – rozwija się grupa indyjskich przedsiębiorców skupionych wyłącznie na prowadzeniu klubów i doskonaleniu luksusowych usług. Indyjską mekką klubów członkowskich pozostaje Mumbaj, bo też tamtejsze elity biznesowe umieją cieszyć się życiem, wiele fortun łączy się wprost z przemysłem rozrywki albo lubi się z nim pokazywać. Przyszłość klubów leży jednak także poza metropoliami. Udowadniają to twórcy Baale – pierwszego prywatnego klubu w Goa. Elity finansowe rosną w miastach drugiego czy trzeciego garnituru, a dolarowych milionerów przybywa w miejscach, których nazwy jak na razie nikomu nic nie mówią. I oni też szukają ulgi, aury ekskluzywności oraz stosownej dla swojego bogactwa publiki.

W nowych klubach, na mniej arystokratycznych warunkach i w nowocześniej urządzonych wnętrzach, pyszni się stara dobra waluta prestiżu. Gdy same pieniądze przestają robić wrażenie, prawdziwą wartość ma to, czego kupić się nie da – uznanie w oczach wybranych.

PAULINA WILK

eprasa.pl 8a4c75bb48



Stambulska pętla

Wprowadza swoich władców w fałszywe poczucie bezpieczeństwa, a potem przynosi im upadek. Spieszcie się oglądać stary Stambuł, bo nie przetrwa kolejnego trzęsienia ziemi.

ŁUKASZ WÓJCIK

Stolica trzech wielkich cywilizacji (i kilku pomniejszych) od tysięcy lat wciąż znajduje się w tym samym miejscu. I może z tego powodu przypomina palimpsest. Tak jak jej najważniejszy zabytek – Hagia Sophia. Ta prawosławna katedra podczas wypraw krzyżowych na krótko została kościołem rzymskokatolickim. Następnie była osmańskim meczetem, potem muzeum, a od pięciu lat znów jest muzułmańską świątynią.

Tak samo jest z całym Stambułem. Znany historyk sztuki Süleyman Faruk Han Göncüoğlu przekonywał mnie kiedyś, że jego miasto miało co najmniej 135 nazw. „Nie ma takiego drugiego na świecie – mówił i wyliczał: – Alma Roma, Konstantynopol, Islambol, Darul-Hilafe, Kostantiniyye, Bizantion, Dersaadet, el-Faruk, Asitane". Łacinnicy nazywali je Makedonja, Rosjanie – Tekfurije, Persowie – Kajseri-i Zemin, Żydzi – Wizendowina itd.

Dla swoich władców to miasto – bez względu na nazwę – było zawsze pułapką, pętlą luksusu, fałszywego bezpieczeństwa i oślepiającego piękna, która zaciskała się niepostrzeżenie na ich szyjach, doprowadzając w końcu do ich upadku. Tak było z Konstantynem XI, ostatnim cesarzem Bizancjum, który najpierw nie dopuszczał myśli, że może być ostatni, a potem czekał biernie na nieunikniony koniec. Tak było z bezwładnymi sułtanami osmańskimi z początku XX w., których władza kończyła się na pałacowych murach. Tak było w końcu ze spadkobiercami Mustafy Kemala Atatürka, założyciela Republiki Tureckiej, którzy w porę nie zauważyli, jak właśnie w Stambule rośnie ich pogromca Recep Tayyip Erdoğan. Czy teraz kolej na niego?

1 Zanim zrobimy stambulską pętlę, dwie sprawy organizacyjne. Po pierwsze, lądujcie – o ile to możliwe – na lotnisku Sabiha Gökçen (SAW) po azjatyckiej stronie miasta, a nie w nowym, gigantycznym porcie lotniczym Stambuł (ISL). Może i z tego drugiego jest lepszy transport do historycznej części miasta, ale jaka jest podróż z tego pierwszego! Docieracie na dworzec kolejowy Haydarpaşa na azjatyckim brzegu Bosforu i widzicie to, co musieli widzieć Turcy seldżuccy, gdy pierwszy raz tam dotarli i zapragnęli zdobyć to miasto (spójrzcie na nie z dystansu, zanim zaciśnie na was swoją pętlę).

Po drugie, żadnych noclegów w dzielnicy Sultanahmet ani w pobliżu Bosforu. Niby wszędzie można dotrzeć pieszo, ale kluby nocne nie cichną do trzeciej, czwartej nad ranem. Widok z okna na cieśninę też kusi – godzinami można patrzeć na wodę i liczyć statki. Ale tu też najgorzej jest nocą, szczególnie wiosną lub jesienią, gdy podnosi się mgła. Wówczas syreny statków jęczą całą noc niczym potępione dusze.

Generalnie na Bosfor lepiej patrzeć z dystansu, a przepływając go, wstrzymać oddech. Orhan Pamuk w „Czarnej księdze" tak o nim pisze, tylko nieco metaforycznie: „Wody cofały się, odsłaniając rozbite galeony i butelki po napojach gazowanych, podczas gdy pasażerowie przejeżdżających autobusów zatykali szpary w oknach, by stłumić smród ciała i błota, i wpatrywali się w płomienie buchające z przerażającej, czarnej przepaści rozwartej w dole". Wielu mieszkańców Stambułu podświadomie boi się tej wody, jakby zawieszonej w próżni między dwoma światami.

2 Na europejskim brzegu zaczyna się historia utaplanego we krwi pałacu Topkapi. To zadziwiające, że tak dobrze zorganizowane (w swoim czasie) imperium, z doskonałą administracją i służbą cywilną, cyklicznie – przy każdej zmianie władzy – pogrążało się w chaosie. Nie obowiązywała zasada starszeństwa, nie

© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 8a4c75bb48





Panorama europejskiej części miasta znad Złotego Rogu. Poniżej: **dworzec kolejowy Haydarpaşa na azjatyckim brzegu Bosforu.**

było żadnej gwarancji, że najstarszy syn sułtana po jego śmierci obejmie władzę. Ważniejsze okazywało się w takiej chwili, jak daleko od Konstantynopola przyszło rządzić pretendentom.

Ten, który miał najbliżej, zazwyczaj pierwszy docierał do pogrążonego w żałobie pałacu Topkapi i zasiadał na Złotym Tronie. Gdy jednak kilku bliskich zmarłego monarchy przybywało mniej więcej w tym samym czasie, zaczynała się rzeź – następcą zostawał ten, który zabił wszystkich braci, kuzynów (i ich przybocznych). Selim, ojciec Sulejmana Wspaniałego, zabił pięciu siostrzeńców, aby zapewnić swojemu synowi prostą ścieżkę do władzy. Według historyka Stanforda J. Shawa służba przez trzy miesiące zmywała potem krew z posadzek pałacu.

A potem krew kapała dalej. Nowy sułtan nadal czuł się zagrożony, dlatego jego najbliższymi sekretarzami byli głuchoniemi – żeby nie mogli zdradzić tajemnic. A wśród dworzan przeważali eunuchowie, bo z wiadomych względów trudno im było założyć konkurencyjną dynastię – jako małych chłopców przyprowadzano ich do pałacu i za pomocą sznurka wyrywano penisa i moszne.

3 Z Topkapi już tylko kilka kroków do Hagii Sophii. Nie żadnej Ayasofyi, choć pisze tak coraz więcej zachodnich mediów i przewodników. To jakaś dekolonizacyjna obsesja, zgodnie z którą trzeba mówić tak jak lokalsi, bo inaczej możecie zostać „skancelowani". Warto pamiętać, kto skolonizował tę świątynię, choć niekoniecznie trzeba się tym dzielić... A jeśli już, spróbujcie spytać Turka o Hagię Sophię. W najlepszym przypadku was zlekceważy. Prędzej jednak zacznie tłumaczyć, że chodziło wam o „Ayasofya" bez żadnego „g". Gdy zaś traficie na dumnego Turka, zrobi wam wykład z teorii antykolonializmu, uderzy w struny suwerenistyczne i podsumuje, że zachodni dyktat już się w Turcji skończył. Zignorujcie, bo to bóle fantomowe po imperium, które przepadło.

Kiedy będziecie już w środku (a warto z samego rana, dla mniejszego tłoku), przypomnijcie sobie tę historię: 29 maja 1453 r., po prawie dwumiesięcznym oblężeniu, armia osmańska przedarła się przez mury Konstantynopola. A młody sułtan Mehmed II z niewielkim oddziałem natychmiast ruszył w stronę Hagii Sophii. Jego ludzie wyłamali drzwi świątyni, a on wjechał do środka na siwym ogierze. Bizantyjscy kapłani nie przerwali jednak modlitw, które od tygodni odmawiali za ocalenie miasta. Jak głosi miejska legenda, odwrócili się tylko w stronę Mehmeda i nagle wszyscy niejako wstąpili w mury świątyni. Modlą się w nich do dziś, oczekując powrotu swojego imperium. Wypatrują przyszłości, która nigdy nie nadejdzie.

Hagię Sophię, która przejściowo jest meczetem, nadal można zwiedzać. Ale już bez butów i z nakrytymi włosami w przypadku kobiet. Trzeba też uważać ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48





Od lewej: **plac Taksim z pomnikiem Republiki i meczetem zbudowanym za prezydentury Erdoğana. Pałac Topkapi, dawna rezydencja sułtanów.**

▶ na porę – świątynia jest zamknięta dla zwiedzających podczas modlitw, przepisowo pięć razy w ciągu dnia, piątkowe popołudnie to też nie najlepszy wybór. W czasie modlitw mozaiki przedstawiające chrześcijańskich świętych są zakrywane ciemną tkaniną. Ale ich oczy i tak widać – to uwaga subiektywna.

W ogóle wizyta w Hagii Sophii to rzecz bardzo subiektywna, dla nikogo chyba nieobojętna. Abstrahując od wrażeń estetycznych, o których można by godzinami, niżej podpisany ma wrażenie, że w środku nie da się biegać. Nie dlatego, że nie wypada, bo to świątynia, ale dlatego, że nie można – jakby gęsta atmosfera tego wnętrza spowalniała ruchy i myśli. Mimo to spieszcie się ją zobaczyć, bo podobno nie przetrwa dużego trzęsienia ziemi. A sejsmolodzy szacują, że szansa na takie w ciągu 30 lat wynosi od 40 do 60 proc.

4 Gdy już nadejdzie, zniszczy również pobliską Cysternę Bazyliki, kolejny cudownie upiorny relikt starożytności. Znana również lokalnie jako „zatopiony pałac" jest największą bizantyjską cysterną w Stambule (jedną z kilkuset). Zapomniana przez wieki, ponownie odkryta w 1545 r., stała się potem wysypiskiem nie tylko śmieci, lecz także zwłok. Sławę zyskała, gdy kolejna wojskowa junta chciała poprawić swój międzynarodowy wizerunek i dopłaciła producentom serii filmów o Jamesie Bondzie, aby – trochę bez sensu – umieścili w zalanej jeszcze wysoko cysternie jedną ze scen („Pozdrowienia z Rosji", 1963 r.). Oczyszczona w 1985 r., dwa lata później została otwarta dla zwiedzających. Po wielu latach Bond zresztą wrócił do Stambułu, gdzie na motocyklu musiał ścigać złoczyńcę, wiadomo, po dachu Wielkiego Bazaru („Skyfall", 2012 r.).

Gdy już wyjdziecie z Cysterny na powierzchnię, skręćcie w ulicę Ticarethane, a zaraz dotrzecie do wielkiej otwartej przestrzeni, która niegdyś była bizantyjskim hipodromem. Właśnie tu cesarstwo zabawiało swoich obywateli krwawymi zawodami rydwanów między drużynami Zielonych i Niebieskich, co świetnie opisuje Zofia Kossak w „Puszkarzu Orbano". To zresztą bardzo współczesna historia – do rywalizacji w jakimś sensie sportowej dorobiono ideologię, co w 532 r. doprowadziło do otwartych walk między „kibolami", w których zginęło 30 tys. osób.

Potem nasza pętla skręca na północ, przez most Galaty, w kierunku wieży o tej samej nazwie. Trudno ją przeoczyć, ale lepiej ją ominąć, biorąc pod uwagę ceny biletów (od 200 zł w górę bez windy). I dalej na Istiklal Caddesi (aleję Niepodległości), między tłum turystów i stary czerwony tramwaj. To wystawowa ulica Stambułu z najdroższymi sklepami, ale też księgarniami, w których można utonąć. Wychodząc z nich, trzeba uważać, bo samobójcy upodobali sobie skoki z wyższych pięter kamienic stojących wzdłuż Istiklalu.

5 Na jego końcu przestrzeń nagle się poszerza, z wydłużonej świątyni kapitalizmu przechodzimy nagle na świętą ziemię socjalizmu, kemalizmu i buntu – plac Taksim. Nazwany tak za sprawą kolejnej bizantyjskiej cysterny, która stanowi jego fundament, niegdyś wyznaczał granicę miasta. A okoliczne dzielnice zamieszkiwali głównie Grecy, Ormianie i Żydzi. Na południowym rogu nadal stoi cerkiew, a otulający plac od północy park Gezi był niegdyś ormiańskim cmentarzem. Kilka lat temu w zachodniej pierzei Taksimu wyrósł meczet, przyćmiewając pobliski pomnik Atatürka. Swoimi minaretami natychmiast zdominował okolicę. Tym bardziej że w trakcie jego budowy rozebrano Centrum Kultury Atatürka, modernistyczny budynek, gdzie pokolenia Turków uczęszczały na koncerty, opery i spektakle teatralne.

Trudno nie zauważyć tej symbolicznej zmiany warty i przedefiniowania przestrzeni zgodnych ze zmianami w wielkiej polityce. Pomysł, aby przy zbuntowanym

eprasa.pl 8a4c75bb48

placu postawić meczet, pojawił się już w latach 50. XX w., gdy Republika Turecka zaczęła eksperymentować z demokracją. Szybko jednak się okazało, że wola ludu jest niezgodna z planami rządzących (pierwszego demokratycznie wybranego premiera powiesili), i Taksim zachował swoją świecką ortodoksję.

Potem atak na plac przypuszczono z lewej strony, gdy przez całe lata 60. i 70. Taksim był areną starć wspomnianej ortodoksji z komunizującymi studentami. Niezmiernie modny wówczas (i w zasadzie do dzisiaj) na tureckich uczelniach marksizm-leninizm stanowił nie tylko ideologiczne, ale i geopolityczne zagrożenie dla reżimu, który wprowadził kraj do NATO. Związek Radziecki, który oczywiście maczał we wszystkim palce, był bardzo blisko. Na Taksimie tłukli się więc regularnie studenci z policją. Otwarta przestrzeń dawała pole do popisu, a pobliskie wąskie uliczki stanowiły drogę odwrotu.

Gdy Erdoğan w 1994 r. został burmistrzem Stambułu, wrócił pomysł z meczetem na Taksimie. Plany pokrzyżował mu jednak zamach stanu trzy lata później. Gdy jednak wrócił do władzy w 2003 r. już jako premier, budowa była tylko kwestią czasu. Nie przypadkiem właśnie tam – Taksim to przestrzeń wyjątkowo żywa, duży węzeł komunikacyjny. Codziennie przetaczają się po nim tłumy kupujących, dojeżdżających do pracy, turystów. Imprezowicze przepływają dniem i nocą. Zanim nadeszły telefony komórkowe, stambulczycy umawiali się „pod Atatürkiem" na Taksimie.

Plac niejako narodził się na nowo w 2013 r., gdy stał się miejscem gwałtownych i pierwszych na tak dużą skalę protestów przeciw Erdoğanowi. Ekolodzy, studenci, artyści i demokratyczni zorganizowali tygodniowy protest okupacyjny w sąsiednim parku Gezi – chcieli zablokować budowę centrum handlowego na wzór koszar, które stały tam w czasach osmańskich. Nie chodziło jednak tylko o komercjalizację ważnej przestrzeni publicznej, lecz również o prawdopodobną prywatyzację zysków z tej inwestycji, bo mieli się do niej zabrać kuzyni i znajomi premiera.

Erdoğan kazał bezwzględnie tłumić protesty za pomocą gazu łzawiącego i pałek. Dziesiątki osób aresztowano, dwie zginęły w samym Stambule, a kolejne sześć w protestach, które rozlały się na inne tureckie miasta. Ostatecznie bunt przyniósł jakiś skutek, budowę tymczasowo wstrzymano. Na styku placu i parku policja zainstalowała się na stałe. A płyty chodnikowe i bruk wymieniono na lity beton, żeby nie było już czym rzucać (beton dostarczył kolega Erdoğana, dziś już prezydenta Turcji).

6 Stambuł wyniósł Erdoğana do władzy. Za jego rządów w mieście wyrosły chmary wieżowców, setki tysięcy nowych domów, w tym wiele komunalnych. To migrująca do nich z prowincji religijna klasa średnia najsilniej związała swój los z Erdoğanem; mieszkają w nowych osiedlach, robią zakupy w nowych centrach handlowych i modlą się w neoosmańskich meczetach, które prezydent tak uwielbia i masowo buduje.

Ale ten stambulski szał budowlany może też przynieść Erdoğanowi klęskę. Dosłownie w ostatnich kilku latach powstały dwie nowe dzielnice, po milion mieszkańców każda, wokół trzeciego mostu przez Bosfor, oddanego w 2016 r. Obie zbudowały firmy powiązane z Erdoğanem i jego rodziną. Gdy będziecie już wracać na azjatycką stronę przez jeden z mostów bosforskich (pierwszy zbudowano w latach 1970–73, drugi – 1986–88), pomyślcie sobie, że każda z tych gigantycznych budów kończyła się skandalami korupcyjnymi i każda stworzyła nową elitę finansową blisko związaną z władzą. To przecież tysiące kontraktów, setki podwykonawców, miliardy dolarów.

Nawet dotychczasowi zwolennicy Erdoğana zdają sobie sprawę ze skali tych przekrętów, ustawionych przetargów, łapówek. Może w związku z tym nie zagłosują od razu na opozycję, ale wystarczy, że nie pójdą na wybory. To już się dzieje – w największych miastach Turcji rządzą krytycy Erdoğana. Nie kontroluje on już nawet swojego rodzinnego Stambułu, gdzie w 2019 r. wybory na burmistrza wygrał lider opozycji Ekrem Imamoğlu. Szykanowany przez władze centralne w marcu tego roku trafił do aresztu, grozi mu kilkanaście lat więzienia pod sfingowanymi zarzutami.

7 I tak nasza turystyczno-polityczna pętla dobiega końca. Gdy będziecie odlatywać, nie zdziwcie się chmarą mężczyzn w sile wieku z obandażowanymi głowami i niebieskimi kropkami na skórze, z uśmiechem przemierzających halę odlotów. To Stambuł, światowe centrum przeszczepów włosów, spełnił im obietnice lepszego życia i pewności siebie. Jednak nie dla wszystkich jest tak łaskawy.

Erdoğanowi nie pomoże już nawet wsadzenie Imamoğlu za kratki do końca życia. Znajdzie się nowy Imamoğlu. Prezydent Turcji w fałszywym poczuciu wielkości i złudnego bezpieczeństwa przegapił moment, gdy to odwieczne miasto odwróciło się od niego. Polityczna pętla niepostrzeżenie zaciska się na jego szyi.

ŁUKASZ WÓJCIK

© SHUTTERSTOCK (2)

REKLAMA



Zabierz POLITYKĘ na wakacje, zrób zdjęcie i wygraj w konkursie!

CZYTAJ W PLENERZE NA PAPIERZE

Zdjęcia z aktualnym wydaniem naszego tygodnika wrzuć na social media i oznacz: **@tygodnikpolityka #politykanawakacjach** lub wyślij mailem: **konkurs@polityka.pl**

Szczegóły w regulaminie konkursu na stronie **polityka.pl/opolityce**

Już tylko do 31 sierpnia czekamy na Wasze zdjęcia!

eprasa.pl 8a4c75bb48

Mars nie dla mas

Czerwona Planeta może zabić na wiele sposobów, a Elon Musk i Jeff Bezos do jej kolonizacji nie podchodzą poważnie – ostrzegają Kelly i Zach Weinersmithowie, autorzy książki „Miasto na Marsie”.

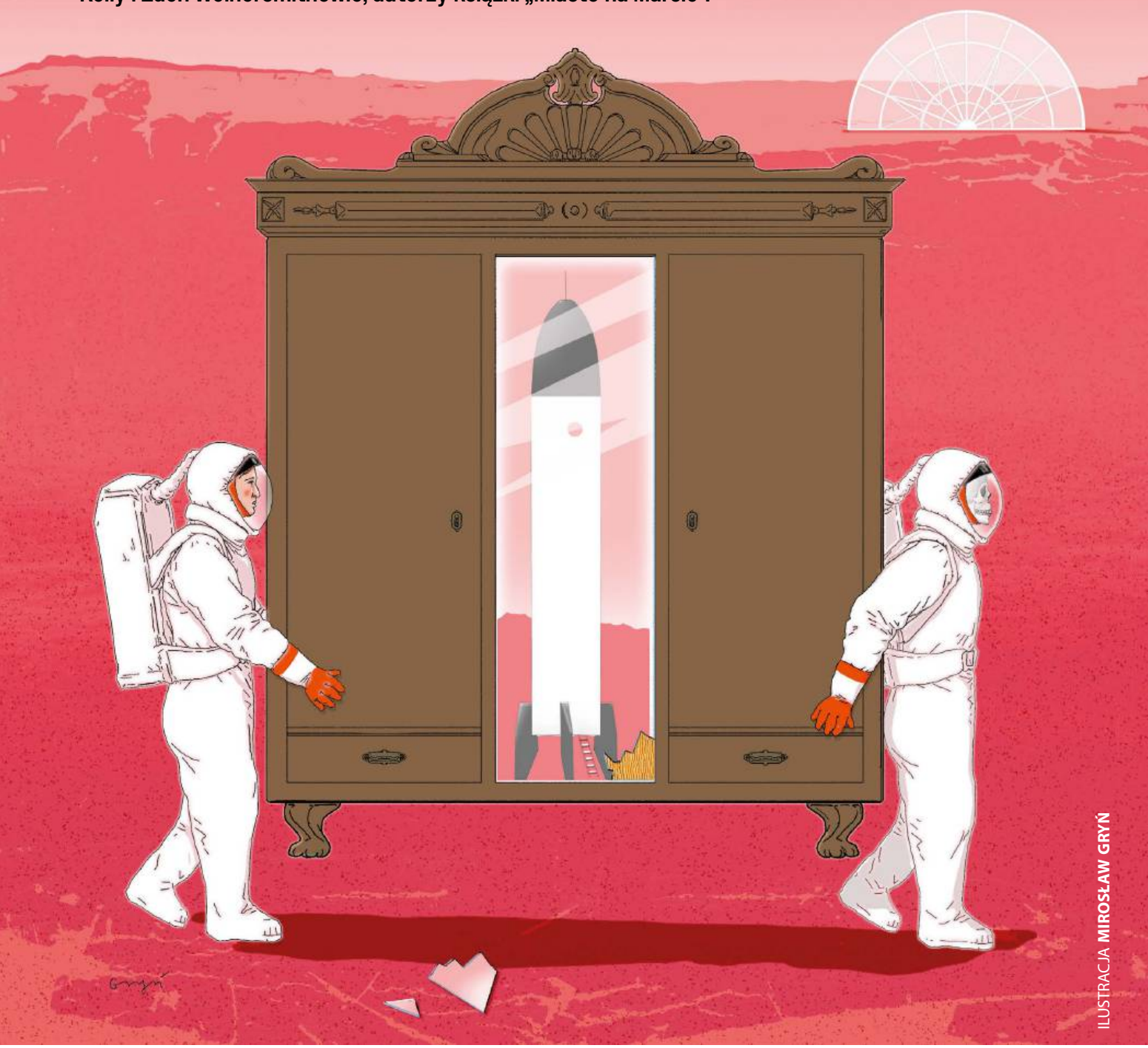

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

eprasa.pl 8a4c75bb48

KASPER KALINOWSKI: **– Elon Musk i jemu podobni twierdzą, że kolonie na Marsie powstaną do 2050 r. To realne?**

KELLY WEINERSMITH: – Musk twierdzi, że w ciągu 30 lat na Marsie zamieszka 1 mln ludzi. To nierealne z wielu powodów. Przede wszystkim nie mamy technologii potrzebnej do stworzenia takiego ekosystemu o obiegu zamkniętym. Nie możemy więc uprawiać roślin, które mogłyby oczyszczać powietrze i jednocześnie nas karmić. Nie wiemy bardzo wielu podstawowych rzeczy. Czy na Marsie ciąża będzie przebiegać prawidłowo? Czy 40 proc. ziemskiej grawitacji wystarczy dla prawidłowego rozwoju płodu?

ZACH WEINERSMITH: – Wątpię, czy Musk sam wierzy w swoje teorie. Wydaje mi się, że stara się zainteresować inżynierów i inwestorów. Gdyby taka wizja była realna, powinniśmy poświęcić znacznie więcej czasu choćby na kwestie biologiczne. Powinniśmy przeprowadzić kilkanaście eksperymentów podobnych do Biosfery 2. To wielka, niemal szczelna szklarnia w Arizonie. Śmiałkowie spędzili w niej ponad rok i nie była to kompletna porażka. Wszyscy przeżyli i czegoś się nauczyli. Co prawda podzielili się na dwie grupy, które przestały ze sobą rozmawiać, zapanował głód, owady zaatakowały zbiory, a w pewnym momencie zabrakło tlenu, ale większość problemów byłaby łatwa do wyeliminowania. Konstruktorzy nie przewidzieli np. czasu wegetacji roślin ani tego, że skorpiony są jadowite.

„Skoro nie wiemy, czy jest jakiś problem, możemy założyć, że go nie ma" – tak opisujecie poglądy entuzjastów podróży kosmicznych.

Z.W.: – Wśród inżynierów kosmicznych panuje takie właśnie przekonanie. Często się słyszy, że woda na Księżycu jest dostępna. W sensie dosłownym to prawda, ale jej wydobycie wymaga przebicia się przez 10 km twardego jak kamień lodu.

To skąd tak powszechne przekonanie, że powinniśmy jak najszybciej kolonizować Marsa?

K.W.: – Wydaje się absurdalne. Nie wiem, w jakim stopniu wynika z nadziei, że wszystkie przeszkody zostaną pokonane, która miałaby popychać do znajdowania rozwiązań. Wielu ludzi marzących o podboju kosmosu chce to zobaczyć za swojego życia.

Z.W.: – Fani Muska to na ogół libertarianie w amerykańskim wydaniu. Wierzą w mit pogranicza – nieprawdziwą legendę Dzikiego Zachodu, który jakoby kształtował charakter osadników. A wolność od rządu to dla nich podstawa. Wiele z tych idei opiera się na przekonaniu, że na Ziemi jest już zbyt dużo socjalizmu czy biurokracji i że podróż na Marsa nas od tego wyzwoli. To rodzaj fantazji. Czasem Mars pełni w niej funkcję rezerwowej planety. Kosmos nie jest jednak rozwiązaniem problemów na Ziemi, lecz ucieczką od politycznych realiów.

Niektóre założenia są wręcz mistyczne. Ludzkość ma czekać w kosmosie nowy, lepszy rozdział.

K.W.: – Mary-Jane Rubenstein opowiada o tym w bardzo ciekawej książce „Astrotopia". Jej zdaniem eksploracja kosmosu jest swego rodzaju religią. Według mnie ludzie są po prostu skłonni wierzyć, że wszystko się jakoś ułoży. Zresztą przestrzeń poza Ziemią od bardzo dawna była obiektem naszych marzeń. W wielu wspomnieniach astronautów pojawia się wątek spoglądania w dół na planetę, na której nie widać granic. To oczywiście nieprawda – z kosmosu doskonale widać granice – między Indiami a Pakistanem czy Koreą Północną a Południową. Bardzo łatwo jest jednak przenosić utopijne marzenia w kosmos.

Z.W.: – Główne założenie tej opowieści – że ludzka natura znika po przekroczeniu atmosfery – zakrawa na myślenie magiczne. Niektórzy przedstawiciele ruchu kolonizacyjnego sami nazywają go świecką religią.

Do tego romantyzujemy kosmos. Wy często powtarzacie, że to koszmar.

K.W.: – Kosmos próbuje nas zabić na wiele różnych sposobów. Zacznijmy od tego, że większość tej przestrzeni to próżnia. Jeśli zostaniesz wystawiony na jej działanie, azot wydobędzie się z twojej krwi w postaci pęcherzyków, które mogą osadzić się w mózgu, skutkiem czego jest dezorientacja. Mogą również osadzić się w płucach, powodując duszności, albo w stawach, wywołując chorobę kesonową. Chorzy dosłowne zwijają się z bólu. Poza tym bez skafandra szybko umrzesz. Tak zginęła załoga stacji kosmicznej Salut 1.

Autorzy artykułów naukowych podkreślają, że w kosmosie wszyscy oślepniemy, bo przy niskiej grawitacji płyny ustrojowe przemieszczają się w górę i naciskają na gałki oczne, być może uszkadzając nerwy. To najbardziej prawdopodobna przyczyna tego, że nasz wzrok pogarsza się w kosmosie. Na Marsie oznaczałoby to ślepotę.

Z.W.: – Sam Mars też jest okropny. Tyle że mniej zły niż inne miejsca. Nawet na Ziemi, gdzie ewoluowaliśmy, na ok. 70 proc. powierzchni bez odpowiedniego sprzętu umarlibyśmy natychmiast. Wyobraźmy sobie próbę przeżycia na Antarktydzie, w wysokich górach, na otwartym oceanie.

Niewiele mówi się też o problemach związanych z promieniowaniem.

Z.W.: – Ponieważ niewiele wiemy o tym, jak wpływa na ludzi. Dysponujemy wyłącznie wynikami badań nad zwierzętami. Dane pochodzą też ze zdarzeń takich jak awaria w Czarnobylu czy eksplozje bomb w Hiroszimie i Nagasaki, ale to nie były kontrolowane eksperymenty. A najdłuższa misja kosmiczna – Apollo 17 – trwała 12,5 doby. W przypadku dzieci nie posiadamy żadnych danych. Najmłodsza osoba w kosmosie miała 18 lat. Najlepszym sposobem na uniknięcie promieniowania jest życie pod ziemią. Szklarnie czy okna wymagałyby ogromnych kosztów, czasu i wysiłku związanego z ich utrzymaniem. Stacja kosmiczna to pewne problemy z wyciekami. Bezpieczniej jest żyć jak kret.

K.W.: – Promieniowanie nie tylko przenika cały kosmos. To również inny rodzaj promieniowania niż to, jakiego doświadczamy na Ziemi. Właściwie nie rozumiemy go zbyt dobrze. Prawdopodobnie powoduje raka, ale nie znamy szczegółów tych mechanizmów. Nawet krótkie pobyty na stacjach kosmicznych nie są dobrym źródłem wiedzy – ich załoga jest chroniona przez ziemską magnetosferę, więc jest wystawiona na działanie innego rodzaju promieniowania niż pierwsi marsjańscy koloniści.

Czy kolonia na Marsie mogłaby przetrwać bez stałej pomocy z Ziemi?

Z.W.: – Jeśli damy jej nieskończony czas, to tak. W przeciwieństwie do Księżyca Mars ma wszystkie niezbędne pierwiastki, jak węgiel czy tlen. Taka kolonia musiałaby jednak wytworzyć wszystko, co produkuje nasza planeta. Nie będzie to życie jak na wakacjach all inclusive. Ważniejsze są kwestie ekonomiczne. Dobry przykład to mikrochipy. Ich stworzenie na Ziemi wymaga udziału całej ludzkości, globalnej współpracy 8 mld ludzi. Nie ma szans, żeby to robić na Marsie.

K.W.: – Osiągnięcie samowystarczalności zajmie dużo czasu.

A terraformowanie? To kolejny mit?

Z.W.: – Niektóre symulacje potwierdzają, że teoretycznie jest to możliwe. Chodzi o ogrzanie Marsa i utworzenie atmosfery, ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ w której można uprawiać produkujące tlen rośliny. Niektórzy mówią o skierowaniu dużej ilości energii na bieguny Marsa (np. tysięcy ładunków termojądrowych). Pojawia się jednak kluczowe pytanie – kto ma prawo to zrobić? Jako ludzkość nie jesteśmy zjednoczeni na Ziemi. Przyznanie jednej osobie, korporacji czy narodowi prawa do rzucania kometami w planetę dla celów naukowych jest dość przerażające.

K.W.: – To wyraźnie pokazuje, ile pracy wymagałoby uczynienie Marsa bardziej przyjaznym miejscem. Naprawdę nie powinniśmy zaczynać terraformującego ataku nuklearnego bez zgody globalnej społeczności, a ta wydaje się nieosiągalna. Poza tym, zanim temperatury na Marsie staną się zbliżone do ziemskich, upłynie bardzo dużo czasu. Tylko na Ziemi możemy wyjść na zewnątrz, poczuć wiatr na twarzy, wziąć głęboki oddech i nie umrzeć. Dlaczego więc nie pracować z tym, co mamy?

Będziemy żyć pod ziemią, jedzenia będzie brakować. To warunki idealne dla dyktatury?

K.W.: – Dr Robert Zubrin, wielki zwolennik kolonizacji Marsa, twierdzi, że w kosmosie będziemy cieszyć się wolnością. Jego zdaniem, jeśli nie spodoba ci się sposób zarządzania twoim osiedlem kosmicznym, udasz się do innego. Zakłada więc, że granice będą otwarte. Nie doczekaliśmy się ich jednak na Ziemi, gdzie nie musimy się martwić, czy tlenu wystarczy dla wszystkich. Dlatego jestem krytyczna. Prof. Charles Cockell, brytyjski astrobiolog, który bada ekstremalne formy życia, twierdzi, że warunki w kosmosie szczególnie sprzyjają dyktaturze. Bo za wszystko, łącznie z dostarczaniem tlenu, będzie tam prawdopodobnie odpowiadać jedna osoba czy korporacja. To przecież władza absolutna.

Zabieramy w kosmos ludzką psychikę. Jakie największe zagrożenia z jej strony mogą nas czekać?

K.W.: – Okazuje się, że w izolowanych i zamkniętych środowiskach radzimy sobie zaskakująco dobrze. To nie tylko dane pochodzące od astronautów, ale również załóg podwodnych okrętów atomowych czy arktycznych stacji badawczych. We wszystkich tych przypadkach mamy jednak do czynienia z osobami, które przeszły selekcję, o określonych predyspozycjach. W przypadku wysyłania w kosmos tzw. zwykłych ludzi możemy sobie wyobrazić, że problemy psychicznie mogą się pojawić.

Dlaczego nazywacie astronautów „kłamcami", jeśli chodzi o zgłaszanie problemów psychicznych?

Z.W.: – Przeczytaliśmy większość dostępnych wspomnień i pamiętników. Okazało się, że Amerykanie, Brytyjczycy czy Rosjanie, mężczyźni, kobiety, niezależnie od epoki, pod jednym względem zachowywali się bardzo podobnie. Wszyscy okłamywali personel psychiatryczny i medyczny. Jeden z pierwszych radzieckich kosmonautów Gierman Titow ukrył nawet fakt, że wymiotował do rękawic. Kosmonauta Jurij Ponomariow – mąż Walentyny Ponomariowej, jednej z dublerek Walentyny Tierieszkowej – wyznał, że wszyscy mężczyźni oszukiwali na testach i instruowali kobiety, jak to robić.

K.W.: – Gdyby w trakcie szkolenia przyznali, że coś było nie tak, mogliby nie polecieć w kosmos. Stracić niepowtarzalną szansę. Michael Collins, astronauta z programu Apollo 11, który pozostał w module orbitującym wokół Księżyca, przeczuwał, że będzie miał atak paniki w skafandrze. Nazywał go nawet „ohydną małą trumną". Nie powiedział o tym nikomu. Inny astronauta, Mike Mullane, wyrwał kilka stron ze swojej dokumentacji medycznej.

Nie wiemy, jakie prawa będą obowiązywać w kosmosie. Prawa USA, Europy, kraju, który założy osadę?

Z.W.: – W 1967 r. USA, ZSRR i inne państwa podpisały traktat o przestrzeni kosmicznej. Najważniejszy jest artykuł drugi o braku suwerenności w kosmosie. W praktyce oznacza to, że nikt nie może anektować kawałka wszechświata. Ten jest bowiem dobrem wspólnym i należy do wszystkich (lub do nikogo).

K.W.: – Zgodnie z prawem międzynarodowym za osadę w kosmosie może być odpowiedzialne państwo, które wystrzeli astronautów, albo to, z którego ci ludzie pochodzą. Więc jeśli Musk wyśle grupę Amerykanów, a ci wystartują z amerykańskiej ziemi, wtedy prawo USA będzie regulować życie kolonii. Sprawa jest jednak skomplikowana. Na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej obowiązuje prawo państwa, które stworzyło dany moduł. Kto przebywa w module japońskim, ten w pewnym sensie podlega prawu japońskiemu, ale jeśli np. Amerykanin i Rosjanin wdadzą się tam w bójkę, sprawa się skomplikuje.

Obawiam się nowego wyścigu kosmicznego między USA a Chinami. Niektórzy zresztą twierdzą, że już się rozpoczął. W poprzedniej rywalizacji nikt nie użył broni jądrowej, co nie oznacza, że następnym razem pójdzie równie dobrze. To niepokojące.

Entuzjaści zakładają, że koloniści będą się rozmnażać.

K.W.: – Wiemy zdecydowanie za mało. Na pewno jednak słaba grawitacja jest bardzo niekorzystna dla kości i mięśni. Astronauci tracą każdego miesiąca ok. 1 proc. gęstości kości. Mimo intensywnych ćwiczeń. Wysyłaliśmy w kosmos ciężarne gryzonie, które wracały na Ziemię na czas porodu. Okazało się, że potrzebowały dwukrotnie więcej skurczów. Będąc osobą, która dwukrotnie rodziła, nie chciałabym tego przechodzić. Nie mamy pojęcia, czy płody mogą rozwijać się normalnie w grawitacji niższej niż ta, w której ewoluował nasz gatunek. Brakuje takich eksperymentów.

Z.W.: – Gdyby Elon Musk czy Jeff Bezos podchodzili do sprawy poważnie, takie badania byłyby intensywnie prowadzone. Ale nic takiego się nie dzieje. Na orbicie prowadzi się wiele w pewnym sensie przypadkowych, chaotycznych doświadczeń. Krąży oczywiście wiele anegdot. Nie potwierdzono seksu w kosmosie, ale radzieccy kosmonauci zabrali na orbitę kasetę z „Emmanuelle", a jeden z nich tłumaczył całość na żywo. Astronauta Aleksandr Ławiejkin wspomniał, że onanizm był codziennością, a kosmiczny turysta Dennis Tito opowiadał o uporczywej kosmicznej erekcji. Pozostają też kwestie techniczne. Ludzie musieliby uprawiać seks, a w kosmosie trudno stwierdzić, kto jest na górze, a kto na dole. Inżynierowie proponowali elastyczny pas dla dwojga, „tunel miłości" czy 2suit, który miał łączyć kochanków za pomocą rzepów.

O porodzie w warunkach kosmicznych nie wiemy nic. Elton John w utworze „Rocket Man" (w którym śpiewa m.in. o wychowaniu dzieci na Marsie – przyp. red.) nie wspomina np. o możliwości pęknięcia miednicy podczas porodu w kosmosie ani o potrzebie spędzenia całej ciąży w wirówce wytwarzającej grawitację. A nawet gdyby dziecko urodziło się zdrowe, nie wiemy, jak zapobiec utracie masy kostnej i mięśniowej.

A wychowanie dzieci? To chyba nie najlepsze miejsce, tak jak w piosence.

Z.W.: – Najgorsze, jakie można sobie wyobrazić. Jak wpłynie choćby na rozwój mózgu? Gdybyśmy chcieli kolonizować Marsa w sposób choć trochę etyczny, należałoby zacząć od innych kręgowców, od szczurów, a potem małp człekokształtnych. Inaczej każda próba założenia osady na Marsie to gigantyczny i nieetyczny eksperyment na dzieciach przeprowadzony bez powodu.

eprasa.pl 8a4c75bb48

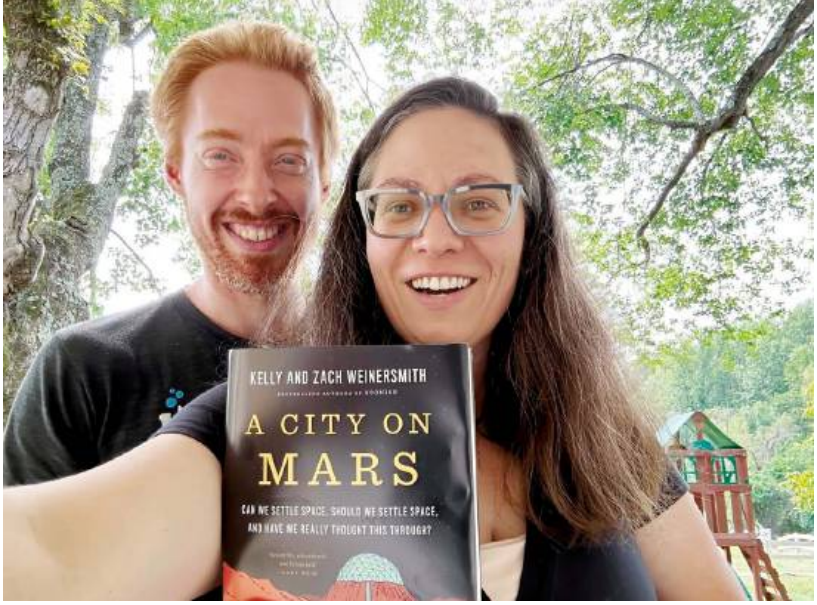

Dr **Kelly Weinersmith** pracuje na Wydziale Nauk Biologicznych Uniwersytetu Rice'a.
Zach Weinersmith – rysownik, autor komiksu internetowego „Saturday Morning Breakfast Cereal". Współautor (z Bryanem Caplanem) powieści graficznej „Open Borders", która trafiła na listę bestsellerów, „New York Timesa".
Niedawno w Polsce ukazała się książka Weinersmithów „Miasto na Marsie. Czy możemy skolonizować kosmos, czy powinniśmy to robić i czy naprawdę mamy to dobrze przemyślane?".

K.W.: – Nie ma dowodów, że w kosmosie dzieci będą się rodzić zdrowe. Eksperci, z którymi rozmawialiśmy, powtarzali coś w rodzaju: „Cóż, może będziemy musieli zmienić kryteria dotyczące tego, jak cenne jest ludzkie życie". Aż mnie mdli, jak o tym myślę.

Nie tylko dzieci chorują. Jakie operacje można przeprowadzić w kosmosie?

Z.W.: – W żadnym z dotychczasowych programów kosmicznych nie zdarzyło się, żeby ktoś potrzebował choćby wycięcia wyrostka robaczkowego. Zresztą, gdyby tak się stało, prawdopodobnie wysłalibyśmy go do domu. Gdy czytaliśmy prace naukowe analizujące, co dzieje się z jelitami w stanie nieważkości, zastanawialiśmy się, jak prowadzono badania. Okazało się, że ładowano świnie do samolotów i wykonywano trajektorię paraboliczną, czyli swobodne opadanie.

Z prac naukowych wynika, że zasadniczo można wykonywać operacje, ale jest to skomplikowane. Wyobraźmy sobie chirurga, który całe życie szkolił się i pracował w ziemskim środowisku, gdzie np. krew zawsze spływa w dół. W kosmosie uformuje kulę. Dodajmy problem ze sterylnymi warunkami. Na wahadłowcach nie udało się osiągnąć pełnej sterylności toalet, więc w powietrzu unosiły się cząsteczki kału. Takie operacje należałoby przeprowadzać we wnętrzu ciała.

K.W.: – Niedawne badanie wykazało, że ok. 60 proc. leków, których potrzebujemy najbardziej, straciłoby właściwości lecznicze lub się przeterminowało przed zakończeniem misji na Marsa. Weźmy oksytocynę, która przydaje się przy porodzie. Wywołuje przecież skurcze i zamyka naczynia krwionośne, hamując krwawienie, które może być groźne dla życia rodzącej. Tylko że musi być przechowywana w lodówkach, w określonej temperaturze i nawet wtedy traci ważność po trzech latach. Takie detale są pomijane przy planowaniu misji kosmicznych.

Dlaczego więc nie spróbować najpierw z bazą na Księżycu?

Z.W.: – Ekspertów zajmujących się Księżycem tematyka Marsa często doprowadza do szału, bo wszystkie środki idą na Czerwoną Planetę. Podkreślają, że wciąż jest mnóstwo rzeczy, których nie wiemy o Księżycu. Całkowity czas, jaki na nim spędziliśmy, to około tygodnia. Nasz satelita, jak sądzimy, powstał w dość nietypowy sposób. Jest tam bardzo mało węgla. Trzeba by więc go przywozić. Oprócz nasion roślin należałoby zabrać tam ziemię. Gdyby zbudować na Ziemi coś w rodzaju Biosfery 2 i sprawdzić tę konstrukcję na Księżycu, dowiedzielibyśmy się, czy ludzie mogliby się rozmnażać w tamtejszych warunkach. Eksperymenty na Księżycu dostarczyłyby danych o życiu w niebezpiecznych miejscach i o wpływie częściowej grawitacji na kości i mięśnie.

Księżyc ma tę zaletę, że jest dość blisko. W razie katastrofy powrót na Ziemię jest realny. Łączność z Marsem trwa od trzech do 22 minut w jedną stronę.

K.W.: – Na Marsie chodzi nie tylko o węgiel. Azot i fosfor również trzeba by dostarczyć z Ziemi. Poza tym dzień i noc trwają na Księżycu po dwa tygodnie, co uniemożliwia albo bardzo utrudnia używanie paneli słonecznych poza biegunami. To dobre miejsce do prowadzenia eksperymentów, ale nie do założenia cywilizacji.

Może jedyną zaletą Marsa jest fakt, że inne planety są jeszcze gorsze?

Z.W.: – Oczywiście. Entuzjaści podboju kosmosu mówią o Marsie jako pierwszym wyborze, potem o gigantycznych obrotowych stacjach kosmicznych (co z wielu powodów jest złym pomysłem). Następnie pojawia się Wenus, ale to już szaleństwo. To planeta, która by ugotowała i zmiażdżyła każdego kolonistę. Warunki na Merkurym przypominają wnętrze pieca do pizzy, a inne planety nie mają nawet skalistej powierzchni. Mars jest jedynym miejscem, gdzie w ciągu 6–10 lat można by wysłać ludzi i sprowadzić ich z powrotem, choć wiele wskazuje, że prawdopodobnie będzie to bilet w jedną stronę.

K.W.: – Mars ma wiele minusów, jak choćby toksyczną glebę i burze pyłowe, które zasłaniają słońce na tygodnie. Mimo to, jeśli chodzi o możliwość założenia osady, to najbardziej podobna do Ziemi planeta. Długość dnia jest zbliżona do ziemskiej. Temperatury są dość umiarkowane w stosunku do tego, co znajdziemy na innych ciałach Układu Słonecznego. Są wszystkie elementy budulcowe, których potrzebowalibyśmy, aby utrzymać się przy życiu i uprawiać rośliny.

Powinniśmy w ogóle próbować?

Z.W.: – Jedynym argumentem, który wytrzymuje krytykę, jest stwierdzenie: „To byłoby naprawdę fajne". Co przypomina „Star Treka". Tam przygoda jest jednym z głównych argumentów za eksploracją. Po prostu dobrze byłoby zobaczyć, jak to jest.

K.W.: – Jestem fanką science fiction i dlatego niekoniecznie chcę, żebyśmy przestali próbować, ale wolałabym, żebyśmy robili to w sposób bezpieczny i przemyślany. Żebyśmy prowadzili badania nad ekosystemami o obiegu zamkniętym i lepiej nauczyli się przetwarzać zasoby, co przyniosłoby korzyści tutaj, na Ziemi. Nie sądzę, że powinniśmy się śpieszyć. Zróbmy to, jak należy.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

© ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 8a4c75bb48



Ciepłe przejęcie

Gdzie tylko pojawiał się człowiek, zmieniało się wszystko. Zamiast spierać się o początek antropocenu, najlepiej uznać, że żyjemy w tej epoce od tysięcy lat.

ANDRZEJ HOŁDYS

Przyrodnicze ramy tego, co określamy ludzką cywilizacją, wyznaczyła epoka nadzwyczaj stabilnego klimatu. Innego świata w zasadzie nie znamy. Zaczął się 11,6 tys. lat temu. Tak zdecydowali geolodzy. Opierali się na datowaniach rdzeni lodowych z Grenlandii i osadów odkładających się na dnie jezior. Data wyznacza początek szybkiego ocieplenia, które nastało po trwającym około tysiąca lat spadku temperatur. Uznano, że ten dołek należy zaliczyć jeszcze do plejstocenu, czyli epoki lodowcowej, a jego koniec będzie zarazem początkiem nowej epoki geologicznej. Lód grenlandzki i inne naturalne archiwa klimatyczne zgodnie bowiem wskazywały, że właśnie wówczas Ziemia przeszła we względnie krótkim czasie z jednego stanu równowagi cieplnej w drugi. Była jak wychłodzony dom, w którym ktoś po długiej przerwie odkręcił kaloryfer.

Moment startu tego „nowego wspaniałego świata" wpisano do tabeli czasu geologicznego dopiero w 2009 r. Jednak jego nazwę ustalono jeszcze w drugiej

© EAST NEWS

eprasa.pl 8a4c75bb48



Alpejskie doliny nie są już takie same, odkąd masowo osiedlili się tam pasterze

połowie XIX w., kiedy odkryto, że dawno temu Eurazję i Amerykę Północną zajęły olbrzymie lądolody. Sławny geolog Charles Lyell zaproponował, żeby okres inwazji lodu nazwać „plejstocenem", ale wyróżnił też późniejszą fazę polodowcową, którą nazwał „najnowszą", podczas której – jak pisał – „Ziemia została zamieszkana przez człowieka". Gorąco debatowano wtedy nad przyczynami nagłego zniknięcia mamutów, nosorożców włochatych i innych wielkich ssaków. Wkrótce powiązano ich wymarcie ze zniknięciem lądolodów, lecz gdy się zorientowano, że ludzie żyli już w tamtych czasach, zaczęto się zastanawiać, czy to aby nie nasi przodkowie urządzili rzeź włochatym „bestiom". Po raz pierwszy ktoś rzucił śmiałą hipotezę, że człowiek prehistoryczny, gdy tylko warunki zaczęły mu sprzyjać, szybko zabrał się do ingerowania w przyrodę.

Termin „epoka najnowsza" przyjął się, choć z pewną modyfikacją. W 1885 r. podczas kongresu w Berlinie zdecydowano, że nowa polodowcowa faza dziejów Ziemi zostanie nazwana holocenem, czyli epoką „całkowicie nową". Wystartowała z przytupem – temperatura globalna poszybowała, zmuszając lodowce do rejterady. Ich miejsce zajmowała najpierw tundra, a potem lasy. Fale zimna powracały, ale nie zdołały odwrócić biegu zdarzeń. Po każdym takim kroku wstecz temperatury rosły jeszcze wyraźniej, czemu towarzyszył wzrost populacji ludzi, którzy już wtedy zaczęli zmieniać świat wokół siebie. My również wystartowaliśmy od razu, gdy tylko chłód się wycofał. W Anatolii już 11 tys. lat temu pierwsi rolnicy udomowili pszenicę, a niedługo potem zbudowali osady. Pionierów było niewielu, ale ziarno zostało zasiane – odtąd nasza ingerencja w ziemską przyrodę nasilała się z każdym tysiącleciem. Dowodów dostarczają coraz liczniejsze badania.

Presja człowieka

Skamieniałości kojarzą nam się przeważnie z dinozaurami i innymi prehistorycznymi olbrzymami, ale zapis kopalny obejmuje również znacznie mniejsze znaleziska, takie jak pozostałości dawnych raf koralowych wraz z zachowanymi w nich fragmentami narządów lub tkanek należących do wymarłych mieszkańców tychże raf. Mogą to być np. drobne ząbkowane łuski pokrywające ciała rekinów albo otolity – milimetrowych rozmiarów struktury w narządach słuchowych ryb.

Takie właśnie delikatne, niepozorne skamieliny zostały odkryte przez paleontologów ze Smithsonian Tropical Research Institute w dwóch lokalizacjach nad Morzem Karaibskim – w Panamie i Republice Dominikańskiej. Najstarsze z tych znalezisk pochodziły sprzed 7 tys. lat. Badacze uznali, że natura podarowała im wspaniały prezent. Dzięki niemu mogli się dowiedzieć, jak wyglądało środowisko karaibskich raf koralowych w czasach, gdy presja człowieka była znacznie mniejsza niż dziś. I porównać je z ekosystemem współczesnych raf z tej samej okolicy.

Nie spodziewali się, że te dwa ekosystemy będzie dzieliła aż taka przepaść. W ciągu 7 tys. lat liczebność populacji rekinów, ustalona na podstawie obfitości ich łusek w zapisie kopalnym, zmniejszyła się o 75 proc., a rozmiary dużych drapieżnych ryb skurczyły się średnio o 22 proc. Równie zaskakujące było to, że mniejsze gatunki ryb, które są głównym pokarmem topowych drapieżców, podwoiły swoją liczebność, a także zwiększyły swoje rozmiary – mniej więcej o jedną szóstą.

Co takiego stało się z rekinami i innymi wielkimi drapieżcami Morza Karaibskiego? Jaki czynnik tak poważnie zaburzył jego ekosystem, uruchamiając kaskadę zmian w łańcuchu pokarmowym? Odpowiedź badaczy, udzielona w lipcu na łamach prestiżowego „PNAS", brzmiała: działalność człowieka. „Mieszkańcy wybrzeży Morza Karaibskiego od dawna eksploatowali jego zasoby, przede wszystkim wyławiali z niego duże drapieżne ryby. Miały one dla nich największą wartość jako pożywienie. W wyniku tej selektywnej presji trwającej wiele tysięcy lat zaburzyli pierwotne relacje pomiędzy drapieżnikami a ich ofiarami. W pewnym sensie człowiek stał się ważnym elementem miejscowego ekosystemu" – napisali Aaron O'Dea, Erin Dillon i pozostali autorzy, podsumowując swoje analizy.

Kształt krajobrazu

Ci, którzy przez tysiące lat eksploatowali Morze Karaibskie, znacznie uszczuplając populacje głównych drapieżców, nie byli początkowo rolnikami. Zajmowali się łowiectwem i zbieractwem, a jeśli zamieszkiwali wybrzeża – właśnie rybołówstwem. Temu zajęciu pozostali wierni także później, gdy niektórzy z nich zaczęli uprawiać ziemię, zresztą na niewielką skalę. Wykopaliska archeologiczne potwierdzają, że ryby i owoce morza stanowiły często najważniejszy składnik diety nadbrzeżnych społeczności. ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ Tak było również w przypadku mieszkańców przybrzeżnych archipelagów ciągnących się na długości wielu tysięcy kilometrów wzdłuż wschodnich i południowych wybrzeży Ameryki Północnej. Ludzie zaczęli się na nich osiedlać już 5 tys. lat temu i tam pozostali, choć wydawałoby się, że długie, wąskie i płaskie pasemka lądu usypane z piasku przez fale morskie średnio nadają się do życia, jako że kapryśny ocean potrafi zniszczyć to, co sam stworzył. Tu jednak tak się nie stało.

Geolodzy i geomorfolodzy, którzy postanowili wyjaśnić tę zagadkę, szukali jakiegoś naturalnego procesu, który mógł ochronić wyspy przed zniszczeniem. Ich zaskoczenie było więc ogromne, gdy po wykonaniu wielu odwiertów i wykopaniu dołów odkrywkowych znaleźli w ziemi miliardy muszli ostryg, które stanowiły ważny składnik diety dawnych mieszkańców. „Ostrygi zjadano, a muszle wykorzystywano do podwyższania i wzmacniania wysp. Tak postępowano przez tysiąclecia. To, co miało być dziełem natury, okazało się w dużym stopniu dziełem człowieka" – napisał Jacob Holland-Lulewicz ze współpracownikami w lipcowej publikacji na łamach „Communications Earth & Environment". Według badaczy większość, a być może wszystkie te wyspy barierowe, jak się je fachowo określa, na które człowiek wprowadził się wcześnie, dzięki niemu przetrwały do dziś w obecnym kształcie. „W wielu miejscach, które dziś wydają się dzikie i pierwotne, odnajdujemy ślady dawnej aktywności ludzi" – zauważyli na koniec autorzy.

Z dymem pożarów

Pod tą konkluzją dwiema rękami podpisałby się Doug MacDonald, prowadzący badania w słynnym Parku Narodowym Yellowstone archeolog, który znalazł tu liczne ślady obecności ludzi w ciągu ostatnich 11 tys. lat i doszedł do wniosku, że o tym przepięknym i niepowtarzalnym miejscu można napisać wszystko, ale nie to, że był to teren dziewiczy. Społeczności łowiecko-zbierackie stanowiły bowiem integralną część tego krajobrazu od czasów mastodontów i mamutów. Przekształcały go według swoich potrzeb, zazwyczaj wzniecając pożary, podobnie jak to czynili rdzenni mieszkańcy Australii.

W niedawnej pracy na łamach „Science" grupa badaczy pod kierunkiem Micheli Mariani, ekspertki od dawnych krajobrazów i ekosystemów, wykazała, że Aborygeni przez tysiące lat na masową skalę oczyszczali lasy z warstwy podszytu za pomocą ognia. Usuwali krzewy, aby w razie spontanicznego pożaru, zainicjowanego uderzeniem pioruna, nie ułatwiły płomieniom wędrówki w górę i dotarcia do piętra koron. Tam bowiem żywioł mógł się łatwo rozprzestrzenić, przeskakując z wiatrem od drzewa do drzewa. Taki ogień, już poza kontrolą człowieka, mógł zniszczyć las, który dawał schronienie, dostarczał surowców i zapewniał pokarm.

Badacze stwierdzili, że przed przybyciem do Australii ludzi krzewy zajmowały 30 proc. terenów leśnych. Aborygeni zmniejszyli ich powierzchnię o połowę. Identycznie postępowano już 7–8 tys. lat temu w niektórych regionach Azji Południowej – to z kolei konkluzja z badań opublikowanych wiosną w „PLOS One" przez naukowców z międzynarodowej grupy roboczej LandCover6k.

Jak widać, już społeczności zbieracko-łowieckie ze sporym rozmachem modyfikowały środowisko, w którym żyły. Ta presja nasiliła się wskutek rozpowszechnienia rolnictwa, co nastąpiło przed ok. 5 tys. lat wraz z początkiem epoki brązu. W połowie lipca w „PNAS" ukazał się artykuł, którego autorzy – geomorfolog William Rapuc z Uniwersytetu Sabaudzkiego ze współpracownikami – doszli do wniosku, że masowe wkroczenie pasterstwa na teren Alp zwiększyło dziesięciokrotnie tempo erozji gleb i odmieniło koryta górskich rzek. Ludność pasterska nie pozostawiła po sobie zbyt wielu świadectw materialnych, za to odcisnęła trwałe i silne piętno na krajobrazie gór. „Dokładnie 3,8 tys. lat temu doszło do radykalnej zmiany w sposobie akumulacji osadów rzecznych. Naturalny wcześniej krajobraz znalazł się pod silną presją antropogeniczną" – doszli do wniosku Rapuc i pozostali autorzy.

Wspomnijmy też o tegorocznych badaniach pod kierunkiem naukowców z uniwersytetu w Heidelbergu. W rdzeniach wydobytych z dna Morza Egejskiego oraz z torfowiska Tenaghi Philippon w Tracji zidentyfikowali ołów sprzed 5,2 tys. lat pochodzący z bałkańskich kopalń srebra. Początkowo poziom zanieczyszczeń nie był duży i miał charakter lokalny, ale stopniowo się zwiększał, a ok. 150 r. p.n.e., gdy Grecja została ostatecznie podbita przez Rzymian, osiągnął skalę wcześniej niespotykaną. Naturalne archiwa, takie jak torfowiska i osady podmorskie, zarejestrowały nagły wzrost poziomu zanieczyszczeń oraz równie gwałtowne zmiany w szacie roślinnej polegające na masowym usuwaniu lasów na lądach wokół Morza Egejskiego i przejmowaniu pozyskanych terenów przez rolników. „Od tego przełomowego momentu środowisko całego regionu zostało poddane intensywnej, powszechnej i nieustającej presji antropogenicznej" – podsumowali swoje badania naukowcy. Ich wyniki opublikowali w „Communications Earth & Environment".

Sztuczna naturalność

Czy jednak te usuwane, tym razem już na masową skalę, śródziemnomorskie lasy były naturalne? Być może w części tak, jednak analiza przeprowadzona przez wspomnianą już grupę badawczą LandCover6k wykazuje, że już 6 tys. lat temu skład gatunkowy europejskich lasów różnił się znacząco od tego, co powinno w nich naturalnie rosnąć w ówczesnych warunkach klimatycznych. Badacze przypisali to wpływowi człowieka.

Trzy lata temu podobną analizę, tyle że dotyczącą całego globu i opartą na rekonstrukcji gęstości zaludnienia oraz użytkowania ziemi, wykonali Erle Ellis i Kees Goldewijk. Doszli do wniosku, że już 10 tys. lat temu trzy czwarte lasów na Ziemi było zamieszkanych, a swoją „naturalność" zawdzięczały po części społecznościom zbieracko-łowieckim. Do identycznego wniosku doszło ponad 250 archeologów uczestniczących w międzynarodowym projekcie ArchaeoGLOBE. Wszyscy ci badacze zgadzają się z tezą, którą swego czasu sformułował paleoklimatolog William Ruddiman, że epoka człowieka zaczęła się co najmniej 7–8 tys. lat temu, a nasi przodkowie z neolitu, epoki brązu i epoki żelaza ocieplili świat o ponad 1 st. C, zanim jeszcze zaczęła się epoka przemysłowa.

Ruddiman uważa, że cały holocen jest tworem w dużym stopniu nienaturalnym. I choć przyznaje, że ostatnie dwa stulecia znacznie odbiegają od normy i mogą się skończyć gigantycznym kryzysem, to żyjemy w świecie, który przekształcamy co najmniej od końca epoki lodowcowej. Może zatem wystarczyłoby zmienić nazwę tego świata z holocenu na na antropocen?

ANDRZEJ HOŁDYS

eprasa.pl 8a4c75bb48



Jałta 1944 r.

Od Stalina do Putina

Złośliwe żarty, gniewne tyrady i głębokie spojrzenia w oczy. Przypominamy najważniejsze rozmowy twarzą w twarz amerykańskich prezydentów z przywódcami Rosji.

TOMASZ TARGAŃSKI

Osobiste spotkania przywódców – poza nielicznymi wyjątkami – nie zmieniają świata. Bardzo rzadko zapadają na nich kluczowe decyzje. To spektakl dwóch aktorów, którego celem jest oczarować świat i siebie nawzajem. Uczestnicy straszą się, licytują albo uwodzą. Mówią o przyjaźni, ale rzadko – choć czasem się to zdarza – nawiązują prawdziwą więź. Słowa, jakie między nimi padają, mają jednak znaczenie – szczególnie dla tych, których nie ma wtedy w pokoju.

Roosevelt–Stalin: przełamanie lodów

Pierwszym historycznym spotkaniem amerykańskiego prezydenta z przywódcą Rosji (wtedy Związku Radzieckiego) była konferencja „wielkiej trójki" w Teheranie jesienią 1943 r. Franklin Delano Roosevelt, Józef Stalin i Winston Churchill przyjechali do stolicy Iranu, aby uzgodnić cele wojny przeciw państwom Osi. Stalinowi od początku zależało na rozmowie z Rooseveltem w cztery oczy. Dlatego zaproponował prezydentowi zamieszkanie na terenie radzieckiej ambasady. Oficjalnie z uwagi na wyeliminowanie groźby zamachu podczas przejazdu między poselstwem amerykańskim a radzieckim, gdzie zaplanowano obrady. Nieoficjalnie wiadomo było, że chciał odseparować Roosevelta od Churchilla.

Generalissimus, jak nazywano Stalina, dopiął swego. Zjawił się na miejscu przed czasem i poprosił o zaanonsowanie go w apartamentach Roosevelta. Wcześniej zachłannie zbierał o nim informacje. Kazał założyć podsłuch w apartamencie prezydenta, a później dokładnie wypytywał oficera, który oficjalnie przywitał amerykańską delegację, o ton jego głosu oraz wygląd. Wreszcie 28 listopada 1943 r. około trzeciej po południu Stalin i Roosevelt po raz pierwszy uścisnęli sobie ręce. Oto spotkały się dwa różne światy: dystyngowany przedstawiciel amerykańskiej arystokracji i nieprzenikniony gruziński bolszewik. Stalin miał na sobie letni marszałkowski mundur w musztardowym kolorze ze złotą gwiazdą Orderu Lenina przypiętą do piersi. Roosevelt przyjął go w arystokratycznej pozie, ubrany w granatowy prążkowany garnitur, siedząc sztywno w fotelu inwalidzkim, do którego przykuła go choroba.

Ich pierwsza rozmowa nie trwała długo i służyła przełamaniu lodów. W ciągu następnych dni rozmawiali jeszcze wielokrotnie, nie tylko podczas sesji plenarnych, ale i na osobności. Tłumaczami byli Charles Bohlen i Władimir Pawłow. Wedle ich relacji sposób mówienia obu przywódców był diametralnie różny. Stalin był oszczędny w słowach, bardzo precyzyjny. Wydawał się dokładnie wiedzieć, o czym mówi. Nie był oratorem. Mówił bardzo cicho i niewyraźnie. Sprawiało to trudności Pawłowowi, który musiał spijać każde słowo i każdy szept z ust generalissimusa. Ten miał świetną pamięć i rzadko korzystał z notatek. Potrafił zadać trafne, często kłopotliwe pytania, co najwyraźniej sprawiało mu przyjemność. Roosevelt z kolei miał tendencję ▶

© PHOTOQUEST/GETTY IMAGES

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ do rozwlekłych wypowiedzi, popadania w dygresje i krążenia wokół sedna tematu.

Prezydent USA przyjechał do Teheranu ze starannie obmyślaną taktyką. Aby zbliżyć się do Stalina i zyskać jego zaufanie, celowo żartował z Churchilla. Podczas rozpoczęcia jednej z sesji plenarnych zwrócił się szeptem do generalissimusa i zasłaniając usta ręką, powiedział: „Winston jest dziś marudny. Chyba wstał lewą nogą". Wąsy Stalina podniosły się w ledwo widocznym uśmiechu. Roosevelt poszedł tym tropem i od czasu do czasu rzucał pozornie niewinny żart: raz z brytyjskości Churchilla, innym razem z jego ogromnych cygar albo nawyków. Za którymś razem Stalin w końcu wybuchnął głębokim, serdecznym śmiechem. I wtedy, jak to ujął sam Roosevelt, „po raz pierwszy od trzech dni ujrzałem światło". Czując, że nastąpił jakiś przełom, prezydent nazwał Stalina „wujkiem Joe". „Jeszcze dzień wcześniej uznałby to za afront, ale wtedy uśmiechnął się szczerze, podszedł do mnie i uścisnął mi rękę (...). Od tamtej chwili rozmawialiśmy jak bracia i mężczyźni" – po powrocie do Waszyngtonu Roosevelt tak zrelacjonował ów moment Frances Perkins pełniącej funkcję sekretarza pracy w jego administracji.

W lutym 1945 r. w Jałcie osobliwe partnerstwo między Stalinem i Rooseveltem przypieczętowało los Polski oraz całej Europy Wschodniej. Skutkiem był trwający ponad pół wieku podział kontynentu. Jeśli szukać najbardziej brzemiennego w skutki spotkania głów obu supermocarstw, to była nim właśnie Jałta. Ale czy można powiedzieć, że Roosevelta i Stalina łączyła przyjaźń? Z pewnością nie. Nawiązali jednak nić porozumienia. Wedle zgodnej opinii współpracowników Stalina bolszewicki przywódca z zasady nie ufał nikomu, ale Roosevelt być może był jedynym politykiem, o którym dyktator mógł pomyśleć w tych kategoriach. Ich relację najlepiej chyba scharakteryzował biograf Stalina Simon Sebag Montefiore, pisząc: „Sympatia Stalina dla Roosevelta tak dalece przypominała szczerą dyplomatyczną przyjaźń, jak tylko było to możliwe w przypadku imperialisty".

Kennedy–Chruszczow: jednostronny atak

Kolejne głośne spotkanie między liderami USA oraz ZSRR odbyło się w 1961 r. w Wiedniu. Wcześniej podczas konferencji w Poczdamie w 1945 r. prezydent Harry Truman rozmawiał osobiście ze Stalinem. I o ile wtedy obie strony mogły jeszcze łudzić się (bądź udawać), że są sojusznikami, o tyle szczyt wiedeński wydarzył się w zupełnie innych okolicznościach. W 1961 r. było już jasne, że oba supermocarstwa nie rzuciły się sobie do gardła wyłącznie z powodu groźby nuklearnej zagłady. Inni byli także przywódcy. ZSRR reprezentował Nikita Chruszczow, człowiek, który z jednej strony rozpoczął destalinizację, a z drugiej wysłał wojska na Węgry, aby zdławiły tamtejsze powstanie. John F. Kennedy był z kolei symbolem nowego amerykańskiego przywództwa w świecie.



Wiedeń 1961 r.

Przed wylotem do Wiednia Kennedy został bardzo szczegółowo przygotowany. Współpracownicy uprzedzili go, że Chruszczow ma wybuchowy charakter i bywa nieokrzesany (rok wcześniej radziecki sekretarz generalny zaszokował świat, waląc butem w pulpit podczas Zgromadzenia Ogólnego ONZ). O tym, jak trudnym przeciwnikiem może być Chruszczow, dwa lata wcześniej przekonał się Richard Nixon. Pełniąc funkcję wiceprezydenta u boku Dwighta Eisenhowera, przyjechał do Moskwy, aby wziąć udział w otwarciu wystawy amerykańskiej kultury materialnej (American National Exhibition). Przy stoisku prezentującym „typową" amerykańską kuchnię zaskoczył go Chruszczow. Wywiązała się rozmowa, która przeszła do historii jako „debata kuchenna". Nixon co prawda nie oddawał rywalowi pola, bronił się dzielnie i z humorem, ale Chruszczow cały czas nacierał. W jednym z kulminacyjnych momentów wymiany zdań radziecki gensek zapytał: „Ile to lat Ameryka istnieje? Trzysta?". „Sto pięćdziesiąt" – poprawił go Nixon. Na co Chruszczow: „Powiedzmy więc, że Ameryka istnieje sto pięćdziesiąt lat i to jest poziom, jaki osiągnęła. My istniejemy niecałe czterdzieści dwa lata i za siedem lat zrównamy się z Ameryką. A kiedy już ją dogonimy i będziemy przeganiać, to wam pomachamy".

Założenia obu stron przed konferencją w Wiedniu były zupełnie inne. Kennedy liczył, że uda mu się zachęcić radzieckiego lidera do złagodzenia kursu i zmniejszenia napięcia między państwami. Nie przewidział, że Chruszczow przyjechał do Wiednia, mając na celu upokorzenie amerykańskiego prezydenta. Patrzył na niego jak na niedoświadczonego młodzika, który dopiero co objął urząd i właśnie poniósł upokarzającą porażkę podczas inwazji na komunistyczną Kubę. Zamierzał więc osiągnąć propagandowe zwycięstwo, miażdżąc rywala na oczach świata.

3 czerwca 1961 r. w wystawnym salonie radzieckiej ambasady usiedli obok siebie na jednej kanapie. Gładki absolwent Harvardu, syn milionera oraz bezceremonialny i bezwzględny weteran wielu frakcyjnych walk. Od początku spotkanie przebiegało pod dyktando Chruszczowa. Kennedy nie posłuchał swoich doradców i najpierw dał się wciągnąć w dyskusję o marksizmie, której nie miał szansy wygrać, a później w rozważania o stosunku sił między dwoma supermocarstwami. Atmosfera szybko zgęstniała, kiedy Chruszczow zaczął się licytować, kto ma większe możliwości militarne.

Widząc, że konferencja, z którą wiązał duże nadzieje, może się okazać klęską, amerykański prezydent poruszył temat Berlina, w nadziei, że wyjedzie z Wiednia choć z jednym małym sukcesem. Ale kiedy tylko Chruszczow usłyszał hasło „Berlin", ruszył do ataku. Powiedział, że jeśli Stany Zjednoczone zakwestionują pozycję Związku Radzieckiego w mieście, ZSRR „musi odpowiedzieć i odpowie". Wrzucił piłkę na połowę przeciwnika, mówiąc, że „to Stany Zjednoczone zdecydują, czy będzie pokój, czy wojna". Przyparty do muru Kennedy poczuł, że musi dać odpór i zareagował stwierdzeniem, które zmroziło amerykańską delegację. „W takim razie, panie przewodniczący, będzie wojna. Będzie bardzo mroźna zima".

© AP/EAST NEWS, CORBIS/GETTY IMAGES, DIANA WALKER/GETTY IMAGES, ASAHI SHIMBUN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 8a4c75bb48

Po spotkaniu Kennedy powiedział, że „nigdy nie spotkał kogoś takiego". „Mówiłem mu: nuklearna wymiana między naszymi państwami zabije 70 milionów ludzi w ciągu 10 minut. A on tylko spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: i co z tego?". Niefrasobliwość, z jaką Chruszczow mówił o wojnie nuklearnej, wstrząsnęła prezydentem. Później w nieoficjalnej rozmowie z dziennikarzem „New York Timesa" Kennedy przyznał: „Stłukł mnie na kwaśne jabłko. Po prostu mnie zmiażdżył".

Nixon–Breżniew: pokrewne dusze

Po fiasku w Wiedniu liderzy obu krajów nie spotkali się przez ponad dekadę. Dopiero Richard Nixon był gotów zaryzykować swój kapitał polityczny i w 1972 r. wybrał się z wizytą do Moskwy na zaproszenie Leonida Breżniewa. Prezydent jechał do jaskini lwa, mając reputację zimnowojennego wojownika i zatwardziałego antykomunisty. Jego celem było podpisać wy-



Waszyngton, na jachcie prezydenckim, 1973 r.

negocjowany już wcześniej układ o ograniczeniu zbrojeń strategicznych (tzw. SALT I), który był przełomem w stosunkach między mocarstwami.

Breżniew i Nixon bez wątpienia przypadli sobie do gustu, a początkowa oschłość szybko ustąpiła miejsca kordialności. Podczas ośmiodniowej wizyty spędzili w sumie 16 godzin na rozmowach w cztery oczy. Okazało się, że mieli ze sobą wiele wspólnego. Pochodzili z ubogich rodzin. Wbrew przeszkodom pięli się po szczeblach kariery. Pragnęli władzy, rozkoszowali się nią i nie wahali się jej nadużywać. Wyczuli w sobie pokrewne dusze.

Ze spotkań z Nixonem wyłania się bardziej swobodny obraz radzieckiego sekretarza generalnego, który miał wizerunek ponurego aparatczyka o twarzy bez wyrazu. Nixon wspominał Breżniewa: „W jednej chwili śmiał się i klepał mnie po plecach, aby zaraz potem groźnie łypać spod swych krzaczastych brwi, nie mogłem przestać myśleć o doktorze Jekyllu i panu Hydzie". Po latach Nixon zdradził, że Breżniew zrobił na nim wrażenie kobieciarza, miał tendencję do sprośnych żartów, a podczas powitania na moskiewskim lotnisku, kiedy hostessy wręczały amerykańskiemu prezydentowi kwiaty, puścił do niego oko i zapytał, czy chce jedną z nich wziąć ze sobą.

Szczyt w Moskwie w 1972 r. był bez wątpienia najbardziej owocnym w skutki spotkaniem przywódców obu krajów – takim, które niosło ze sobą namacalne korzyści dla świata. Podpisanie traktatu o ograniczeniu zbrojeń strategicznych dało początek polityce „odprężenia" między supermocarstwami.



Nowy Jork, 1995 r.

Clinton–Jelcyn: nowe otwarcie

Po epoce Nixona spotkania prezydentów USA z radzieckimi przywódcami przestały być rzadkością i stały się regularne. Gerald Ford, Jimmy Carter, Ronald Reagan wielokrotnie rozmawiali osobiście z Leonidem Breżniewem, a później z Michaiłem Gorbaczowem. W postzimnowojennym świecie symbolem nowego otwarcia między Waszyngtonem a Moskwą była era Borysa Jelcyna i Billa Clintona. Spośród wszystkich przywódców USA i Rosji Jelcyn i Clinton spotykali się rekordowo często, bo aż 18 razy.

Od początku ich relacje jawiły się jako wyjątkowo zażyłe. Było tajemnicą poliszynela, że Jelcyn miał problem z alkoholem, co objawiło się podczas jego pierwszej wizyty w USA w 1994 r., kiedy w nocy zniknął ze swoich apartamentów w Białym Domu i agenci Secret Service znaleźli go samego na Pennsylvania Avenue, tylko w bieliźnie, próbującego złapać taksówkę, aby pojechać po pizzę. Do historii przeszła ich wspólna konferencja prasowa w Nowym Jorku w 1995 r., kiedy obaj wybuchli serdecznym śmiechem na oczach kamer.

Bush–Putin: naiwna nadzieja

Podczas swoich trwających już ponad ćwierć wieku rządów Władimir Putin wielokrotnie rozmawiał w cztery oczy z amerykańskimi prezydentami. Najbardziej znaczące było jego pierwsze spotkanie z prezydentem George'em W. Bushem w czerwcu 2001 r. To wówczas, podczas szczytu w Słowenii, z ust Busha padły słynne słowa o „głębokim spojrzeniu w duszę" Putina, gdzie prezydent miał dostrzec polityka, któremu można ufać. Dziś tamta wypowiedź jest oceniana jako jedno z najbardziej naiwnych stwierdzeń, jakie padły z ust lokatora Białego Domu. Pod koniec swojego urzędowania Bush stwierdził, że obserwując Putina, widzi już „zupełnie inną duszę".

TOMASZ TARGAŃSKI



Hanoi, 2006 r.

eprasa.pl 8a4c75bb48



Msza pojednania z udziałem kanclerza Helmuta Kohla i premiera Tadeusza Mazowieckiego w Krzyżowej, 1989 r.

Kroniki czasów urazy

ADAM KRZEMIŃSKI

1 września to data, która po 86 latach nadal sprzyja podsycaniu przez prawicę antyniemieckich nastrojów. Skomplikowane polsko-niemieckie relacje zmieniały się przez ten czas wielokrotnie, ostatnio znów przeszły woltę.

Granica między Rzeszą, czyli Świętym Cesarstwem Rzymskim a Królestwem Polskim od XIV do XVIII w. była jedną z najspokojniejszych i trwałych w Europie (nie naruszały jej wojny z Krzyżakami, bo państwo krzyżackie nie było częścią Rzeszy). Jednak w połowie XVII w. Rzeczpospolita – mimo odsieczy wiedeńskiej – już się nie liczyła w wyłaniającym się koncercie mocarstw. A od XVIII w. Polskę i Prusy łączyła egzystencjalna sprzeczność interesów. Gdy Prusy, a potem zdominowane przez nie Niemcy rosły w siłę, Polska znikała z mapy Europy i była traktowana jako teren kolonialny. Gdy w czasie pierwszej wojny światowej Berlin wraz z Wiedniem wpadły w kłopoty, w 1916 r. proklamowały mgławicowe Królestwo Polskie. A gdy II Rzesza przegrała wojnę w 1918 r., Polska – obecna w Wersalu wśród państw zwycięskich – wróciła na mapę. 21 lat później dwaj zaborcy znów wytarli ją z mapy i poddali ludobójczej okupacji. Ale po klęsce III Rzeszy wróciła – w Teheranie i Poczdamie przesunięta przez wielką trójkę na Zachód, ale geopolitycznie na Wschód.

Polsko-niemieckie relacje przeszły w ciągu minionych 80 lat ciekawą metamorfozę w 20-letnich sekwencjach.

W latach 1945–65 w polskim stosunku do Niemców dominowało poczucie „prawa do zemsty" i „prawa do nienawiści". Oba pojęcia pojawiały się po wojnie nie tylko w prasie rządowej, ale i katolickiej. Nie miały znaczenia odosobnione głosy sprzeciwu choćby wobec publicznych egzekucji niemieckich zbrodniarzy wojennych czy uwagi, że pozostaniemy z Niemcami sąsiadami i będziemy musieli się z nimi porozumieć. Nie zmieniała tych nastrojów narzucona przyjaźń z powstałą w 1949 r. Niemiecką Republiką Demokratyczną, bo dominowało poczucie zagrożenia i upokorzenie uporczywą odmową uznania powojennej granicy przez Republikę Federalną Niemiec.

Z kolei w podzielonych Niemczech na szok utraty wschodnich terytoriów i przesunięcia granicy nakładał się drażniący fakt, że beneficjentem została lekceważona i łatwo pokonana w 1939 r. Polska. Trzeba było czasu, nim to oburzenie przesłoniły poczucie winy oraz empatia i uznanie dla polskiego sąsiada.

© STANISŁAW SAS/FORUM

eprasa.pl 8a4c75bb48

Drugie dwudziestolecie, 1965–85, to coraz żywszy dialog, odgórna normalizacja relacji PRL–RFN oraz oddolne gesty pojednania. Ich symbolem są słowa „wybaczamy i prosimy o wybaczenie" z listu polskich biskupów przekazanego jesienią 1965 r. niemieckim konfratrom. Wywołał oburzenie Władysława Gomułki i partyjnej propagandy oraz opory wielu katolików. Niemniej w publicystyce nalegającej na otwarcie Polski na Zachód już wyraźniejsze były głosy przeciwko „fatalizmowi wrogości", jak to sformułował katolicki publicysta Stanisław Stomma.

Równocześnie w zachodnich Niemczech wpływowa część opinii publicznej zrozumiała, że uznanie polskiej granicy na Odrze i Nysie jest warunkiem postępu w relacjach niemiecko-niemieckich i odkrywała Polskę i Polaków już nie tylko jako ofiarę wojny, lecz także jako kraj wyróżniający się w bloku radzieckim własną polityką. Dalekosiężne znaczenie miało także realne zbliżenie Kościołów obu państw – co w 1978 r. miało wpływ na wybór polskiego kardynała na papieża.

Rewolucja Solidarności w 1980 r. wzbudziła u wielu Niemców nadzieję na zmiany w radzieckim obozie. Socjalliberalna koalicja w RFN zachowała jednak dystans z obawy przed radziecką interwencją podobną do tych na Węgrzech w 1956 r. i w Czechosłowacji w 1968 r., co zniweczyłoby sukcesy odprężenia w relacjach niemiecko-niemieckich. Niepodobna jednak zapomnieć fali solidarności z Polakami w Niemczech w latach 80.

W latach 1985–2005 wypracowano i realizowano „polsko-niemiecką wspólnotę interesu", jaką nakreślił Krzysztof Skubiszewski, minister spraw zagranicznych w gabinecie Tadeusza Mazowieckiego. Przekonywano, że w polskim interesie nie jest podział Niemiec – z NRD jako „czerwonymi Prusami" oddzielającymi Polskę od Zachodu – lecz ich zjednoczenie przysuwające Polskę w stronę demokracji parlamentarnej i gospodarki rynkowej. Z kolei w interesie zjednoczonych Niemiec jest wspieranie polskich reform ustrojowych i wejście Polski do euroatlantyckiego Zachodu – NATO i UE. I polskie społeczeństwo tę zmianę paradygmatu zaakceptowało. Gdy w 1990 r. Margaret Thatcher i François Mitterrand sugerowali Warszawie, by Polska skorzystała ze swego moralnego weta i blokowała zjednoczenie Niemiec, żadne z polskich ugrupowań politycznych nie próbowało hamować biegu wydarzeń. Dość powszechne było przekonanie, że droga na Zachód prowadzi przez Niemcy.

Niemniej regionalne tarcie, rozbieżność historycznych perspektyw czy gospodarczych interesów uruchamiały w części mediów historyczne analogie ciągu dziedzicznej wrogości. Toteż już pod koniec lat 90. polska prawica skrzykiwała się pod hasłami schładzania relacji z Niemcami, co na początku XXI w. kulminowało hasłem zastąpienia wspólnoty interesu wspólnotą sporu o narodową suwerenność.

Kończące się właśnie dwudziestolecie 2005–25 to okres renacjonalizacji w Rosji, Europie i Ameryce. W Polsce jej sygnałem było otwarcie kampanii wyborczej PiS w warszawskim Muzeum Narodowym przed obrazem „Bitwa pod Grunwaldem" i podłe napiętnowanie Donalda Tuska – liberalnego kontrkandydata Lecha Kaczyńskiego – stygmatem „dziadka z Wehrmachtu".

To minione 20-lecie w relacjach z Niemcami miało bardzo zmienne klimaty. PiS przez 10 lat swych rządów demonstrował niechęć do Berlina pomawianego o narzucanie sąsiadom kultury współwiny, o powtórkę paktu Ribbentrop-Mołotow w postaci rurociągu bałtyckiego i o przebudowywanie UE w „czwartą Rzeszę". Konsekwencją była też awersja do francusko-niemiecko-polskiego trójkąta weimarskiego, któremu Warszawa próbowała przeciwstawić Międzymorze. W polskiej polityce wewnętrznej rządy prawicy to denuncjowanie proeuropejskiej opozycji jako partii niemieckiej, a Tuska jako paladyna Angeli Merkel.

Z kolei 10 lat rządów koalicji liberalno-demokratycznej (przy 15 latach pisowskich prezydentów) to poprawianie relacji z zachodnim sąsiadem i akceptowanie niemieckiego potencjału jako kluczowego dla Europy. Wyraźnie sformułował to w 2011 r. Radosław Sikorski jako minister spraw zagranicznych, mówiąc, że bardziej boi się niemieckiej bezczynności w UE niż niemieckiego przywództwa. Dwa lata później podobnie wyraził się prezydent Bronisław Komorowski.

W Europie zachodziła głęboka zmiana pokoleniowa. Wraz z odchodzeniem generacji wojennej zanikał jej mentalny dorobek dialogu i budowy środków zaufania. Coraz wyraźniejsze stawały się pęknięcia na atlantyckim Zachodzie. Natomiast w relacjach polsko-niemieckich – brak nowego języka dla bardziej już zróżnicowanej wspólnoty i sporów w EU i NATO. Rezultatem było z jednej strony powtarzanie zużytych już formuł, a z drugiej cyniczny powrót do anachronicznych stereotypów dziedzicznej wrogości. Na rosyjski najazd na Ukrainę w 2022 r. Polska i Niemcy zareagowały podobnym oburzeniem i pomocą dla ukraińskich uchodźców, ale z różnym natężeniem woli przekazania sprzętu wojskowego ofierze napaści.

W Polsce prawicowy rząd z miejsca przekazał Ukrainie zmodernizowane postradzieckie uzbrojenie, głośno wytykając Berlinowi kunktatorstwo. W Niemczech kanclerz Olaf Scholz co prawda mówił o zmianie epoki, ale z realną pomocą się ociągał. Z czasem jednak Niemcy wzięli na siebie największy w UE ciężar pomocy finansowej i wojskowej dla Ukrainy. I podczas gdy w Polsce prawicowe media zaczęły demonstrować dystans wobec Ukraińców, stawiając na pierwszym miejscu historyczne rozliczenia – jak Wołyń 1943 r. – to rosyjscy propagandyści po zmianie rządu w Niemczech w 2023 r. za głównego wroga w Europie uznali Friedricha Merza, właśnie ze względu na rozmiar zaangażowania Berlina.

Zwycięstwo koalicji 15 października w wyborach 2023 r. przywróciło na moment wspólnotę działania w relacjach polsko-niemieckich. Jednak powrót na stanowisko prezydenta USA Donalda Trumpa, ataki jego wiceprezydenta Jamesa D. Vance'a na UE oraz przegrana Rafała Trzaskowskiego ponownie ożywiły w Polsce nacjonalistyczną retorykę prawicy. Jej symbolem były haniebne słowa bp. Wiesława Meringa, że Polską „rządzą ludzie, którzy samych siebie określają jako Niemców", wygłoszone na Jasnej Górze, z tego samego miejsca, z którego w 1966 r. kard. Wyszyński bronił listu biskupów przed atakami Gomułki.

Przyszłe 20-lecie w relacjach polsko-niemieckich zaczyna się w cieniu wojny Putina przeciwko Ukrainie i rosyjskiej próby obalenia całej konstrukcji bezpieczeństwa europejskiego powstałej po rozpadzie ZSRR. Celem Kremla jest nie tylko ponowne wchłonięcie Ukrainy, lecz również rozbicie Zachodu. Ani jedno, ani drugie nie udało się w pierwszej fazie wojny. Waszyngton za wszelką cenę zabiega o deal z Moskwą. To nie Ameryka, lecz ▶

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ Europa wystąpiła w roli strażnika norm prawnych i zasad moralnych. Szefowie rządów Finlandii, Niemiec, Polski, Wielkiej Brytanii i Włoch oraz prezydent Francji i szefowa Komisji UE poparli amerykańskie zabiegi o przerwanie walk w Ukrainie, ale odrzucili kupczenie ukraińskimi terytoriami. Przypomnieli, że granic międzynarodowych nie można zmieniać siłą, że pokoju w Ukrainie nie można ustalać bez udziału Kijowa, Europa bierze na siebie rolę korektora polityki Trumpa.

Tymczasem duża część polskiej prawicy hołduje Trumpowi i zarazem podgrzewa emocje niechętne Europie jako opcji niemieckiej. Odwołuje się do Romana Dmowskiego, który postulował skupienie „narodowego egoizmu" wokół tożsamości narodowokatolickiej. Protestanckie Prusy uważał za wroga bardziej niebezpiecznego od prawosławnej Rosji, cywilizacyjnie bardziej skutecznego. Tę endecką historiozofię podchwytywali ideolodzy PRL przedstawiający powrót do piastowskich granic jako spełnienie historii w homogenicznej Polsce wśród samych swoich.

Polską politykę wciąż kształtuje uraz rozbiorów czy – jak to nazywa Jarosław Kuisz, twórca „Kultury Liberalnej" – „posttraumatyczny strach o suwerenność". Zdaniem narodowych populistów polityka Komisji Europejskiej grozi nowym rozbiorem Polski (wypowiedź Mateusza Morawieckiego w „Financial Times"). Historyczne traumy mogą być świadomie podsycane. Ale mogą też być przepracowane w duchu – jak mawiano w latach 90. – „przezwyciężenia przeszłości", „demontowania obrazu wroga" i „empatii do sąsiadów". Nie jest to narracja na nadchodzące czasy. Na fali są dziś spory o historyczne analogie: aneksja Krymu w 2014 r. była powtórką roku 1914 czy 1938? A spotkanie na Alasce to nowa Jałta czy Monachium?

Analogie są wprawdzie narzędziem poręcznym dla zrozumienia teraźniejszości, ale też zawodnym. Dowodzi tego wpływowy politolog berliński Herfried Münkler w swym studium z 2024 r. „Macht im Umbruch" (Potęga w przełomie) o przyszłym miejscu Niemiec w Europie. Przewidując erozję atlantyckiego Zachodu, obawia się on nie tyle powtórki z historii, ile nowej anarchii państw narodowych w Europie. Żadne samotnie nie utrzyma obecnej pozycji. Jeśli nie chcą być niebawem rozgrywane przez Chiny, USA i Rosję, to powinny zabrać się do usprawnienia UE.



© TADEUSZ POŹNIAK

Lech Kaczyński przed obrazem „Bitwa pod Grunwaldem" rozpoczął swoją kampanię prezydencką, 2005 r.

Niemcy – przekonuje Münkler – są ze względu na swoje położenie i potencjał nie do pominięcia w Europie. Ale też nigdy nie było i nie będzie zgody na ich hegemonię, po którą dwa razy sięgały, wywołując wojny światowe. Właśnie między innymi po to, by je utrzymywać pod przyjazną kontrolą, powstawały EWG i NATO. A dzisiejsza kwestia niemiecka polega na tym, że Niemcy są zobligowane do uczestnictwa w zbiorowym służebnym przywództwie UE, nie w postaci sformalizowanego opiekuna stada, jakim miał być jej niemiecko-francuski twardy rdzeń, lecz raczej koalicji chętnych – zmiennych konstelacji przywódczych w zależności od bieżących wyzwań. Niemniej, aby uniknąć paraliżu decyzyjnego w Unii, trzeba odejść od prawa weta w sprawach polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, a względne ograniczenie suwerennych praw państw członkowskich w tym zakresie wyrównać większą niezależnością ich ustroju wewnętrznego. Do takiej reformy nie trzeba przewracać do góry nogami obecnych instytucji unijnych, wystarczy możliwość tworzenia swoistych grup uderzeniowych państw gotowych przejąć inicjatywę i odpowiedzialność w konkretnych sprawach. W wielu kwestiach do takich *task forces* należałyby zdaniem Münklera Niemcy, Francja i Polska. W sprawach polityki śródziemnomorskiej także Włochy i Hiszpania, a bałtyckiej, obok Niemiec i Polski – Szwecja.

Znamienne, że o reformie UE przestraszony brexitem podobnie rozmyślał Jarosław Kaczyński, gdy w 2016 r. w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" marzył o wybieranym na długą kadencję prezydencie Europy z kompetencjami w polityce zagranicznej i wojskowej, bo „Europa powinna być supermocarstwem, ale państwa narodowe powinny mieć więcej suwerenności wewnętrznej". Nie rozpracował tej kwadratury koła, natomiast wkrótce wziął na kieł „europejskie superpaństwo". Naszym narodowym populistom przyszłość Polski rysuje się w postaci „Fortu Trumpa" – wspartego przez USA obozu warownego.

Credo polskiej prawicy wyraził w Częstochowie cytowany już bp Wiesław Mering: „W XVIII w. jeden z polskich poetów, Wacław Potocki, mówił: »Jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem«. Historia straszliwie udowodniła prawdę tego powiedzenia". Przeczy tym słowom choćby list polskich biskupów sprzed 60 lat. Ciekawe, co weźmie górę: wystawianie rachunku za przeszłość czy pojednanie.

Tworząc projekt na przyszłość, na kolejne dwudziestolecie XXI w., „myśli nowoczesnego Polaka" powinny nie tyle nakręcać „zdrowy narodowy egoizm", jak mawiał Roman Dmowski, ile krążyć wokół wzmacniania sprawnej wspólnej polityki zagranicznej i militarnej UE. Wbrew jarmarcznej historiozofii naszych narodowych populistów nie jest ona nowym wydaniem cesarstwa Hohenzollernów. Jeśli już, to – jak powiedział polski papież – na UE warto patrzeć przez pryzmat tradycji unii polsko-litewskiej, pamiętając także o konsekwencjach paraliżującego reformy liberum veto.

ADAM KRZEMIŃSKI



Więcej o relacjach polsko-niemieckich przeczytasz w Pomocniku Historycznym POLITYKI **„POLACY I NIEMCY"**.
Dostępny na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl 8a4c75bb48

Droga

Dokąd tą drogą? Piotr Nowina-Konopka w rozmowie z Andrzejem Brzezieckim, Wydawnictwo C.H. BECK, Warszawa 2025, s. 416

Zmarły niedawno Piotr Nowina-Konopka był wybitnym naukowcem, politykiem, dyplomatą. Przed 1989 r. związany z opozycją demokratyczną, później z rekomendacji Solidarności był ministrem stanu w kancelarii prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Związany z Unią Demokratyczną i Unią Wolności był posłem, urzędnikiem wyższych szczebli działającym na rzecz integracji europejskiej. Po wejściu Polski do UE pracował w Brukseli, potem w USA. W latach 2010–16 był ambasadorem przy Stolicy Apostolskiej. Tak więc znał – można powiedzieć – wszystkich i chleb jadł z niejednego pieca. Miał o czym opowiadać Andrzejowi Brzezieckiemu, publicyście, historykowi, autorowi wielu znakomitych książek. Rozmowa jest pasjonująca: przegląd postaci wielkiej polityki, różnorodne środowiska, zmieniające się konteksty i cele podejmowanych misji i obowiązków. Opowieść Piotra Nowiny-Konopki ma duży ciężar poznawczy dla politologów i historyków, ale też czar lekkości, anegdoty, osobistych akcentów. Widzimy człowieka integralnego, oddanego pracy, wiernego w przyjaźni. Tytułowe pytanie książki znajduje w niej odpowiedź. Na swojej drodze za przewodników bohater książki uważał ks. Józefa Tischnera, Tadeusza Mazowieckiego, Bronisława Geremka i Jerzego Turowicza. Chyba wystarczy?

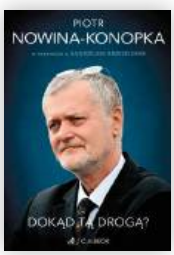

WIESŁAW WŁADYKA

Pod mikroskopem

Colin Jones, **Upadek Robespierre'a. Ostatnie 24 godziny terroru**, tłum. Grzegorz Kulesza, Znak Horyzont 2025, s. 688

Nic nie zapowiadało tego, że 9 thermidora roku II (czyli 27 lipca 1794 r.) stanie się jednym z najlepiej opisanych dni XVIII w. Rewolucja francuska wkraczała w szósty rok i pogrążała się w obłędzie terroru, podczas którego wymiar sprawiedliwości był parodią. Fouquier-Tinville pisał akty oskarżenia bez zapoznania się z dowodami winy i wysyłał codziennie kilkadziesiąt osób na gilotynę. Czasem ponaglał procesy, gdyż spieszył się na obiad. Rewolucyjny Paryż był beczką prochu i wystarczyła jedna nocna kłótnia lub jedna uwięziona kochanka, by 9 thermidora stał się dniem przesilenia rewolucji. Dekadę później napoleońska Francja stała się cesarstwem. Brytyjski historyk Colin Jones bierze 9 thermidora pod mikroskop. Posługując się dokumentami, listami, pamiętnikami, a nawet raportami szpicli, opisuje kwadrans po kwadransie paryskie wydarzenia, które doprowadziły do upadku Maximiliena Robespierre'a. Śledząc walkę pomiędzy Komitetami, Konwentem a Komuną Paryża, ukazuje mechanizmy gry o władzę. Sukces odniosą ci, którzy zapanują nad chaosem: będą mieli do dyspozycji zdolnych piszących, drukarnie i pierwsi dotrą do ludu z przekonującą narracją. Podczas lektury żałowałem, że książka Colina Jonesa nie trafiła do rąk Andrzeja Wajdy, bo byłaby niemal gotowym scenariuszem na kontynuację „Dantona".

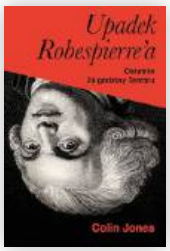

MAREK SOBCZAK

Wiele twarzy męskości

Ruth Mazo Karras, **Formowanie męskości w późnośredniowiecznej Europie Zachodniej**, tłum. Przemysław Tyszka, Instytut Studiów Kulturowych Raven, Czeladź, 2023 (w sprzedaży od 2025), s. 378

Ostatnio historycy często piszą o kobietach, wydobywają je z cienia. Pokazują ich zmagania z ograniczeniami patriarchatu, podczas gdy mężczyźni pozostają niewidzialną normą – przezroczystą i oczywistą. Amerykańska mediewistka Ruth Mazo Karras zaproponowała inne spojrzenie, pytając, jak mężczyźni byli kształtowani, jak chłopcy dojrzewali do roli mężczyzn i jakie mieli wzorce. Śledzi ten proces w trzech środowiskach – wśród rycerzy, duchownych oraz rzemieślników. Każde z nich miało własne rytuały i definicje męskości – od prób bojowych, poprzez ascezę, po mistrzostwo cechowe. Karras korzysta z narzędzi gender studies, pokazując, że męskość nie była dana raz na zawsze, lecz konstruowana społecznie. Nie unika tematów trudnych, wspomina o homoerotyzmie, przemocy seksualnej, kościelnych regulacjach pożądania czy o obrazie mężczyzn Żydów w świecie chrześcijańskim. Pisze z lekkością, dzięki czemu książkę czyta się z zainteresowaniem, nie jak akademicki traktat. Można jej zarzucić brak analizy chłopstwa – jakby wieś nie miała własnych wzorców dorosłości – i powierzchowne traktowanie różnic regionalnych. Jednak ta wydana po angielsku już ponad 20 lat temu książka wprowadziła temat męskości średniowiecznej do humanistyki, zwracając uwagę, jak różne były wzorce, i przypominając, że niewpisanie się w te społeczno-kulturowe schematy miało poważne konsekwencje.



AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Wyróżniki Zachodu

Tom Holland, **Boże władztwo. Jak chrześcijański przewrót zmienił oblicze świata**, tłum. Tristan Korecki, PIW, Warszawa 2025, s. 557

„Wszyscy jesteśmy złotą rybką bezwiednie pływającą w wodach chrześcijaństwa" – tak historyk Tom Holland skrótowo określił przesłanie swojej książki. A miał na myśli to, że „my", ludzie Zachodu, włącznie z tymi, którzy odcinają się od jakichkolwiek związków z chrześcijaństwem, jesteśmy przesiąknięci jego założeniami, ideałami i moralnością. Czy tego chcemy, czy nie, chrześcijaństwo jest w naszym myśleniu i osądach. Mówiąc „chrześcijaństwo", odnosi się do ogólnie pojętej cywilizacji zrodzonej na gruncie tej religii, nie zaś do konkretnej wyznaniowej formy wiary. Opisuje kształtowanie się tej cywilizacji przez ostatnie dwa tysiące lat, nie jest to jednak kolejna konwencjonalna historia chrześcijaństwa. To opowieść o rewolucyjnym potencjale chrześcijaństwa, które pod względem moralnym całkowicie przekształciło świat zachodni. Według Hollanda zrodzone z chrześcijańskiego przesłania wartości, jak poszanowanie wolności jednostki, współczucie wobec słabych i cierpiących oraz fundamentalna równość bez względu na status społeczny czy materialny, stały się wyróżnikami Zachodu na tle reszty świata. Wszystko to może czynić tę książkę kontrowersyjną, lecz zdecydowanie wartą lektury.



TOMASZ TARGAŃSKI

eprasa.pl 8a4c75bb48



film

Zamach na emerycki raj 3/6

Czwartkowy Klub Zbrodni (The Thursday Murder Club), reż. Chris Columbus, 120 min, na Netflixie od 28 sierpnia

Niedawno **Helen Mirren** i **Pierce Brosnan** grali małżeństwo mafiosów w centrum walk londyńskich gangów w serialowej „Strefie gangsterów" Guya Ritchiego (SkyShowtime), w „Czwartkowym Klubie Zbrodni" znajdują się po drugiej stronie. Film jest ekranizacją pierwszego tomu bestsellerowej serii powieściowej Richarda Osmana, której bohaterami są detektywi amatorzy, na co dzień rezydenci superluksusowego domu spokojnej starości na malowniczej brytyjskiej prowincji. Obok wymienionej dwójki klub składa się także z bohaterów granych przez **Bena Kingsleya** i **Celię Imrie**, a cała czwórka łączy swoje niegdyś wykorzystywane w uprawianych zawodach umiejętności i wiedzę do rozwiązywania starych, porzuconych przez policję spraw. Tym razem jednak przyjdzie im się zmierzyć ze zbrodnią – a nawet ich cyklem – nie tylko aktualną, ale też dotyczącą bezpośrednio ich samych. W grę wchodzi bowiem dalsze istnienie posiadłości, w której wiodą swoje rajskie życie.
„Czwartkowy Klub Zbrodni" to jednak nie satyra na pokolenie boomersów, tylko wykalkulowany kryminał z gatunku cosy crime. A oparta na kliszach i schematach ekranizacja Chrisa Columbusa (speca od kina familijnego, ma w CV m.in. oba „Keviny" i ekranizację dwóch tomów sagi o Harrym Potterze), z gwiazdorską obsadą (są tu także David Tennant, Jonathan Price, Tom Ellis i **Naomi Ackie**) i kapiącym z ekranu bogactwem wydaje się kolejnym dowodem na to, że gatunek zjada już własny ogon. Gdy nie ma sensu, chciałoby się choć lekkości i poczucia humoru, a dostajemy głównie nonszalancję. Czasem zaskakującą, jak w ważnym dla fabuły wątku polskiego budowlańca Bogdana. Grający go Henry Lloyd-Hughes ma do wypowiedzenia kilka kwestii po polsku i brzmi, jakby wymowy uczył się sam, kwadrans przed nagraniem.

ANETA KYZIOŁ

Superbohaterowie po przejściach 4/6

Peacemaker 2, twórca serii: James Gunn, 8 odc., HBO Max

Gdy Peacemaker (**John Cena**) pojawił się po raz pierwszy w filmie „Legion samobójców", trudno go było nazwać superbohaterem. Wydawał się raczej tępym narzędziem do zadawania bólu. Ale reżyser i scenarzysta James Gunn chyba tę postać szczególnie polubił, dał jej bowiem szansę na rehabilitację. W drugim sezonie serialu Peacemaker wciąż nie ma superbohaterskiego statusu, choć w poprzedniej serii uratował świat. Żyje samotnie, rozpamiętuje swoje porażki, topi smutek w alkoholu, narkotykach i orgiach. Aż przypadkiem odkrywa przejście do równoległego wymiaru, w którym jego odpowiednik jest szanowanym herosem, a ojciec i brat wciąż żyją. Tymczasem w rzeczywistym świecie gen. Rick Flag (Frank Grillo) zaczyna polowanie na Peacemakera, żądny zemsty za śmierć syna. Nowy sezon serialu Jamesa Gunna spina wątki nie tylko z pierwszej serii, lecz także z „Legionu samobójców" i „Supermana". Jednak tworząc widowiskowy – a przy tym zamierzenie kiczowaty, bardzo zabawny i równie brutalny – serial dla fanów komiksu, nie zapomniał o prawdziwych emocjach. A to, co dzieje się z bohaterami, ludźmi przeczołganymi przez los, złamanymi, szukającymi odkupienia win i przebaczenia, jest tu znacznie ważniejsze i ciekawsze niż dynamicznie poprowadzona akcja. „Peacemaker" w drugiej odsłonie to historia pisana z miłością, empatią i nadzieją. I chyba tylko Gunn potrafi dziś w rozrywkowym kinie wzbudzić w widzach sympatię do tak nieobliczalnych i dziwacznych postaci.

JAKUB DEMIAŃCZUK

serial



Rozżalony Peacemaker dostał szansę na rehabilitację

© MATERIAŁY PRASOWE (9)

eprasa.pl 8a4c75bb48

serial

Po wyborach 4/6

Wybór (Hostage), twórca serii: Matt Charman, 5 odc., Netflix



Matt Charman, scenarzysta m.in. „Mostu szpiegów" Spielberga, i **Suranne Jones**, znana m.in. z tytułowej roli w serialu „Gentleman Jack", łączą siły w nowej, rozgrywającej się na szczytach władzy produkcji Netflixa. Główną bohaterką jest brytyjska premier (Jones), która musi dokonać trudnych wyborów politycznych, a potem jeszcze trudniejszych, gdy jej mąż (**Ashley Thomas**), medyk z organizacji Lekarze bez Granic, zostaje uprowadzony w Gujanie Francuskiej, a porywacze w zamian za jego życie żądają jej ustąpienia ze stanowiska. Z pomocą mogłaby przyjść goszcząca w Londynie prezydentka Francji (Julie Delpy), ale i ona wkrótce pada ofiarą szantażu i także musi podjąć trudne decyzje. Po licznych perturbacjach przywódczynie, które z pozoru wiele dzieli, a do tego każda musi walczyć o utrzymanie kruchej pozycji politycznej, jednak stają ramię w ramię, by dać odpór nie tylko szantażystom, ale też męskiej dominacji i patriarchalnemu traktowaniu przez polityczne otoczenie czy rodzinę. To nie żaden spojler, „Wybór" jest po prostu serialem, który podąża za regułami, konwencją, nie ma ambicji wywracania stolika i zaskakiwania widza. Wiwisekcja kobiecej władzy nie jest tu tak głęboka, jak np. w duńskim „Rządzie", ani tak tupeciarska i szalona, jak w „Dyplomatce". Całość przypomina trochę szkic, bez cieniowania – bohaterek, ich otoczenia, akcji. Ogląda się bez bólu i głównie dla Jones i Delpy. A na końcu widz zostaje z pytaniem o przystawalność wizji politycznej premier Dalton do dzisiejszych czasów. AK

komiks



Emocjonalny rollercoaster, czyli pół roku ciągłego kryzysu psychicznego

Oblicza samotności



Zmagania z depresją i stanami lękowymi to temat nieobcy także kulturze popularnej. Rzadko jednak przyjmuje tak intrygujący kształt, jak w komiksie Zoe Thorogood. **„Samotność w centrum wszechświata" (przeł. Olga Mysłowska, Nagle Comics, 5/6)** zrodziła się z prywatnych notatek i szkiców, próby opanowania stanów depresyjnych i lękowych. Ułożyły się w zapis sześciu miesięcy życia w stanie nieustającego kryzysu psychicznego, bezwzględnie szczerą – a jednocześnie autoironiczną i samoświadomą – narrację o chorobie, pasji, zmęczeniu codziennością i nadziei. Młoda (gdy komiks ukazał się w oryginale, miała zaledwie 23 lata) brytyjska autorka serwuje czytelnikom przejażdżkę emocjonalnym rollercoasterem, jednostkowe, intymne doświadczenia przekładając na uniwersalny język.



Pod względem formalnym album **Łukasza Wojciechowskiego „Dum-dum" (Kultura Gniewu, 5/6)** należy do wydawnictw niezwykłych. Artysta, który do tej pory publikował komiksy na rynku francuskim, rysuje z użyciem programu AutoCAD, na co dzień służącego do projektów inżynieryjnych i architektonicznych. Jednak nie tylko oprawa graficzna ma w tym przypadku znaczenie – w kadrach zdominowanych przez geometrię autor zamyka fikcyjną biografię swojego stryjecznego pradziada Stanisława. W rzeczywistości zginął w czasie pierwszej wojny światowej, lecz na łamach albumu przeżył i wyjechał do międzywojennego Berlina, by podjąć pracę w studiu architektonicznym. To opowieść o poczuciu obcości, traumie, zderzeniu tradycji z nowoczesnością – głęboko poruszająca mimo z pozoru chłodnej, wykalkulowanej formy.

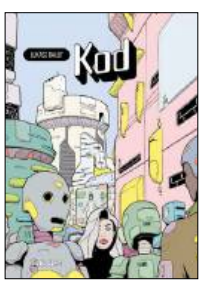

Bohaterowie **„Kodu" Łukasza Bałuta (Wydawnictwo Kurc, 4/6)** też są osamotnieni mimo otaczającego ich tłumu. Mieszkają w Miejskim Habitacie Autonomicznym, są bezwolnymi uczestnikami życia w dystopijnej rzeczywistości, gdzie każdy aspekt egzystencji kontrolowany jest przez władze. Ale ład MHA zaczynają naruszać kolejne ataki terrorystyczne i akty sabotażu. Jan, zwyczajny obywatel, zostaje wciągnięty w wir politycznych wydarzeń, a jego tropem podąża policjantka Cortez. Oboje odkryją, że za technologiczną fasadą kryją się korupcja, zbrodnia i kłamstwo. „Kod" pierwotnie powstawał jako seria niezależnych komiksów – w każdym z nich centralną rolę odgrywała inna postać, choć ich losy się przeplatały – i chwilami to czuć, lecz zbiorcze wydanie pozwala zobaczyć w pełni wykreowany przez autora świat. To science fiction mocno zadłużone u klasyków gatunku, m.in. u Moebiusa, ale tworzone z pasją i inwencją. JD

eprasa.pl 8a4c75bb48

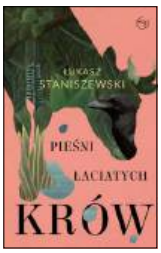

Dyduk 4/6

Łukasz Staniszewski, **Pieśni łaciatych krów**, Znak Literanova, Kraków 2025, s. 372



Po debiutanckim zbiorze opowiadań „Małe Grozy" dostajemy teraz powieść rozgrywającą się na Warmii we wsi Skowycze. Mieszka tam Bernard Witten, główny bohater tej historii, człowiek nieprzyjemny, który nie lubi ludzi i wszystko, co dobre, go mierzi. Od pomagania innym dostaje ciężkiej wysypki, często wpada w gniew. Jest właściwie antybohaterem, postacią, która koncentruje w sobie najgorsze cechy. Z drugiej strony to on właśnie wie, co robić wobec zbliżającej się apokalipsy. Buduje zbiornik, choć pada deszcz i nie zanosi się na suszę. Ten świat jest zaludniony przez różne stwory i demony, zwierzęta czasem mówią, zmarli wracają – Bernarda odwiedza i napomina ojciec. Ludzie tutaj mają też swoje dyduki, rodzaj dybuka, który decyduje, kim się jest. A ich dusze są ulepione z gliny. Ważną postacią jest też żona Bernarda, Anna, kobieta niewidzialna, osoba do posług, a jednocześnie mająca swoje pragnienia i marzenia. Ona też dostaje swoją szansę w tej historii. Staniszewski tworzy swój własny kosmos, przekonujący dzięki rytmowi i melodii języka. Od pierwszych zdań jesteśmy unoszeni przez tę opowieść, która wciąga, ale bliżej końca zaczyna gnać na oślep i można zagubić kierunek, w jakim zmierza. Bernard wbrew sobie musi jednak robić coś dla ludzi i mimo sztafażu realizmu magicznego i warmińskiej baśniowości dostajemy historię o tym, czy możliwe jest odkupienie win, przekroczenie samego siebie, swojej potworności. I ten kontekst jest chyba najciekawszy.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

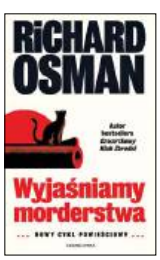

Na tropie pisarki 4/6

Richard Osman, **Wyjaśniamy morderstwa**, przeł. Tomasz Wyżyński, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2025, s. 432

Jednocześnie z premierą w Netfliksie ekranizacji największego przeboju wydawniczego Richarda Osmana, „Czwartkowego Klubu Zbrodni" (s. 72), dociera do nas pierwszy tom nowej serii tego autora, powstały w 2024 r. Tamten cykl odniósł sukces, ponieważ wstrzelił się jednocześnie w kilka schematów: cosy crime, pozytywnej opowieści o szalonych staruszkach i satyry w brytyjskim stylu, z widocznym piętnem telewizyjnym, czyli przerostem dialogów – mniej lub bardziej absurdalnych. Ów dialogowy styl panuje i w najnowszej powieści, choć tym razem mowa nie tylko o staruszkach. Główną postacią jest energiczna, przebojowa Amy, prywatna ochroniarka celebrytów – jej aktualną klientką jest ekscentryczna autorka kryminałów. Przyjaźni się ze swoim teściem Steve'em, policjantem na emeryturze, mieszkającym w małym angielskim miasteczku, gdzie założył jednoosobową firmę detektywistyczną odnajdującą zaginione psy i koty. Wszyscy muszą jednak zewrzeć szeregi, ponieważ ktoś dybie na życie nie tylko pisarki Rosie, ale też samej Amy. Akcja pędzi wraz z trójką bohaterów z prywatnej wysepki w Karolinie Północnej przez Karaiby, Irlandię i Dubaj, by powrócić do Anglii. Nietrudno się domyślić, że ucieczka się udaje i wróg zostaje zdemaskowany; w efekcie bohaterowie postanawiają wspólnie założyć agencję rozwiązującą sprawy niewyjaśnionych morderstw. Jest to więc jakby prolog kolejnego cyklu, na który poczekamy, bo Osman pracuje teraz nad piątym tomem „Czwartkowego Klubu Zbrodni".

DOROTA SZWARCMAN



Wojna o człowieka 4/6

Myrosław Łajuk, **Bachmut**, przeł. Maciej Piotrowski, Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2025, s. 252

Pisanie o wojnie to robota specyficzna. Z jednej strony ryzykowna, uzależniająca jak hazard. Z drugiej monotonna, może nawet nudna, bo skazana na ciągłe czekanie. Najpierw czekasz na zgodę, żeby wpuścili do okopów, później czekasz, żeby w tych okopach coś się działo. A jak już się dzieje, to czekasz, żeby się jak najszybciej skończyło i cię nie zabiło. Wojna to ogólnie nudne zajęcie. Michael Herr, ten od książki „Depesze" i scenariusza „Czasu Apokalipsy", nawet i o tym już jednak genialnie napisał. Czytając „Bachmut" czuć, że Łajuk instynktownie to wszystko już wie, że nie szuka akcji, bo wie, że to nie tam dzieje się to, co ważne. To, co ważne, dzieje się w ludziach. Tam w środku zachodzą największe dramaty. Tam są prawdziwe wojny. A w Ukrainie tam w środku dzieje się coś jeszcze. Coś niezwykłego – kształtuje się naród. „Z tych okopów wyjdzie nowy naród, nasz kraj ulegnie przemianie" – pisze Łajuk. Ile w tym jego marzeń, a ile tego, co naprawdę zobaczył w okopach, przekonamy się po latach. Ale ziarno tam kiełkuje i o tym jest ta książka. O narodzie, który rodzi się w okopach. Na tle innych wojennych dosyć nietypowa, bo poetycka i filozoficznie zadumana. Momentami przegadana, a jednak w jakiś sposób ciekawa i bliska nam, Polakom, nie tylko geograficznie. „W Ukrainie nie dochodzi do tsunami, właściwie nie zdarzają się też tornada czy trzęsienia ziemi, nie mamy aktywnych wulkanów. W całej Europie trudno jednak znaleźć miejsce bardziej niestabilne" – zauważa Łajuk. U nas pisze o tym Stasiuk. U nich Łajuk. U nich słowa zagłusza huk armat, u nas jeszcze nie.

JULIUSZ ĆWIELUCH

© MATERIAŁY PRASOWE (7), GRZEGORZ SKOWRONEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, ŁUKASZ KALINOWSKI/EAST NEWS, ROBERTO SERRA/IGUANA PRESS/REDFERN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 8a4c75bb48

festiwal

W bibliotece i w plenerze

Festiwal Ogrody POLITYKI w Elblągu, 5–7 września

Wraz z Biblioteką Elbląską zapraszamy na Ogrody POLITYKI w Elblągu. To – już tradycyjnie, bo nasza impreza ma długą historię – cykl dyskusji na ważne i aktualne tematy oraz koncerty i spektakle w wykonaniu twórców nagrodzonych Paszportem POLITYKI. Popołudnia można więc będzie spędzić w salach Biblioteki w towarzystwie samorządowców, przedsiębiorców, ludzi nauki i kultury, a wieczory w plenerze z artystami. Dyskusje dotyczyć będą perspektyw regionu, głośnej znów kwestii kanonu lektur (na pytanie „Kanon lektur czy kanon kultury?" odpowiadać będą profesorowie Izolda Kiec i Grzegorz Leszczyński) czy traum („Wszystkie nasze traumy, czyli jak przeszłość determinuje nam przyszłość", tu gośćmi będą profesorowie Michał Bilewicz i Przemysław Czapliński). W programie jest także spotkanie z Pawłem Sołtysem, tym razem jako pisarzem, nie muzykiem. Muzyka zaś będzie różnorodna. Zacznie trio jazzowo-hiphopowe Łona x Konieczny x Krupa, autorzy świetnie przyjętej płyty „Taxi" opartej na opowieściach usłyszanych od taksówkarzy (supportem będzie Senny). Środkowy wieczór będzie należał do legendy rocka Lecha Janerki, a w finałowy wprowadzi nas Brass Federacja, nawiązująca do tradycji nowoorleańskich brass bandów, zespołów złożonych głównie z instrumentów dętych blaszanych, która przekaże parkiet **Jazz Bandowi Młynarski-Masecki**, przywołującemu ducha polskich orkiestr jazzowych międzywojnia. AK





płyta

Mata końca lata 3/6

Mata, **2039: Złote Piaski**, muzyka sp. z o.o.



Po wyprzedaniu jesiennej trasy koncertowej i Stadionu Narodowego, a przed premierą zapowiadanego na przyszły rok kolejnego pełnoprawnego wydawnictwa, Mata zaprasza słuchaczy na wspólne pożegnanie lata. „2039: Złote Piaski" to minialbum (choć trwający pół godziny) składający się w większości z odrzutów z sesji do letniego singla „Lloret de Mar". „Piwo to me paliwo i poprawiam to pokrzywą / Wypaliłem kilo i popiłem to tequilą" – rapuje młody Matczak na rozpoczynającym album „Bawię się", nakreślając z grubsza klimat płyty utrzymanej w słonecznych rytmach latino, afrotrapu i reggaetonu. Słuchacze doceniający autora „Patointeligencji" za atuty liryczne niespecjalnie mają tu czego szukać. Tekstowo Mata dzielnie sekunduje zaproszonym gościom, wśród których znajdują się specjaliści od letnich, choć niekoniecznie ambitnych przebojów, jak Kizo czy „król latino" Skolim, porywający się na linijki w rodzaju „Zrobię ją na ladzie, chociaż wygląda na damę". Słuchaczy polskiego rapu raczej to nie oburzy, prędzej znudzi – tak jak cały album, niewychodzący poza gatunkowe klisze i schematy. I choć jako raper Mata sprawnie porusza się w tej tanecznej stylistyce, wakacje z nim to ten typ urlopu, po którym należy się odpoczynek.

MICHAŁ KLIMKO

nie przegap



Platoniczna przyjaźń 2 (Platonic 2), 10 odc., Apple TV+

Ile można wycisnąć z komedii o przyjaźni dwojga 40-latków? „Platoniczna przyjaźń" dowodzi, że wiele. Opowieść o relacji Sylvii (**Rose Byrne**), prowadzącej uporządkowane życie mężatki i matki, i Willa (**Seth Rogen**), wiecznego chłopca szukającego okazji do imprezowania, jest nie tylko bardzo udaną komedią, lecz także całkiem poważną próbą spojrzenia na związki w niestabilnym świecie. JD



60. Międzynarodowy Festiwal Wratislavia Cantans, Wrocław, 4–14 września

Gwiazdorska obsada błyszczy na jubileuszowej odsłonie festiwalu odbywającej się pod hasłem „Raj utracony (?)". Raczej nieutracony, z takimi artystami jak **Martha Argerich**, Charles Dutoit, John Eliot Gardiner, Giovanni Antonini, Agata Zubel czy zespołami – Il Giardino Armonico, Vox Luminis, Ensemble Peregrina, Le Sommeil i Ensemble Intercontemporain. Repertuar od średniowiecza po współczesność. DS



Current 93, Teatr Palladium, Warszawa, 6 września

Current 93, klasycy „rocka ezoterycznego", w Polsce gościli wielokrotnie, ale po raz pierwszy w ponad 40-letniej karierze zagrają w Warszawie. Występy Brytyjczyków, czerpiących z jednej strony z okultystycznych pism Aleistera Crowleya, z drugiej – szerokiego dorobku muzycznej awangardy, od folku po muzykę industrialną, to zawsze doświadczenie bliższe misterium niż klasycznego koncertu. MK

eprasa.pl 8a4c75bb48



„Stranger Things", Netflix

Wielkie finały przed nami

ANETA KYZIOŁ

Zanim wszystkie platformy streamingowe upodobnią się do YouTube'a albo TikToka – a z nimi dziś rywalizują – wciąż jeszcze mamy trochę ciekawych seriali do obejrzenia.

Symbolicznym podsumowaniem minionego sezonu będzie ceremonia wręczenia nagród Emmy, najbardziej prestiżowych wyróżnień w amerykańskim przemyśle telewizyjnym. Odbędzie się 15 września w Los Angeles, z transmisją w stacji CBS i serwisie Paramount+. Rekord nominacji należy w tej 77. edycji nagrody do produkcji platformy Apple TV+. Drugi sezon „Rozdzielenia", intrygującego i perfekcyjnie zrealizowanego miksu gatunków: satyry na pracę w korporacji, dramatu psychologicznego i thrillera, prowadzi w dziedzinie dramatu z 27 nominacjami, a „Studio", stworzona z miłości do kina błyskotliwa i zabawna satyra na współczesny rynek filmowo-telewizyjny, z udziałem gwiazd grających wersje samych siebie – w dziedzinie komedii (23 nominacje).

Galę poprowadzi Nate Bargatze, stand-uper, który w ubiegłym roku sprzedał rekordową liczbę biletów na swoje występy: 1,2 mln. Wychowany w religijnej wspólnocie 46-latek pochodzący z Nashville ma opinię „najmilszej osoby w branży". Nikogo nie obraża, żarty opowiada z kamienną twarzą, monotonnym głosem. I unika tematów politycznych. Przy dzisiejszych przepastnych podziałach społecznych wydaje się to przepisem na masowy sukces. Czy obie te rzeczy – dominacja globalnej korporacji technologicznej i niewzbudzający kontrowersji gospodarz – są symptomem zachodzących w branży telewizyjno-streamingowej zmian?

Czas to pieniądz

Analizy rynku nie prowokują do optymizmu. Zwłaszcza w gronie mniejszych graczy, którzy nie mają dość środków, by tworzyć (coraz droższe) seriale i filmy, a także inwestować w silniej angażujące widzów treści – jak transmisje sportowe na żywo – oraz w nowe technologie ze sztuczną inteligencją na czele, pozwalające dotrzeć z nimi do konkretnego widza, zatrzymać go w serwisie na dłużej i pokazać mu spersonalizowane reklamy, na których da się dodatkowo zarobić. Dziś trendy wyznaczają

eprasa.pl 8a4c75bb48



„Pluribus", Apple TV+

korporacje technologiczne i należące do nich platformy: YouTube Google'a już dziś nazywany jest „nowym królem wszystkich mediów", młodzi widzowie zaś najwięcej czasu spędzają na przeglądaniu filmików na TikToku. Serwisy streamingowe coraz częściej są do nich dodatkiem, nie zawsze niezbędnym i łatwo porzucanym.

David Zaslav, szef Warner Bros. Discovery, niezmiennie twierdzi, że rynek streamingowy czeka konsolidacja – za cztery–pięć lat pozostanie na nim tylko kilku największych, globalnych graczy, a reszta zajmie się tym, czym zajmowała się przed erą streamingu – produkcją treści, których dystrybucję powierzy właśnie tym największym. Wielu analityków rynku twierdzi, że sam Warner należy do tej drugiej grupy i jego przyszłość to połączenie z korporacją technologiczną albo innym studiem, co pozwoliłoby podzielić koszty produkcji i dystrybucji oraz zwiększyć zasięg. Wszyscy są jednak zgodni, że rynek jest nasycony, a konsumenci osiągają punkt krytyczny, zarówno jeśli chodzi o liczbę platform, które są skłonni subskrybować, jak i cenę, jaką mogą za to zapłacić.

Netflix mógł przez lata utrzymywać, że konkurencją dla niego nie są inne platformy, tylko życie towarzyskie i sen widzów. Od niedawna jednak jego szefowie w publicznych wystąpieniach wskazują na YouTube. „New York Times" podaje za Nielsenem, że w maju tego roku obie firmy odpowiadały razem za 20 proc. czasu widzów telewizyjnych w USA: YouTube za 12,5 proc. (i szybko rośnie), Netflix za pozostałe 7,5. Trzeci był Disney+, liczony w pakiecie z Hulu i ESPN+, z 5 proc. Ted Sarandos z Netflixa z jednej strony deprecjonuje przeciwnika – jak w komentarzu: „Istnieje różnica między spędzaniem czasu a zabijaniem go", z drugiej zaś zaczął podkupywać co popularniejszych twórców YouTube'a.

Na noże w Adamczysze

Tymczasem interes się kręci, przed nami kolejny sezon i wygląda na to, że serwisy streamingowe jeszcze nie złożyły broni. O naszą uwagę i portfele zawalczą zarówno kolejnymi sezonami już głośnych produkcji, jak i nowościami. W kategorii tych pierwszych z pewnością rządzi Netflix z finałową serią „Stranger Things". W odniesieniu do zapowiadanego rozmachu nowego sezonu chciałoby się napisać „finał wieńczy dzieło", ale w dzisiejszych czasach nic nie jest ostateczne, co zresztą Netflix potwierdził, zapowiadając kolejne produkcje z uniwersum Drugiej Strony. Tak czy inaczej, każdy z ośmiu odcinków sezonu ma być pełnometrażową produkcją, wrócimy do Hawkins i dorastających bohaterów, do obsady dołączy Linda Hamilton, czyli pamiętna Sarah Connor z „Terminatora" z 1984 r., a całość zostanie pokazana w trzech transzach: w Święto Dziękczynienia (27 listopada), w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, a finał – w Nowy Rok.

Z hitów Netflixa powróci także – tym razem z trzecią odsłoną – filmowa gwiazdorska seria „Na noże" Riana Johnsona („Żywy czy martwy", 12 grudnia). Do Daniela Craiga w roli prywatnego detektywa Benoit Blanca dołączą tym razem: Josh O'Connor, Glenn Close, Josh Brolin, Mila Kunis, Jeremy Renner, Kerry Washington, Andrew Scott, Cailee Spaeny, Daryl McCormack i Thomas Haden Church. Jeszcze w tym roku, dwa i pół roku od premiery poprzedniego sezonu, zobaczymy też nowe odcinki „Wiedźmina" – czwarta seria, w której w roli Geralta z Rivii zadebiutuje Liam Hemsworth, jest oparta na trzecim tomie wiedźmińskiej sagi Andrzeja Sapkowskiego, czyli powieści „Chrzest ognia". Piąta i ostatnia ▶ już powstaje.

W Polsce najbardziej wyczekiwanym powrotem nie jest bynajmniej „Wiedźmin" – zawodzący na wielu polach – tylko „1670". Po dwóch latach od premiery satyryczna wizja Polski sarmackiej ma w pełni zasłużony kultowy status i dla wielu ponowne zawitanie

REKLAMA



© MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 8a4c75bb48

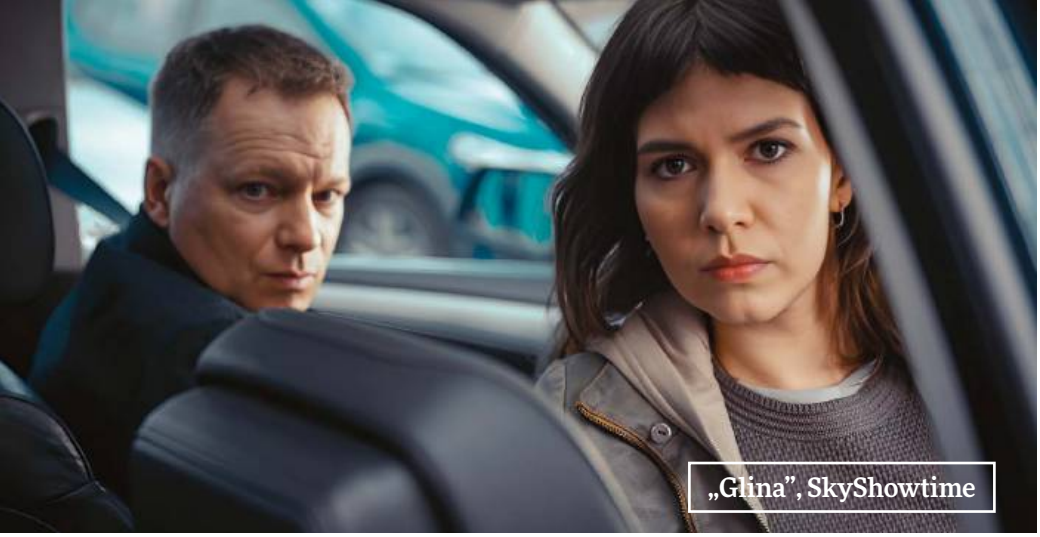

„Glina", SkyShowtime



▶ do Adamczychy, tym razem w odsłonie letniej i na bogato, jak przystało na właściciela całej całości wsi, będzie – sądząc choćby z komentarzy pod opublikowanym właśnie trailerem – prawdziwym świętem. Premiera 17 września, a dobrą wiadomością jest również to, że powstaje już trzeci sezon.

Z rodzimych produkcji warto także wspomnieć kolejne sezony świetnych seriali: komediodramatu „Minuta ciszy" (12 września, Canal+), z Robertem Więckiewiczem i Piotrem Roguckim w rolach walczących na śmierć i życie właścicieli zakładów pogrzebowych z Bożej Woli i Złotowa, oraz „The Office PL" (jesień, Canal+), nowej porcji przygód pracowników biura Kropliczanki w Siedlcach. TVP wskrzesi „Rodzinkę.pl", nadawaną w latach 2011–20. Ale kategorię wskrzeszenia zdecydowanie wygrywa SkyShowtime, które reaktywowało „Glinę", serialowy hit TVP w reż. Władysława Pasikowskiego, z Jerzym Radziwiłowiczem i Maciejem Stuhrem w rolach warszawskich policjantów, pokazywany w latach 2004–08.

Poza „Gliną" SkyShowtime stawia na kolejne seriale ze świata Dextera Morgana, seryjnego mordercy z kodeksem (tym razem „Dexter: Zmartwychwstanie" sezon 1, od 12 września, starej obsadzie z Michaelem C. Hallem na czele towarzyszą nowi bohaterowie, grani m.in. przez Umę Thurman i Petera Dinklage'a). Prime Video pokaże drugi sezon „Fallouta", adaptacji popularnej gry wideo (17 grudnia), w którym zabierze widzów w podróż przez pustkowia Mojave do postapokaliptycznego miasta New Vegas. Disney+ zapowiada piątą odsłonę świetnej komedii „Zbrodnie po sąsiedzku" (9 września), a Apple TV+ pokaże piąty sezon „Kulawych koni", z Garym Oldmanem w roli niechluja, malkontenta i genialnego szpiega.

Na polskich faktach

Większą niewiadomą stanowią nowości. W Polsce najwięcej ciekawości i nadziei budzi „Heweliusz" (listopad), katastroficzno-sądowa superprodukcja Netflixa oparta na prawdziwej historii zatonięcia na Bałtyku promu pasażerskiego „Jan Heweliusz" podczas sztormu w nocy z 13 na 14 stycznia 1993 r. Zdjęcia do serialu w reż. Jana Holoubka powstawały m.in. w Belgii na basenach do kręcenia ujęć podwodnych. „Tego jeszcze w Polsce nie było. To jeden z najbardziej wymagających projektów, w których brałem udział. Ten wysiłek był dla mnie zaskakujący. Pokonałem wiele swoich strachów. To jedna z największych przygód mojego życia" – dzielił się przeżyciami Borys Szyc, grający kapitana promu Andrzeja Ułasiewicza.

W zawody z Netflixem postanowił pójść w tym roku Disney+, który pokaże swoją pierwszą polską produkcję (12 września): akcja ośmioodcinkowego kryminału noir „Breslau" (scen. Magdalena Żakowska i Bartosz Janiszewski, reż. Leszek Dawid) rozgrywa się w niemieckim Wrocławiu w 1936 r. Komisarz Franz Podolsky (Tomasz Schuchardt) pracuje nad sprawą brutalnego morderstwa, a w związku ze zbliżającymi się igrzyskami olimpijskimi presja jest olbrzymia. HBO Max ma w planach na ten rok serial „Niebo. Rok w piekle", inspirowaną prawdziwą historią opowieść o życiu w sekcie w latach 90. (scen. Jakub Korolczuk, reż. Bartosz Blaschke).

Nie próżnowała także Telewizja Polska. Z nowości TVP na uwagę zasługują trzy seriale. Pierwszy to „Drelich" (wrzesień) – siedmioodcinkowa adaptacja powieści Jakuba Ćwieka o Marku Drelichu (Filip Pławiak), warszawskim złodzieju i włamywaczu, który zostaje wplątany w niebezpieczną grę o najwyższą stawkę. Drugi – „Czarna śmierć" w reż. Kuby Czekaja (jesień) – opiera się na prawdziwych wydarzeniach z 1963 r., gdy we Wrocławiu wybuchła epidemia ospy prawdziwej i miasto przez dwa miesiące było odizolowane od reszty kraju. Trzeci zaś – „Zaraz wracam" (wrzesień), miks serialu obyczajowego, komedii i romansu – wydaje się przygotowywany na następcę „Rancza". Bohaterami są pracownicy Urzędu Gminy w Polskim Polu i ich problemy zawodowe i prywatne. W obsadzie m.in. Barbara Kurdej-Szatan, Violetta Arlak, Katarzyna Zielińska, Sylwia Juszczak-Krawczyk, Mariusz Kiljan i Marcin Kwaśny. „W tej aspirującej wsi nie brakuje zaskakujących zwrotów akcji" – zachęca do oglądania TVP.

Zmarli żyją, żywi znikają

Największą amerykańską produkcją filmową Netflixa będzie z kolei w tym roku wypieszczony wizualnie „Frankenstein", najnowsze dzieło nagrodzonego Oscarem Guillermo del Toro, z Oscarem Isaakiem i Jacobem Elrodim w głównych rolach. Ma premierę na startującym w tym tygodniu festiwalu w Wenecji, a na platformę trafi 7 listopada. Z filmowych nowości serwisu interesująco zapowiada się przede wszystkim „Jay Kelly" w reż. Noah Baumbacha (autor m.in. pamiętnej „Historii małżeńskiej"); wedle opisu platformy to „pełna ironii, wzruszeń i zaskakującego humoru opowieść o sławnym aktorze (George Clooney) i jego lojalnym menedżerze (Adam Sandler), którzy wyruszają w podróż po Europie, mierząc się z wyborami swojego życia".

Z wielu zaś wartych czekania seriali Netflixa wymieńmy choćby te dwa. W „The Beast in Me" (13 listopada) Claire Danes wciela się w pisarkę, która wpada w obsesję na punkcie nowego sąsiada, potentata na rynku nieruchomości (Matthew Rhys), będącego niegdyś głównym podejrzanym w sprawie zaginięcia jego żony. Showrunnerem jest Howard Gordon, który z Danes

eprasa.pl 8a4c75bb48



„1670”, Netflix



„Heweliusz”, Netflix

zna się z czasów pracy przy świetnym „Homeland”, a fabuła jest inspirowana głośną sprawą Roberta Dursta. I „House of Guiness” (25 września) – nowy serial showrunnera „Peaky Blinders” i „Oddziału dla zuchwałych” Stevena Knighta jest z kolei inspirowany losami rodu słynnych piwowarów. Akcja dzieje się w XIX-wiecznym Dublinie i Nowym Jorku, „testament nestora rodu będzie miał wpływ na życie jego czwórki dzieci, a także innych bohaterów pracujących nad legendą trunku”.

Z kolei HBO Max do końca roku pokaże m.in. „Grupę zadaniową” (8 września), miniserial kryminalny twórcy świetnej „Mare z Eastown”, tym razem z akcją osadzoną na przedmieściach Filadelfii i z Markiem Ruffalo w roli głównej, oraz „To: Witamy w Derry”, serialowy horror na podstawie powieści Stephena Kinga. Disney+ zaś zaprasza m.in. na „Wszystko dozwolone” (jesień) – serial Riana Johnsona o kancelarii prawnej prowadzonej przez kobiety, z gwiazdorsko-celebrycką obsadą: Kim Kardashian, Naomi Watts, Sarah Paulson i Glenn Close, czy na superbohaterski „Marvel Television’s Wonder Man” (grudzień).

Z kilku świetnie zapowiadających się seriali Apple TV+ warto wyróżnić przede wszystkim „Pluribus” (7 listopada), nowe, owiane tajemnicą dzieło Vince’a Gilligana, twórcy genialnych serii „Breaking Bad” i „Zadzwoń do Saula”. Ma to być historia SF w duchu „Z Archiwum X” o „najbardziej nieszczęśliwej osobie na Ziemi, która musi ocalić świat przed szczęściem”. W obsadzie obok Rhei Seehorn widnieje m.in. Karolina Wydra („Agenci T.A.R.C.Z.Y.”). Bardziej klasycznie brzmi opis „Down Cemetery Road” (29 października), ekranizacji pierwszego tomu powieściowego cyklu Micka Herrona „The Oxford Investigations” (na podstawie innej jego serii powstają „Kulawe konie”). Akcja toczy się w spokojnej dzielnicy Oxfordu i zaczyna od eksplozji domu, po której znika dziewczynka. Jej sąsiadka (Ruth Wilson) prosi o pomoc prywatną detektywkę (Emma Thompson). „Wkrótce obie kobiety zostają wciągnięte w skomplikowaną intrygę, która dowodzi, że niektórzy uznani za zmarłych wciąż żyją, a żywi znikają w zastraszającym tempie”.

W tajemnice obfitować będą też nowe produkcje SkyShowtime: serial kryminalny „All Her Fault” ze znaną z „Sukcesji” Sarą Snook w roli matki, która przyjeżdża odebrać swojego synka Milo po jego pierwszej wizycie u nowego kolegi, ale kobieta, która otwiera jej drzwi, nie jest matką chłopca i nie słyszała o Milo, oraz dziejący się na Bliskim Wschodzie serial akcji „Atomic” z Alfiem Allenem i Samirą Wiley. Czy „The Paper”, nowa wersja „The Office”, tym razem dziejąca się w redakcji upadającej gazety, z Domhnallem Gleesonem i Sabriną Impacciatore w głównych rolach.

Koniec, w którym wszystko wszędzie będzie YouTube’em lub TikTokiem, na razie został odroczony. Przynajmniej do końca roku.

ANETA KYZIOŁ

© MATERIAŁY PRASOWE (3)

REKLAMA



eprasa.pl 8a4c75bb48



„Sydney Sweeney ma dobre dżinsy/geny" – kontrowersyjna reklama marki American Eagle z gwiazdą serialu „Euforia"

Hollywood zezuje w prawo

Czy groźby Donalda Trumpa o przejęciu Fabryki Snów właśnie zaczynają się ziszczać? A może to świat staje się bardziej konserwatywny, a wraz z nim rozrywka?

JAKUB DEMIAŃCZUK

Afera zaczęła się od dżinsów. A ściślej rzecz biorąc, od kampanii reklamowej marki American Eagle, opartej na zestawianiu słów „dżinsy" i „geny" (w języku angielskim oba wymawia się tak samo). „Sydney Sweeney ma dobre dżinsy", głosiło hasło reklamowe, ale fotografie atrakcyjnej, niebieskookiej blondynki jasno sugerowały, że chodzi także o dobre geny. Zresztą w jednym z filmów reklamowych zostało to powiedziane niemal wprost: na ekranie słowo „geny" zostało przekreślone i zastąpione „dżinsami". Kampania American Eagle odniosła zamierzony cel: nagle o marce zaczęli mówić wszyscy. Jedni krytykowali rzekomo rasistowski podtekst reklam, inni się nim zachwycali. Sydney Sweeney – niezależnie od własnych intencji – została wykorzystana jako symbol białej (czyli w oczach zwolenników MAGA „normalnej") Ameryki, a reklamy z jej udziałem chwalił sam Donald Trump.

Aktorka nie po raz pierwszy wzbudziła entuzjazm skrajnej prawicy. Gdy w ubiegłym roku pojawiła się w satyrycznym programie „Saturday Night Live" – który swoją drogą nigdy nie stronił od kpin z Trumpa i Republikanów – część alt-rightowych komentatorów, m.in. Richard Hanania, jeden ze współtwórców „Projektu 2025", uznała, że to początek końca zjawiska „woke" – lewicowej (nad)wrażliwości na nierówności. Bo wprawdzie „SNL" uznaje się za program lewicujący, to jednak pojawił się w nim skecz, w którym uwaga kamery (i widzów) koncentrowała się na biuście Sweeney. A gdy jeszcze się okazało, że w ubiegłym roku na kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi gwiazda serialu „Euforia" zarejestrowała się jako wyborczyni republikańska, prawica uznała ją za swoją, nawet jeśli ona sama raczej nie decyduje się na jednoznaczne deklaracje polityczne.

Nic na razie nie wskazuje na to, by afera dżinsowa miała zaszkodzić karierze aktorki. Przede wszystkim dlatego, że „cancel

eprasa.pl 8a4c75bb48

culture", podobnie jak „wokeness", to wymyślone przez prawicę chochoły do straszenia wyborców, a nie prawdziwe zjawisko, które miałoby rzekomo krępować wolność na scenie kulturalnej. Jeśli ktoś myśli, że jest inaczej, niech zastanowi się, jak bardzo zaszkodziły karierze J. K. Rowling jej transfobiczne wypowiedzi (podpowiedź: wcale). Republikanie bardzo chcą jednak wykorzystać popularność młodej aktorki, bo ich kulturowe zaplecze jest dziś, delikatnie mówiąc, raczej dziaderskie. Co więcej, od dekady, czyli od czasu, kiedy wzrosła potęga Donalda Trumpa, od partii odwróciła się także część republikańskich gwiazd Hollywood, takich jak Clint Eastwood czy Arnold Schwarzenegger. Może jednak tym razem obóz prezydenta nie jest bez szans.

Jezus, Rocky, Trump

Działania Trumpa rzadko wywołują jakąkolwiek aprobatę w świecie kultury, ale ostatnio widać pewną zmianę. Niektórzy nawet postanawiają poprzeć prezydenta nie tylko słowami, lecz także czynem. Dean Cain, który sławę zdobył rolą Supermana w serialu „Lois i Clark", dołączył niedawno do szeregów ICE, agencji federalnej odpowiedzialnej za deportację nielegalnych (czy też tych, których arbitralnie uzna za nielegalnych) imigrantów. Cain, od dawna zaprzysiężony jako zastępca szeryfa i zaprzyjaźniony z republikańskimi politykami, tłumaczył, że jego decyzja to odpowiedź na wezwanie prezydenta do obrony Stanów Zjednoczonych przed niechcianymi przybyszami. „Wiemy, że Superman jest imigrantem, to przecież kosmita. Amerykański styl życia jest niezwykle przychylny imigrantom. Ale są pewne zasady... – tłumaczył. – Musimy narzucać limity, nie możemy wszystkich wpuszczać do Stanów, bo społeczeństwo upadnie".

Lista celebrytów ze świata szeroko pojętej kultury, którzy otwarcie wspierali Donalda Trumpa, szczególnie podczas ostatnich wyborów, może przypominać spis sfrustrowanych, bardziej bądź mniej zapomnianych gwiazd. Jim Caviezel (Jezus w „Pasji" Mela Gibsona), James Woods, Kelsey Grammer (gwiazda sitcomu „Frasier"), komik Rob Schneider, Roseanne Barr, bracia Dennis i Randy Quaidowie czy Kevin Sorbo (serialowy „Herkules", który później przerzucił się przede wszystkim na kino religijne) to nazwiska rozpoznawalne, czasami imponujące – Woods był dwukrotnie nominowany do Oscara i ma na koncie kilka wybitnych ról – lecz bez większego przełożenia na dzisiejsze Hollywood.

Inaczej rzecz się ma z realnymi gwiazdami: Sylvestrem Stallone'em, Melem Gibsonem i Jonem Voightem. Zachwycony ich poparciem Trump mianował ich swoimi specjalnymi ambasadorami w Fabryce Snów z misją pokierowania produkcji filmowej we właściwą stronę. Stallone, zaproszony tuż po ubiegłorocznych wyborach do prezydenckiej posiadłości w Mar-a-Lago, zdołał zestawić Trumpa z Chrystusem i Rockym Balboą, i na tym nie poprzestał. „Jesteśmy w obecności postaci mitologicznej. A ja kocham mitologię – mówił. – Gdy George Washington bronił swojego kraju, nie miał pojęcia, że zmieni cały świat. Bo możemy sobie tylko wyobrazić, jak świat wyglądałby bez niego. I wiecie co? Właśnie dostaliśmy drugiego George'a Washingtona".

Romans z Szatanem

Hollywood było solą w oku „drugiego George'a Washingtona" od lat. Donald Trump, wiecznie spragniony sławy i podziwu, pojawiał się na ekranach filmów dość regularnie, niemal zawsze we własnej roli (najsłynniejszy występ to oczywiście cameo w komedii „Kevin sam w Nowym Jorku"), choć zdarzały ▶

© MICHAEL M. SANTIAGO/GETTY IMAGES

REKLAMA



15. EDYCJA

26–28.09.2025

SZALONE DNI MUZYKI

WIBRACJE MIAST

BILETY W SPRZEDAŻY OD 1.09

SZALONEDNIMUZYKI.PL

ORGANIZATOR

Sinfonia ORKIESTRA Varsovia

Instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

WSPÓŁORGANIZATORZY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Zamówienia kompozytorskie", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.

SPONSOR GŁÓWNY

ORLEN

SPONSOR

PGE

TEATR WIELKI OPERA NARODOWA

centrum edukacji artystycznej

Dofinansowano ze środków Centrum Edukacji Artystycznej

Fundacja Ogrody Muzyczne

PARTNER STRATEGICZNY

TOTALIZATOR SPORTOWY

LAT

CREA FOLLES JOURNÉES

projekt współfinansuje miasto stołeczne Warszawa

eprasa.pl 8a4c75bb48





Sylvester Stallone z Donaldem Trumpem. Po drugiej stronie barykady, w gronie artystów kpiących z prezydenta, są twórcy serialu „South Park".

▶ mu się pojedyncze role aktorskie, jak epizodzik w familijnym „Klanie urwisów". O jego telewizyjnej karierze związanej z reality show „The Apprentice" też nie można zapominać. Jednak podczas swojej pierwszej kadencji i po przegranych wyborach w 2020 r. był przede wszystkim celem satyry (m.in. właśnie w skeczach „Saturday Night Live"), ale też poważniejszych – i dalekich od przychylności – analiz, takich jak film „Wybraniec" z nominowaną do Oscara rolą Sebastiana Stana czy telewizyjna „Zasada Comeya" (Trumpa grał tam irlandzki aktor Brendan Gleeson).

Prezydent ma więc do Hollywood uraz i nie przepuszcza okazji do zemsty. A to wytaczając wojenki celebrytom w mediach społecznościowych, a to zarzucając twórcom kłamstwa i złą wolę. Po niedawnym zwolnieniu Stephena Colberta ze stacji CBS – w tle miał być styk biznesu i polityki, a nieoszczędzający Trumpa w swoim „The Late Night Show" prezenter miał być częścią targu (pisaliśmy o tym szerzej w POLITYCE 34) – prezydent triumfował w swoim niepowtarzalnym stylu. „Wszyscy mówią, że byłem odpowiedzialny za zwolnienie Stephena Colberta z CBS. To nie jest prawda! Przyczyną zwolnienia był jego czysty brak TALENTU, który kosztował CBS $50 milionów dolarów w stratach – i mogło być tylko GORZEJ! Następny będzie jeszcze mniej utalentowany Jimmy Kimmel, a potem słaby i niepewny Jimmy Fallon. Pytanie tylko, który poleci pierwszy", pisał na swoim koncie w serwisie społecznościowym Truth.

Twórcy nie pozostają dłużni. W najnowszym sezonie animowanego serialu „South Park" jego autorzy Matt Stone i Trey Parker wytoczyli przeciwko Trumpowi najcięższe działa. Podczas jego pierwszej kadencji kpili z niego niejako zastępczo: trumpopodobnym prezydentem został w serialu jeden z drugoplanowych bohaterów, szkolny nauczyciel pan Garrison. Teraz zrzucili przebrania i pokazali Trumpa jako bezmyślnego tyrana (obdarzonego mikroskopijnym penisem – to bardzo istotny wątek), który w Mar-a-Lago urządza nieustające orgie, nie chce ujawnić listy Epsteina i ma romans z Szatanem. Nie został jak większość postaci narysowany karykaturalną kreską, lecz do animacji wykorzystano prawdziwe zdjęcia twarzy prezydenta. Poprzednio w ten sposób (nie wyłączając seksu z diabłem) został w „South Parku" sportretowany Saddam Husajn.

Dostaje się też administracji Trumpa: jeden z nowych epizodów skupia się na działaniach ICE i kampanii wymierzonej w imigrantów (aresztują m.in. ulubienicę dzieci małą podróżniczkę Dorę), a Kristi Noem, sekretarz bezpieczeństwa krajowego USA, została przedstawiona jako osoba z obłędem w oczach strzelająca do każdego napotkanego psa (to nawiązanie do jej własnej opowieści o tym, jak zastrzeliła swojego wyżła, bo uznała, że nie nadaje się na polowania).

Biały Dom wydał oficjalne oświadczenie potępiające „South Park", ale Paramount, korporacja będąca właścicielką zarówno CBS, stacji, która skasowała program Colberta, jak i nadającej „South Park" Comedy Central, tym razem – na razie – stanęła w obronie autorów. Powołuje się na wolność słowa.

Trwałe podziały

Jak amerykańskie kino zareaguje na drugą kadencję Trumpa, wciąż pozostaje niewiadomą. Wiele gwiazd nie szczędzi prezydentowi gorzkich słów: do jego najbardziej zagorzałych krytyków wciąż należą m.in.: Robert De Niro, Mark Hamill, Rosie O'Donnell, Mark Ruffalo, John Cusack czy – by dorzucić artystów z innych branż – Taylor Swift i Stephen King. Ale w porównaniu z sytuacją sprzed ponad ośmiu lat krytyka jest mniej donośna. Choć wielu celebrytów sprzeciwia się polityce prowadzonej przez Biały Dom – zwłaszcza gospodarczej, antyimigracyjnej i zagranicznej – robią to często bez używania nazwisk i oględnie. Jak zauważyła felietonistka waszyngtońskiego dziennika „The Hill", „większość Hollywood obsadziła go w roli inspirowanej »Harrym Potterem«: »Tego-Którego-Imienia-Nie-Wolno-Wymawiać«".

Pierwsza kadencja i postawa Republikanów po przegranych wyborach w 2020 r. zaowocowały serią mainstreamowych produkcji, które łatwo było odczytać jako ostrzeżenie przed dyktaturą. Filmy superbohaterskie, seriale telewizyjne, horrory, od „Opowieści podręcznej" po nowego „Supermana" (którego prawica oczywiście uznała za przejaw „woke") – w popkulturze zaroiło się od dyktatorów, dystopii, tyranów w stylu Trumpa i żądnych władzy klonów Elona Muska. W drugiej kadencji Trump bierze odwet; najpierw zmusił do uległości wielkich bossów z Doliny Krzemowej, a teraz powoli przekłada się to na sytuację w Hollywood. 16 mln dol., które Paramount zgodził się zapłacić Trumpowi w ramach ugody, choć pozew prezydenta – za rzekome manipulowanie wywiadem z Kamalą Harris w programie „60 minutes" tak, by ówczesna kandydatka lepiej wypadła w oczach opinii publicznej – był uznawany za z góry przegrany, zwiastuje, że wielkie studia nie będą chciały

eprasa.pl 8a4c75bb48

ryzykować podobnych sporów w przyszłości. Bob Iger, szef koncernu Disneya, już zapowiedział, że celem studia jest rozrywka, a nie forsowanie jakiejkolwiek ideologii. Niewykluczone, że inni hollywoodzcy giganci pójdą w jego ślady.

To zresztą wcale nie musi wynikać ze strachu przed Białym Domem. Stany Zjednoczone są podzielone, więc nawet jeżeli na prezydenckim fotelu znów zasiądzie demokratyczny polityk, to Hollywood i tak będzie musiało wyciągnąć rękę do konserwatywnych wyborców. Jeśli nie z powodów koncyliacyjnych, to czysto komercyjnych: producenci nie mogą sobie pozwolić na ignorowanie milionów potencjalnych widzów.

Już teraz zauważalnie, przynajmniej w USA, rośnie popularność wystawnych widowisk biblijnych i religijnych, do niedawna kojarzonych albo z tanimi produkcjami telewizyjnymi, albo niszowymi (choć względnie dochodowymi) filmami, takimi jak cykl „Bóg nie umarł". Kostiumowe seriale „The Chosen. Wybrani" (opowiadający o życiu Chrystusa poprzez relacje ludzi, którym pomógł) i „Dom Dawida" okazały się streamingowymi przebojami, a Mel Gibson już zapowiedział na 2027 r. kinową premierę dwuczęściowej kontynuacji „Pasji": „The Resurrection of the Christ".

© DAVIDOFF STUDIOS/GETTY IMAGES, SOUTH PARK DIGITAL STUDIOS

W sercu Ameryki

Jednak produkcje religijne zazwyczaj oznaczają stawanie po konkretnej stronie barykady, czego większość producentów z pewnością będzie się starała unikać. Krytyczka Inkoo Kang w „New Yorkerze" twierdzi, że kierunek rozwoju wyznaczają dokonania Taylora Sheridana, twórcy „Yellowstone" i innych hitowych seriali, których fabuły rozgrywają się w sercu Ameryki, z dala od wielkich, liberalnych, lewicujących miast. Sheridan jest inteligentnym scenarzystą, więc unika topornej propagandy, za to nie ucieka od drażliwych tematów historycznych i współczesnych. Mówi o trudnej amerykańskiej historii, o postępującej degradacji środowiska, o zachłanności korporacyjnych miliarderów. Jednocześnie konstruuje ekranowe światy oparte na tradycyjnych wartościach, gdzie to silni mężczyźni ustanawiają proste reguły. „Showrunner nie ukrywa swojej niechęci do mainstreamowego Hollywoodu, a uczucie to może być wzajemne: tego lata jego sześć nadawanych aktualnie seriali po raz kolejny zostało pominiętych podczas nominacji do nagród Emmy. Jednak jego najnowszy projekt »Landman: Negocjator« pokazuje lepiej niż większość innych, że konserwatywne seriale mogą być świetną rozrywką nawet dla liberalnych widzów", pisała Kang.

Jaki będzie ostateczny rezultat zmian zachodzących w Hollywood? Zapewne kino głównego nurtu stanie się jeszcze bardziej zachowawcze, oderwane od bieżących problemów, unikające kontrowersyjnych tematów – zwłaszcza związanych z tożsamością płciową, podziałem ról społecznych, walką o prawa mniejszości – może też fałszujące bądź wybielające historię Stanów Zjednoczonych. Mainstreamowe amerykańskie kino zazwyczaj bywało nośnikiem umiarkowanie konserwatywnych narracji, choć w ostatnich latach przynajmniej podejmowało próbę nadążania za społecznym progresem. Być może teraz ten postęp zostanie jeśli nie cofnięty, to przynajmniej zamrożony.

JAKUB DEMIAŃCZUK

REKLAMA



eprasa.pl 8a4c75bb48

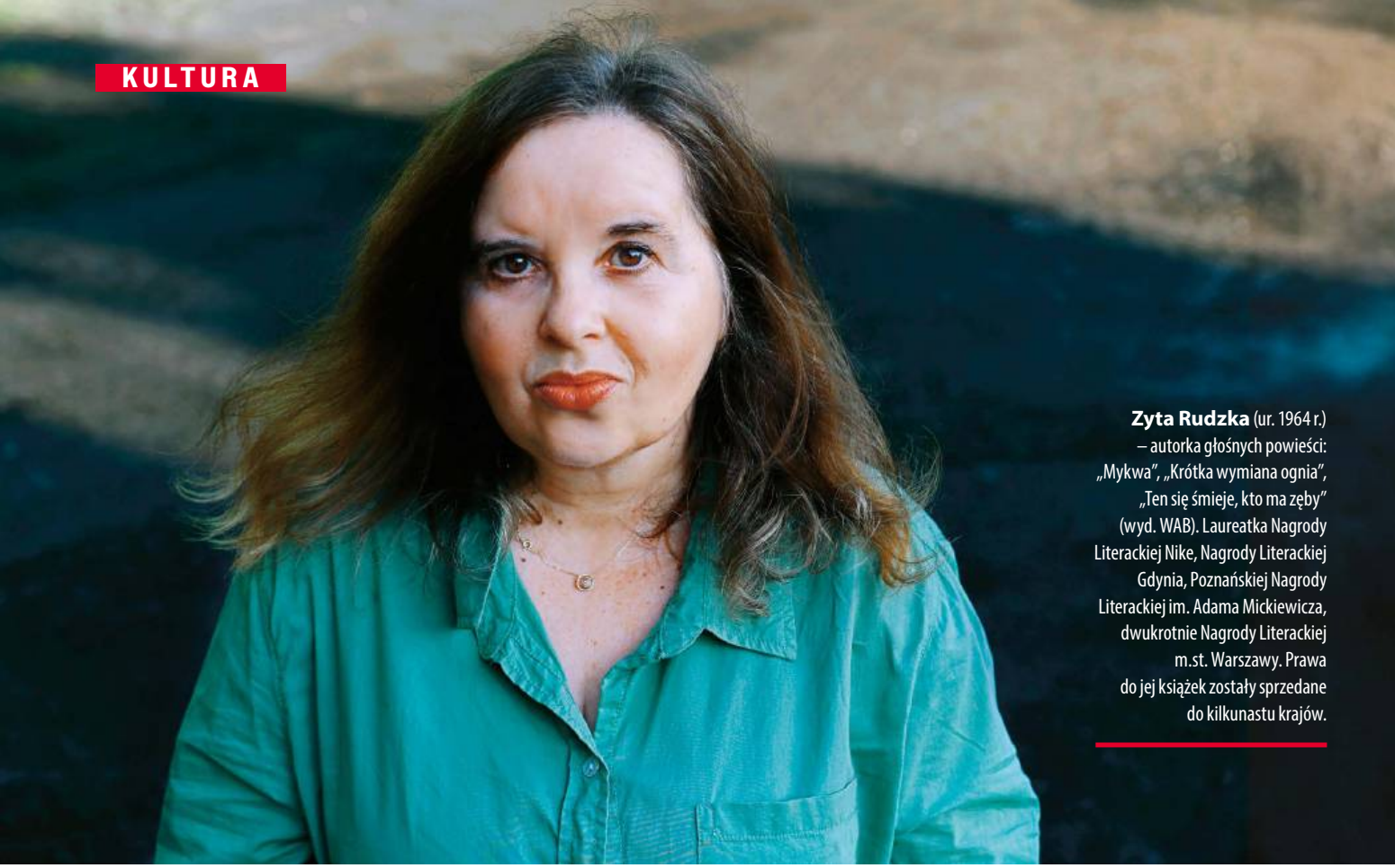

Zyta Rudzka (ur. 1964 r.) – autorka głośnych powieści: „Mykwa", „Krótka wymiana ognia", „Ten się śmieje, kto ma zęby" (wyd. WAB). Laureatka Nagrody Literackiej Nike, Nagrody Literackiej Gdynia, Poznańskiej Nagrody Literackiej im. Adama Mickiewicza, dwukrotnie Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. Prawa do jej książek zostały sprzedane do kilkunastu krajów.

Sztachnąć się życiem

Cenię słowa i oszczędnie z nich korzystam. Jak powiada jeden z moich bohaterów, nie mamy sobie nic do powiedzenia i to nas bardzo zbliża – mówi Zyta Rudzka, której nowa powieść „Tylko durnie żyją do końca" ukaże się jesienią.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **– Bohaterowie pani nowej powieści piją bimber i dobrze im z tym. Zaraz ktoś to nazwie promocją alkoholizmu.**

ZYTA RUDZKA: – Mówiłam znajomym, że piszę pijacką sielankę, i widziałam niedowierzanie w ich oczach: wojna, apokalipsa, kryzys klimatyczny, a ty piszesz o chlaniu?! Dużo, i słusznie, mówi się teraz o inkluzywności, ale mam wrażenie, że o ile myślenie staje się progresywne, to wzorce słusznej obyczajowości są coraz bardziej purytańskie. Ja wiem, że bezpieczniej pisać o traumie, radykalnej nadziei, czułości i trosce czy też snuć sagi rozpaćkanym językiem. Picie kojarzy się wyłącznie z uzależnieniem i krzywdą. Ale ja nie mam przyjemności w pisaniu bezpiecznych rzeczy.

„Mam dobre życie, szczodre jak świński cyc" – mówi Lida, bohaterka książki.

„Tylko durnie żyją do końca" jest powieścią o wolności i hedonizmie. A hedonizm jest dziś podejrzany, stał się już tylko łatwą opozycją altruizmu. Skleja się go pochopnie z egoizmem, próżniactwem, narcyzmem. Moja powieść to portret wiejskiej nauczycielki z byłym powołaniem, która kontempluje ciała kochanków, lubi się sztachnąć życiem. Ale ten swobodny styl życia nie wynika z dosytu materialnego, z lenistwa, z wygody, ale ze świadomej decyzji, która dała jej wolność. Widzę w tym mądrość i odwagę, a wolność bez hedonizmu jest smętna i bez smaku. A ponieważ pisanie jest dla mnie absolutną wolnością, to pojawiła się myśl, by napisać sielankę.

Przy sielance chciała pani odpocząć?

Pisanie powieści, nawet o sielance, to nie jest sielanka. To dosyć napięty i wymagający czas, psychicznie i fizycznie. To również samotność. Ale czułam, że przez te lata ciężkie, wymagające, kiedy przebywałam w różnych reżimach, również pisarskich, bo wydałam kilka powieści, świat się zdążył popsuć. Nie chodziło mi o to, żeby od niego uciec. To nie eskapizm. Pisanie, sztuka to nie jest ucieczka w świat fantazji, tylko zaangażowanie. Literatura piękna też potrafi się pięknie angażować. Ale to nie jest dopisywanie komentarzy literackich do spraw publicznych, politycznych. Chciałam napisać historię miłosną pomiędzy kobietą i dwoma mężczyznami. Są razem, bo się pokochali, dogadali. Ani to komuna, ani żaden tam artystyczny *ménage à trois*. Miłość możliwa, ale bardzo zwyczajna. Nic na pokaz. Taka cicha wywrotowość. Lata mijają, a oni trzymają się razem. Dla jednych będzie to manifestacja wolności,

eprasa.pl 8a4c75bb48

dla innych historia o upadku. Nie chcę heroizować mojej bohaterki. Jej los może być różnie odczytywany. Lida bardziej wyrywa się do śpiewania niż do pomagania. Stroni od ludzi, ale się od nich nie odwraca. Pomaga, ale nie na pokaz. Dobroczynnością nie buduje sobie marki ani niczego nie kompensuje. Mnie nie uruchamiają do pisania mity, ale myślę, że życie mojej bohaterki jest w porządku antycznym: sport, wody rzeki i woda życia, radość ciała. Lida pływa stylem wolnym i pomaga też stylem swobodnym. I tak to napisałam.

No właśnie, bo ta powieść jest inaczej pisana niż poprzednie, językiem mniej militarnym.

A jak inaczej? Trudno, żebym o ładnym życiu nad rzeką, spełnionym, przywalała ostrymi zdaniami. Lida dużo pływa – no nie jest to kobieta lądowa – i opowiada o sobie też swobodnie, lekko. Ma ostre oko i cięty humor, ale przecież piszę też swoim temperamentem pisarskim. Ta powieść to monolog, wyznanie, i budując ją, miałam cały czas świadomość, kto do mnie mówi. Lida ma złożoną tożsamość, bo długo już mieszka na wsi i język wiejski z niej bucha, ale pochodzi z miasta, urodziła się w domu adwokatów i te słowa od matki, od ojca też w niej są. Czasem odezwie się głosem swojego domu albo głosem swojego kochanka Ziuta, który jest hydraulikiem, czasem językiem drugiego kochanka Rocha, czyli geodety. Wiedziałam tylko, że na pewno Lida siedzi za kierownicą swojego życia i prowadzi je luźną ręką, i ja to pisałam luźną ręką. Oczywiście to nie jest język przezroczysty, to jest język zrobiony. Ale powieść musi mieć swoją urodę. A najlepiej, jakby to była uroda nieoklepana. To nie jest opowieść o życiu po traumie, chociaż Lida też swoje sznyty na sercu ma. Ale ona nie celebruje utraty, bierze to wszystko na klatę i żyje dalej. To jest mój kolejny literacki portret kobiety wolnej. Piszę o żywych, współczesnych postaciach, nie ciągnie mnie do sagi. Moje bohaterki biorą za swoje życie odpowiedzialność, nie obarczają nią matki, ojca, losu, historii.

To życie jest wbrew dzisiejszym trendom: przymusowi posiadania, prestiżu – oni żyją na swoich zasadach. Ale jak na sielankę często nas tu coś łapie za gardło. Pojawia się śmierć i starość.

Napisałam sielankę, a nie bajkę. Problem z sielanką jest w tym, że operuje wąskim kadrem. Można mościć się w sielance, ale nie da się w niej żyć, bo ciągle ktoś wchodzi w kadr i nie pasuje do ślicznego obrazka. Miałam pisać o pięknym lecie trójki ludzi, tymczasem wyszło inaczej, pojawił się na przykład ojciec bohaterki. To naturalne, że boimy się starości, ale we własną starość wchodzimy organicznie, powoli. A ze starością naszych rodziców konfrontujemy się jednak gwałtownie, na ostro. Nagle odkrywamy, że ojciec zapomina słów. Matka bezradna, nie potrafi zadbać o siebie. Starość rodziców bywa narzucająca się, próbuje zepchnąć nas z kładki, wytrącić z własnego życia. Ojciec Lidy, mecenas na emeryturze, z miasta, ciągle do niej przyjeżdża, chyba przyciąga go szczęście. A ona nie przyjmuje go na jego warunkach. Z wielu powodów.

Chce ciągle córce narzucać swoją wolę?

Ojciec o niej myśli, że to nieudane dziecko. Miała być kimś innym. W czasie pisania przypomniał mi się mój zmarły ojciec, dałam nawet tej postaci jego imię, Zygmunt. Między dorosłymi córkami i ojcami istnieje często relacja dosyć gwałtowna. ▶

© MATERIAŁY PRASOWE

REKLAMA

DOGODY POLITYKI W ELBLĄGU



ŁONA x KONIECZNY x KRUPA
SUPPORT SENNY
05.09.2025, g. 19:30

LECH JANERKA
06.09.2025, g. 19:30





JAZZ BAND
MŁYNARSKI & MASECKI
07.09.2025, g. 18:00

kup bilecik PL

BILETY I KARNET DOSTĘPNE
NA WWW.KUPBILECIK.PL
ORAZ W BIBLIOTECE ELBLĄSKIEJ

Biblioteka Elbląska | ul. św. Ducha 3-7, 82-300 Elbląg | www.bibliotekaelblaska.pl

ORGANIZATORZY
Miasto Elbląg
BIBLIOTEKA ELBLĄSKA
POLITYKA

PARTNERZY
ZPZE
METAL EXPERT
opegieka
mosir Elbląg
KNEDLER
JUPI
Klimat-el
CLEANER.PL

PARTNERZY MEDIALNI
tokfm
TRUSO.TV
Express Elbląg

Udział w wydarzeniu jest równoznaczny z wyrażeniem zgody na wykorzystanie wizerunku w materiałach promocyjnych i relacjach przygotowywanych przez organizatorów wydarzenia.

eprasa.pl 8a4c75bb48

▶ Mój ojciec poświęcał mi dużo czasu, ale też chciał sterować moim życiem. Pamiętam, uwielbiał moich chłopaków i kiedy przechodzili przez duży pokój, to ich oceniał. I mówił po ich wyjściu: ten tak, ten nie. I powtarzał mi: „Cały czas zmieniaj chłopaków". Zupełnie nie jak ojciec. Sam był uwielbiany przez kobiety, uwodzący. Stąd może lubię opisy męskiego starzenia się, urody chropowatej, drobnych trików, które maskują wiek. I to rozdrażnienie, kiedy już czują, że nie zasysają kobiecych fantazji jak kiedyś. To mnie, myślę, również uruchamia do pisania.

Dlaczego teraz właśnie zaczął wracać do pani ojciec?

Ojciec mi wrócił dlatego, że w tych ostatnich latach zdobyłam nagrody i jestem tłumaczona, a on chciał, żebym pisała. Jak miałam z siedem lat, kupił mi „Melodramat" Zyty Oryszyn. Pamiętam moment i miejsce – obecnie są tam „Alkohole 24h", a wcześniej była księgarnia. Kupił mi Zytę i powiedział, że ja też będę pisarką. Szkoda, że tego nie dożył. Wcześniej nie podobało mu się to, co pisałam, bo za dużo seksu. On by wolał, żebym pisała coś w rodzaju „Bożej podszewki". Poza tym jednak moje ekscesy były przyjmowane w rodzinie z nadmiarowym zrozumieniem, bo uważano mnie za artystkę. W moim domu zawsze było dużo wolności. Dopiero teraz to widzę i cenię.

A skąd się wzięła Lida, wuefistka?

Bohaterka też przyszła do mnie razem ze wspomnieniem ojca. Takie były jego koleżanki na AWF, trenerki, które wpadały w klapkach na papierosa. Chciałam opisać taką osobę, która całe życie uczy. Znam takie kobiety. Mama też miała przyjaciółkę nauczycielkę. Bardzo ją lubiłam. Zawsze mówiły głośno. Poza tym interesują mnie osoby, których zwykle nie widać. Z własną branżową aurą.

Lida jest osobą, która działa, a nie gada. Czy dlatego właśnie do niej przychodzą po pomoc?

Ona jest dziewczyną szeryfem. A jednocześnie wioskową Dolly Parton. W dzisiejszym świecie dobro i zło nie jest tam, gdzie się ich spodziewamy. Ten, kto ma władzę i możliwości, niekoniecznie pomaga, a osoba, która chodzi na golasa, pływa i pije, potrafi bronić sprawiedliwości, zamiast gadać o radykalnej trosce. Nie przypadkiem miała się nazywać Temida. To jest też powieść o tym, że być może jest za późno, żeby zadawać ważne pytania i używać pięknych słów. Ważne pytania są rozgotowane. Trzeba działać teraz, nie na pokaz. Szukanie dobra od razu kojarzy się źle literacko, ewangelicznie, dziś to jest zawłaszczone przez dyskurs prawicowo-konserwatywny, ale ja chciałam stworzyć po swojemu bohaterkę pozytywną. Taką, która czyni dobro, a przy tym ani nie cierpi, ani nie płaci ceny za złe zachowanie.

Lida daje sobie radę, idzie dalej wbrew trudnościom, to ją łączy z Werą. Dostaje nawet wsparcie od zmarłych?

„Umarli oddają nam czasem drobne przysługi" – mówi. Czynienie dobra jest dla niej organiczne, jako samozwańcza dziewczyna szeryf jest faktycznie silna jak Wera. Ale Wera z „Ten się śmieje, kto ma zęby" miała nawijkę, kupowała, sprzedawała, ta jest sportsmenką i mówi mniej. Jeździ na motorze szybko, to też nie sprzyja konwersacji. Uważa, że ma dobre życie. I ma rację. Traumę i skrzywdzenie traktuje po sportowemu, jako poprzeczkę do przeskoczenia. Świat jest pełen takich kobiet, a w literaturze ich nie ma. Jedna z moich tłumaczek tak mi właśnie powiedziała: u nas tego nie ma, dlatego chcę to przetłumaczyć. Więc teraz Wera i jej bieda-odyseja chodzi po świecie, ten monolog fryzjerki z Warszawy będzie wydobyty w 16 językach. Właśnie ukazało się argentyńskie wydanie, w lunfardo, żargonie z Buenos Aires, czyli dialekcie, w którym powstało tango. Moja intuicja podpowiada mi takie bohaterki, jak fryzjerka czy nauczycielka wuefu, które zapadają się w biedę, ale pozostają mocne i drapieżne. Tylko o ile Wera była zadaniowa, o tyle Lida nie musi być silna, a i tak sobie poradzi. Gdy zapragnie zabawić ludzi, zrobi występ gimnastyczny. Żyje na luzie. Nonszalancko. Pozwala sobie na życie.

Wraca w tej powieści stypa i pogrzeb. To pani ulubione tematy?

Ja piszę jednak o samotniczkach, a na pogrzebach i stypach to się ludzie spotykają. Spotykają się też na weselach, ale takie bankiety mnie literacko nie pociągają. Może dlatego, że dla mnie sztuka jest ruchem oporu wobec śmierci. Stypa w „Tylko durnie żyją do końca" pokazuje też rozpad wspólnoty rodzinnej: wieżę Babel, gdzie każdy mówi innym językiem. Jeden z uczestników stwierdza, że to jest moment „jouissance w czasach apokalipsy". To pomieszanie języków, dyskursów i jednak różnych zranień, mniej lub bardziej maskowanych w czasie stypy, bardzo mnie interesuje.

A używki?

Występują. To nie jest opowieść o małych przyjemnościach, ale o wielkim sztachnięciu się życiem. Chyba jednak naturalną potrzebą człowieka jest być czasem na haju i o tym też piszę. W przypadku mojej bohaterki wynika to z decyzji, ze świadomego wyboru. Dziś mamy raczej tendencję, żeby się umartwiać. Świat się pożera, ale może dlatego, że w miejsce hedonizmu wchodzi właśnie cała ta filozofia małych przyjemności, która jest w gruncie rzeczy składnikiem ostrej samokontroli, jak niedzielny cukierek w klasztornej szkole o surowym reżimie. I teraz już tylko tak mamy żyć? Od tego wzorowego zachowania chyba nie jest lepiej na świecie.

Tytuł „Tylko durnie żyją do końca" ma w sobie jakiś heroizm. Bo nie rezygnują z życia?

Każdy, kto chce, przeczyta sobie tytuł po swojemu. Powiem tylko, że to zdanie mówi kochanek mojej bohaterki Ziut. Ten tytuł dla mnie mieni się różnymi znaczeniami. Brzmi nachalnie, ale nie jest instruktywny w żaden sposób. Jak się przeczyta całą książkę, staje się bardzo płynny. Nic dziwnego, bo w tej powieści jest dużo wody. Chociaż jako pisarka wody za dużo nie leję, wolę powieści rzeczki, takie na dwieście stron. Myślę, że to idealny rozmiar. Cenię słowa i oszczędnie z nich korzystam. Moi bohaterowie też raczej się nie rozgadują. Jak powiada jeden z nich, „nie mamy sobie nic do powiedzenia i to nas bardzo zbliża". My ich spotykamy po bujnym życiu, nawet „meble są po harakiri". Bo już biologia rozdaje im karty, ale to nadal są fajne chłopaki, nawet w tym swoim „obertasie dezerterów", kiedy najedli się grzybów, które im córka przywiozła z miasta.

Skąd wzięło się to miejsce, dom za wsią przy rzece? I wspólnota ludzko-zwierzęca?

To jest miejsce, w którym sama chciałabym być. Niektóre osoby mówiły mi, że chciałyby być jak Lida. A ja, ponieważ z różnych powodów nie mogłam ruszyć się z miasta, to napisałam sobie takie miejsce. Na to wygląda – jakbym już miała siebie analizować, a tego nie lubię. Wychodzę z założenia, że to, co chciałam powiedzieć, to napisałam. Oczywiście są osoby, które więcej mówią o sobie, niż piszą. Szanuję. Ale to nie jest mój przypadek.

A bimber?

Mam inne przyjemności. I swój hedonizm, całkiem niemały.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl 8a4c75bb48

Ponad gatunkami

Zmarł Stanisław Soyka. Tuż przed zaplanowanym występem w Sopocie, między próbą a koncertem. Muzyka przenikała całe jego życie.

MIROSŁAW PĘCZAK

Pierwszy raz widziałem go na scenie dokładnie 41 lat temu na festiwalu w Jarocinie w roli wokalisty jazz-rockowej kapeli Svora. Skład personalny imponujący: Janusz „Janina" Iwański – gitara, Mateusz Pospieszalski – saksofon, Antoni „Ziut" Gralak – trąbka, Marcin Pospieszalski – bas, Andrzej Ryszka – bębny. Wokal Staszka wydawał się bardzo rockowy, naładowany energią. Trudno było uwierzyć, że ten lekko korpulentny młody człowiek z niedbałym zarostem i kędzierzawą fryzurą jest nowym, arcyważnym odkryciem polskiej sceny jazzowej i zwycięzcą plebiscytu „Jazz Forum" na najlepszego wokalistę. Ba, ma już w dorobku pięć albumów muzycznych, w tym jeden („Blublula") nagrany wspólnie z triem Wojciecha Karolaka i okrzyknięty przez dziennikarzy najlepszym jazzowym albumem 1981 r.

Prywatnie poznałem Staszka we wczesnych latach 90. Parę razy spotkaliśmy się na Saskiej Kępie, gdzie mieszkał obok nieistniejącego już kina Sawa z aktorką i pisarką Grażyną Trelą. Śpiewał o niej „jesteś moją kokainą", co było do znudzenia komentowane przez tabloidy, gdy tymczasem Soykę interesowała ciągle przede wszystkim muzyka, o której potrafił mówić zaskakująco precyzyjnie i konkretnie. Niezmienna wydawała się też jego życzliwość do ludzi, umiejętność słuchania w rozmowie, sposób bycia w sytuacjach towarzyskich.

Choć był powszechnie znany i słusznie uchodził za pierwszoplanową postać sceny muzycznej, nigdy nie miał skłonności do jakiegokolwiek wywyższania się. Przekonałem się o tym choćby na tzw. afterparty po jednym z koncertów T.Love w warszawskiej Stodole. Przysiadłem się do Staszka, a za chwilę dołączył młody człowiek, gorący fan Muńka Staszczyka, początkujący rockowy wokalista. Staszek dopytywał o repertuar zespołu nowo



© FILIP ĆWIK/FORUM

poznanego młodego kolegi, o jego zainteresowania muzyczne, chętnie odpowiadał na pytania. Zapamiętałem, że zapytany o aktualną kondycję polskiego rocka odpowiedział trochę ironicznie, że podziwia zapał Muńka w trzymaniu się rockowych konwencji, ale sam obawiałby się iść zawsze tak ostro.

Na początku nowego milenium zdarzało mu się trafiać na spotkania organizowanego w Staromiejskim Domu Kultury przez Tadeusza Woźniaka i Jolę Woźniak artystyczno-towarzyskiego klubu. I tam potwierdzało się, że dla Staszka Soyki rozmowa potrafi być naturalnym przedłużeniem muzycznego występu. Do dziś pamiętam jego sugestywny wywód o poezji, dla której wehikułem jest muzyka. Pod tym względem bardzo dobrze rozumieli się z Tadeuszem, tak bardzo wrażliwym na słowo w piosence.

Muzyczna biografia Stanisława Soyki to temat na rozległą dysertację. Śląski rodowód z mocnym zakorzenieniem w kulturze chórów i orkiestr górniczych i z ważnym komponentem domowego muzykowania, śpiewanie w chórze kościelnym, a potem gruntowna edukacja muzyczna od podstawówki aż po studia w katowickiej Akademii Muzycznej dawały niemal nieograniczone możliwości w wyborze drogi artystycznej. Mógł zostać skrzypkiem w filharmonii, kompozytorem współczesnej muzyki poważnej, ale tym pierwszym wyborem okazał się jazz. Konkretnie – współpraca z gitarzystą i kompozytorem Jarosławem Śmietaną, wspólne koncerty z zespołem Extra Ball, występ w warszawskim koncercie z cyklu Jazz w Filharmonii, który został uwieczniony na pierwszej płycie Soyki (1979 r.) „Don't You Cry". Jak często powtarzał, z jazzem nigdy się nie rozstał. Koncertował i nagrywał z Michałem Urbaniakiem, Tomaszem Szukalskim, Tomaszem Stańką, skandynawskim swingowym big bandem Rogera Berga, śpiewał standardy Duke'a Ellingtona, ale pod koniec lat 90. nagrał też z freejazzowym trębaczem Andrzejem Przybielskim płytę „Sztuka błądzenia", której styl można by określić jako jazz kontemplacyjny, rodzaj niezwykłej lirycznej muzyki improwizowanej.

Tak samo nieoczywiste były jego związki z piosenką literacką. Śpiewał Leśmiana, Staffa, Miłosza, no i sonety Szekspira. Nie była to jednak żadna sztanca „krainy łagodności", raczej próba uzyskania najlepszego efektu w łączeniu słowa i muzyki. Podobnie rzecz się miała z coverami piosenek Grażyny Łobaszewskiej, Niemena, Marka Grechuty, z muzyką wykonywaną w duecie z Januszem „Yaniną" Iwańskim – za każdym razem można było w tym odkryć mnóstwo nieoczywistości. Nawet te najbardziej znane jego przeboje, jak „Tolerancja", „Cud niepamięci" czy „Play It Again" kryły w sobie coś spoza prostego podziału na gatunki i style.

Zmarł 21 sierpnia podczas Top of The Top Sopot Festival. Nie wrócił już do Opery Leśnej po próbie, w której wziął udział tego samego dnia (zostało nawet nagranie, na którym śpiewa „Cud niepamięci" w duecie z Natalią Grosiak). Wiadomość dotarła do organizatorów już podczas koncertu, a imprezę telewizji TVN przerwano. W wywiadzie, którego Soyka udzielił tej samej stacji ponad dziesięć lat temu, powiedział, że niektórzy, pewnie z powodu pisania przez niego tekstów do utworów muzycznych, nazywają go poetą. Niesłusznie – mówił – bo poezja to coś, czemu poświęca się życie, a on przecież poświęcił życie muzyce. I tak właśnie było w jego przypadku. ■

eprasa.pl 8a4c75bb48



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Andrzej Duda promował swoją autobiografię „To ja" w trzygodzinnym wywiadzie u Żurnalisty. Pamiętam słowa z filmu „Prawo i pięść": „Bez zdolnych ludzi można się obejść. Potrzebni są tylko posłuszni".

●

„Bogu nie można zabrać tego co boskie" – to Tymoteusz Puchacz o odebraniu przez Probierza opaski kapitana Robertowi Lewandowskiemu. Poprzednią boskość zdiagnozował Kaczyński w Obajtku.

●

Paweł Małaszyński świętował ze swoją żoną 23. rocznicę ślubu. Mało tego, para jest razem lat ponad 30. Ciekawe. A za najbardziej pechową liczbę na świecie uważa się 4.

●

„Marcin Miller zrównał z ziemią NFZ. Padły ostre słowa". To ikony dziennikarstwa, czyli Plotek.pl. Marcin po prostu wyznał, że NFZ nie działa i musi się leczyć prywatnie. Ja mam tak samo z Plotkiem.pl.

●

Na antenie TVN Style pojawi się autorski program Doroty Szelągowskiej „Ej, Stara!", poświęcony starzeniu się kobiet. Maria Czubaszek nazywała to inaczej: „rozwojowy okres późnej dojrzałości".

●

Do kin trafi film dokumentalny „Friz&Wersow. Miłość w czasach online". Reżyser to były dyrektor programowy TVP PiS Krystian Kuczkowski. Ale nawet kłamca miewa swoje złe dni, kiedy mówi prawdę.

Program Daniela Nawrockiego zajął w telewizji wPolsce24 miejsce programu Marianny Schreiber. Lubię ludzi kompetentnych. Gdy w Polskiej Agencji Kosmicznej pojawiła się Olga Semeniuk, nie doszło do żadnej katastrofy polskiego statku kosmicznego.

●

Internetowy program Roberta Makłowicza trafi do kanału Stopklatka, prezentującego filmy i seriale. Od września także spaghetti westerny.

●

„Prezenterka »Dzień Dobry TVN« Sandra Hajduk bezlitośnie oceniła błędy językowe Andrzeja Dudy u Żurnalisty". To cytat z Plejady. No proszę. Już nie trzeba być prezydentem, żeby być śmiesznym.



„Moja żona ma mnie przeprosić. Co ja jestem śmieć jakiś? Nara. Albo przeprasza, albo będę ją jechał, dopóki nie weźmie rozwodu". To licznie cytowany w mediach Daniel Martyniuk. Jeśli chodzi o ludzi mądrych, to ja go nie mam na liście.

●

22-letnia raperka Bambi została twarzą kampanii reklamującej legendarne buty Adidas Superstar. Brawo. Ja w jej wieku reklamowałem buty, bo ujawniały się wady fizyczne.

●

Michał Wiśniewski buduje w miejscowości Łoś pod Warszawą willę o powierzchni 570 m kw. Pół domu zaprojektuje wokalista, a pół jego żona. To ładny symbol jego kariery. Nad połową rzeczy nie panował.

●

Robert Patyra w TV Republika zażartował z Agnieszki Kaczorowskiej, porównując jej sercowe podboje do aktywności seryjnego mordercy. Bzdura. Sądząc z aktywności w mediach, jej pierwsza ofiara przeżyła.

●

TVP podała ceny reklam na wrzesień. Najdroższe są przy meczu Polaków z Holendrami. Z oglądaniem naszej kadry jest jak z cytatem z filmu „Chinatown": Boli pana? Tylko wtedy, kiedy oddycham.

●

Rafał Zawierucha wraz z żoną opuszczają na stałe Polskę i zamieszkają w Los Angeles. To wielka strata dla polskiego kina. Nikt tak jak on nie potrafi wybierać najgorszych ról.

●

Liderką rankingu „100 najcenniejszych kobiecych marek osobistych" została Katarzyna Cichopek, wyprzedzając m.in. Olgę Tokarczuk. Jestem za. Najważniejszą z ludzkich swobód jest swoboda śmiechu.

Gosia Andrzejewicz zadebiutuje w telewizji Puls 2, gdzie poprowadzi program poranny „A kto to mówi?" wraz ze swoją kurą Pierzynką. Jeśli duet się nie sprawdzi, znajdą kogoś innego na miejsce Gosi.

© ALIKSANDR VALODZIN/EAST NEWS

eprasa.pl 8a4c75bb48



Etniczne czyściochy

Nie twierdzę, że w ogóle nie należy się myć. Zarówno ciało, jak i duszę warto sobie przeczyścić raz na jakiś czas – dla higieny i komfortu. W tym duchu Witkacy napisał krytyczno-naprawczy traktat o polskim niechlujstwie „Niemyte dusze", w którym postulował powszechną psychoanalizę Polaków. Bez skutku. Szkoda oczywiście, żeśmy się nie wyczyścili, chociaż obsesja na punkcie czystości również nie jest zdrowa. Nie jest prawdą, że im doskonalsza czystość, tym zdrowie większe. Czyścioszki pucujące się na okrągło wcale nie podnoszą swojej odporności na atak drobnoustrojów, tylko ją obniżają. Podobnie jak skrupulanci, którzy tropią w sobie niedoskonałości i uchybienia – w ramach zabiegów o życie wieczne, maksymalizację dobrostanu czy najbardziej wegański weganizm w całej galaktyce – aż do kompletnego samoopętania. Na tej zasadzie skóra głowy traktowana dzień w dzień pachnącym detergentem szybko rozkręca start-up z produkcją łoju na taką skalę, że trzeba by się myć nieustannie, żeby w tej mało wyjściowej substancji nie utonąć.

Dlatego David Leffell, ordynator chirurgii dermatologicznej w Yale School of Medicine, uważa, że kąpiel czy prysznic wystarczy brać dwa razy w tygodniu, i nie jest w tej opinii odosobniony. W świetle współczesnej nauki synonimem zdrowia wcale nie jest czystość doskonała, tylko właśnie stan lekkiego zanieczyszczenia. Czyli pomieszanie tego, co nasze, z tym, co żyje razem z nami, choć wyjściowo nasze nie było. Symbioza. Nienaturalne i niezdrowe jest natomiast dążenie do bezwzględnej czystości, zawsze będące objawem jakowychś psychicznych powikłań – na przykład nieczystego sumienia. Tak było w przypadku Lady Makbet szorującej bez przerwy ręce po zabójstwie króla Dunkana. Szekspir zdiagnozował ją długo przedtem, zanim Freud opisał nerwicę natręctw na gruncie psychoanalizy.

> Synonimem zdrowia jest stan lekkiego zanieczyszczenia. To, co nasze, żyje z tym, co wyjściowo nasze nie było.

Renesans przeżywa u nas ostatnio koncept czystości etnicznej. Niby odległy od idei higieny, a jednak jego mechanizm okazuje się identyczny. Jedyną różnicą jest właściwie to, że za hołdowanie czystości etnicznej nie płaci hołdujący, lecz jego ofiary. To one zapłacą za wezwania, by funkcje we władzach mogły pełnić wyłącznie jednostki „czysto polskie"; za aluzje do żydowskiego pochodzenia żon adwersarzy, na które pozwalają sobie pierwszoplanowi politycy; za sondażowe sukcesy złotoustych monarchistów głoszących nienawiść do Żydów, Niemców i Ukraińców. To, co kiedyś było drastycznym przekroczeniem, dzisiaj jest normalizowane w ekspresowym tempie. Trzeba się posunąć aż do negowania komór gazowych, żeby wylecieć ze studia konserwatywnej stacji radiowej. Wszystko inne już uchodzi: rasizm, seksizm, homofobia. Chyba nigdy nie przestanę się dziwić, jak szybko zbiorowości ludzkie potrafią głupieć, podczas gdy zbiorowe nabieranie rozumu jest trwającą wieki orką na ugorze.

W tym sezonie modna jest turystyka ostatniej szansy, np. oglądanie topniejących lodowców. Przypadkiem wpisałam się w ten trend – wybrałam się niedawno na zwiedzanie łotewskiej Łatgalii, dopóki nie najechała jej Rosja. Kraina ta – dawne Inflanty Polskie – jest wybitnie nieczysta etnicznie: od wieków mieszają się w niej Litwini, Łotysze, Białorusini, Polacy, Żydzi, Niemcy i Rosjanie. Wywodzący się stamtąd ludzie są zanieczyszczeni w stopniu, który ośmiesza wszelkie rojenia o czystości. Ich „brudnych" genów – analogicznie do brudnych pieniędzy – nie wypierze żadna chemia z Niemiec. Spod częściowego Polaka zawsze wyjrzy częściowy Żyd, Łotysz lub Rosjanin. Oczywiście etniczne czyściochy mają i na to odpowiedź – jest nią czystka etniczna. No to przetestujmy ten pomysł.

W jednym z muzeów krajoznawczych w Regionie Górnej Dźwiny (Augšdaugavas novads) znalazłam listę komturów zamku Dünaburg, który dał początek miastu znanemu z historii jako Dyneburg lub Dźwińsk, a dziś noszącemu łotewską nazwę Daugavpils. Wszyscy oni byli członkami zakonu kawalerów mieczowych, który jako pierwszy skolonizował te ziemie. Moją uwagę zwróciło zwłaszcza jedno nazwisko: Heinrich Plater. Z „tych" Platerów – niemieckiego rodu, który później dobrowolnie spolszczy się kulturowo i wyda m.in. Emilię Plater. Bez Platerów nie byłoby ani Inflant Polskich, ani powstania styczniowego na północno-wschodnich „kresach", ani w ogóle potężnej części polskiej kultury materialnej i duchowej. Gdybyśmy amputowali sobie Platerów tylko dlatego, że etnicznie byli Niemcami, byłby to z naszej strony akt samozniszczenia.

Przykłady można mnożyć, nie tylko w wysokich rejestrach. Także w tych bliższych skóry i stołu. Gdyby moja polska babcia była etniczną czyścioszką na dzisiejszą modłę, nigdy nie spróbowałabym karpia po żydowsku, którego przyrządzała na wigilię według przepisu przedwojennej sąsiadki z Falenicy. Ten żydowski karp do dzisiaj pozostaje dla mnie ulubionym smakiem polskiej wigilii. Zawsze już przełamanym pamięcią o losie tej, która podzieliła się przepisem, zanim zginęła z rąk etnicznych czyściochów z trupimi czaszkami na czapkach.

RENATA LIS

eprasa.pl 8a4c75bb48

FELIETON

Koziołek



Po co im to?

Dlaczego nasze dzieci nie lubią szkoły bardziej niż inne? – zapytała sąsiadka w trybie oskarżycielskim.

– Środek lata, a pani o szkole – odezwał się we mnie uczniowski lęk przed wrześniem, którego cień mącił każde wakacje.

– Albo się boją, albo się nudzą – udzieliła sobie odpowiedzi.

– Chyba za dużo ich oceniamy, a za mało pokazujemy, co ciekawego z wiedzą można robić w szkole i poza nią – przyjąłem cios.

– A może oni czują, że sami nie wiecie, czego ich uczyć, więc tylko robicie kolejne egzaminy – posłała kończącą piłkę.

Czytam, że ministerstwo rozważa wycofanie się z wycofania zadań domowych. A wcześniej o polonistce, której nie wyszły lekcje z „Dziadów", co prowadzi ją do konkluzji, że utwór Mickiewicza jest w szkole niepotrzebny. Strach pomyśleć, co będzie, jak polegnie na Gombrowiczu lub Szymborskiej. Bo nie ma nauczyciela, który choć raz nie położyłby lekcji nawet z najbliższego uczniom utworu, a cóż dopiero z XIX-wiecznego arcydzieła. Mógłbym mnożyć przykłady własnych porażek. Jedną z najdotkliwszych było wprowadzenie do filmu. Na sali kinowej ponad dwustu chłopaków z technikum kolejowego. Temat: „Miłość romantyczna w »Wichrowych Wzgórzach«". Myślicie, że jak było? A jednak nie uznałem, że powieść Brontë to ramota, tylko że ja byłem słaby.

> Nie spieszmy się z porzucaniem tradycyjnej edukacji, której fundamentem jest przekazywanie i weryfikacja wiedzy.

Trudno się dziwić, że widząc niepewność ministerstwa i nauczycieli, tak wielu czuje się upoważnionych do reformowania szkoły. Głosy ekspertów zlewają się z głosami dyletantów w jedną zgiełkliwą krytykę polskiej szkoły. Kwitnie rynek korepetycji, uczniowie mniej odporni na system wybierają Szkołę w Chmurze albo Edukację Domową. A sztuczna inteligencja to trzeci, obok nauczyciela i ucznia, uczestnik edukacji, który zmusza nas do nowej odpowiedzi na najbardziej irytujące, ale przez to najważniejsze uczniowskie pytanie: „Po co mi to?". Z przekonującą odpowiedzią będzie coraz trudniej. Chyba że wystarczy tępa: „Bo to będzie na egzaminie". A do takiej zachęca ministerstwo, podając w trakcie wakacji termin egzaminu ósmoklasisty.

Po co ten egzamin, jeśli telefon pozwala uczniowi wygenerować satysfakcjonujące nauczyciela rozwiązanie każdego problemu z każdej podstawy programowej każdego przedmiotu? Dopóki nie znajdziemy lepszej motywacji do nauki niż egzamin, nie spieszmy się z porzucaniem tradycyjnej edukacji, której fundamentem jest przekazywanie i weryfikacja wiedzy. Zakuwanie słówek z francuskiego wcale nie stoi w sprzeczności z używaniem translatora tłumaczącego w locie. W najnowszej kulturze informacji obserwujemy zadziwiające spotkanie dawnego z ultranowoczesnym. Najbardziej tradycyjne medium kultury – mowa – święci dziś triumfy w postaci podkastów i wszelkich form audio, co nie przeszkadza nam czytać na ekranie i na papierze. Najnowsza technologia nie wypiera starej, ale robi jej miejsce.

Jeśli chodzi o przemiany wiedzy i technologii, to wojny niestety zwykle zapowiadały, co nadejdzie podczas pokoju. Na wojnie w Ukrainie pojawiły się okopy i armaty, ale razem z nimi zabijają autonomiczne maszyny, które jeszcze niedawno straszyły tylko w „Terminatorze". Dla edukacji wynika stąd wniosek, że stare i nowe umiejętności będą nam na równi potrzebne do obsługi nowego świata.

Skoro miarą naszej nowoczesności jest rozwój AI, to przecież nie byłoby jej, gdyby nie „duże modele językowe", których wzorem są ludzkie kompetencje używania i rozwijania mowy ujęte w algorytmy programowania. Zadaniem szkoły jest trenować inteligencję uczniowską poprzez naukę rozumnego mówienia i poprawnego liczenia. A trzecim szkolnym przedmiotem kluczowym powinno być eksperymentowanie, zwłaszcza z wiedzą ścisłą i przyrodniczą. Nic w tym nowego, jasne. Sam sobie to przypominam, żeby nie ulegać reformistycznej histerii, bo na tych fundamentach szkoła może stać jeszcze bardzo długo. Potrzeba tylko atmosfery, w której uczniowie poczują radość poznawania. Taka motywacja nie jest dostępna maszynie. Niestety żadna reforma tego nie zapewni, a jedynie dobry nauczyciel. Nie da się go wykształcić ani nawet wymyślić. Ci najlepsi są bezcennymi dziwami ludzkiej natury.

W moim technikum uczył ekscentryczny matematyk, przerażający, ale uwielbiany. Dziś zostałby wyrzucony z każdej szkoły. Opowieści o nim stawały się miejskimi legendami. Czterostopniowy system ocen wzbogacił o dwie najniższe: bezmózgowiec i leń. Obie wpisywał do dziennika. Zdarzało mu się przyjść na klasówkę z drabiną i lornetką, aby obserwować ściągających. Wołając ucznia do rozwiązania zadania wyświetlanego na rzutniku, mówił: „Chodź tu, chłopcze, na żer krwiożerczej maszyny". Groza i wesołość udzielały się wszystkim, kiedy ogłaszał: „Dziś rozstawiam gęste sieci na bezmózgowców". Gdyby mógł je zarzucić na wszystkich, którzy mądrzą się na temat szkoły tylko dlatego, że kiedyś do niej chodzili...

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 8a4c75bb48



Legitymacje i legitki

Na „legitkę” można było kiedyś wypożyczyć kajak albo zaczep do wyciągu linowego. Legitymacja szkolna stwierdzała, kim jesteś i jaki jest twój status. Dzieciak, ale przynajmniej wiadomo czyj. Bo też legitymacją nazywamy dokument poświadczający tożsamość i uprawnienia. I to ciekawe, bo akurat w języku polityki „legitymacja” nic nie mówi o tożsamości, a jedynie o prawie do sprawowania władzy przez dany rząd. Gdy jest demokratyczna, to nazywamy ją mandatem, lecz najczęściej demokratyczna nie jest. Albo jest demokratyczna nieformalnie, gdyż rząd ma wprawdzie bardzo szerokie poparcie w społeczeństwie, lecz nie zostało ono zweryfikowane w wolnych wyborach. Tak bywa, bo władzę zwykle obchodzi jedynie to, czy ma wystarczające poparcie, aby się utrzymać. Czy akurat musi to być poparcie większości? To zwykle nie ma praktycznego znaczenia. Bo silna, zwarta i zdeterminowana mniejszość znaczy więcej niż bierna większość, choćby była to większość, która akurat danego dnia w danych okolicznościach dokonała takiego, a nie innego wyboru. Jak mówi klasyk, do wyborów przystępuje „przypadkowe społeczeństwo”. Władza ma powody nie lubić demokracji i jeśli już ona jest, to woli mieć ją pod kontrolą. W końcu demokratyczne wybory najczęściej są dość efemeryczne i rapsodyczne. Jakiż to ma sens tracić władzę z powodu chwilowego „wahnięcia nastrojów”?

Rządzenie jest nudne i nie dostarcza wielu przyjemności. Od władzy realnej atrakcyjniejsza jest władza symboliczna.

Problem legitymacji władzy ma w teorii polityki znaczenie kluczowe. Chodzi o dwie kwestie egzystencjalne. Pierwsza to pochodzenie władzy i jej ciągłość. Zwykle bowiem rząd szuka dla siebie uzasadnienia we własnej genezie – to, co wyniosło cię do władzy, wciąż podtrzymuje twoje prawo do jej posiadania. Druga kwestia dotyczy zaś groźby utraty władzy – skoro rząd nie ma silnej i potwierdzonej legitymacji, to powinien go zastąpić jakiś inny, bardziej legitymizowany. Dlatego teoria legitymacji władzy zajmuje się jej stosunkiem do czasu, to znaczy jej przeszłością i przyszłością. Rządzenie jest nudne i nie dostarcza wielu przyjemności. Od władzy realnej, sprawowanej w teraźniejszości, atrakcyjniejsza jest władza symboliczna, wychodząca poza porządek czasu. Legitymacja utwierdza zaś rząd właśnie na poziomie symbolicznym.

Etymologicznie „legitymacja” to uprawomocnienie, uzgodnienie z prawem (*lex*). Gdy ktoś rządzi, to można zapytać: „Jakim prawem?”. I najczęściej jakieś prawo się znajdzie, ale nie do końca i nie zawsze. Władza jest kwestią faktów i od biedy obywa się bez legitymacji. Jedyne, bez czego nawet na krótką metę nie może się obyć, to siła, czyli zdolność do ukarania każdego, kto chciałby się jej przeciwstawić albo próbował ją obalić. I tak to już w polityce jest, że porządek faktów czy realiów („na władzę nie poradzę”) przeplata się z porządkiem mitów, marzeń i symboli. Władza „naga”, oparta jedynie na sile, nie cieszy i najczęściej też nie trwa długo.

A jednak w sile jest coś fascynującego. Budzi taki respekt i podziw, że sama w sobie czasami służy za legitymację. Wszelako lepiej jest ją połączyć z bohaterskim mitem, np. z opowieścią o chwalebnej rewolucji, która obaliła tyranię. Nikt przecież nie mówi: „Rządzimy, bo nie ma od nas silniejszych, którzy mogliby nas od rządzenia odsunąć”. Dlatego siła najczęściej wymaga uzupełnienia. Może nim być genealogia mitologiczna, w rodzaju jakiejś niekończącej się nigdy rewolucji, lecz najlepiej po prostu przyjąć berło od samego Boga za pośrednictwem jego kapłanów. Któż by śmiał zamachnąć się na władzę pochodzącą od samego Stwórcy?

Na tle pięknych i porywających opowieści o starożytnych podbojach, o wielkich rewolucjach, chwalebnych powrotach zaginionych carewiczów i innych przejawach niewątpliwej i cudami zwiastowanej woli bożej nowoczesne legitymacje wyglądają jak różowy kartonik ze zdjęciem chudego chłopczyny. Pierwsza z nich opiera się na wynalazku narodu. Naród to społeczność etniczna pragnąca mieć własne terytorium, na którym rządzi suwerennie. Kto stworzy państwo narodowe, ten niejako z definicji ma prawo rządzić w nim w imieniu narodu. Nacjonalizm doskonale konweniuje z dyktaturą, ale taką, w której od czasu do czasu odbywa się plebiscyt, podczas którego naród ma okazję i zaszczyt okazać miłość i poparcie swojemu przywódcy. Marne to, ale działa. Zwłaszcza gdy znajdzie się upierścieniony kapłan, który na legitymacji nacjonalistycznej odciśnie pieczęć bożej aprobaty.

W naszych czasach legitymacja władzy jest jeszcze mizerniejsza. Kto „konserwatysta”, ten może jeszcze i z nacjonalizmu co wyciśnie, i kapłana hojnym darem sobie zjedna, lecz działa to tylko przez chwilę i bez przekonania. Po defiladzie idą ludziska do domu i zajęci swoimi sprawami zapominają, że są „wielkim i dumnym narodem”. Najgorzej ma jednakże demokrata. On chce tę swoją legitkę od ludzi wyrwać, opowiadając głodne kawałki o jakichś reformach i innych tam „politykach”. Ani on silny, ani piękny, ani ma Boga za sobą. No pętak po prostu. To nie może działać. A jednak czasami działa. I to jest istny cud.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 8a4c75bb48



Kto może, niech przybywa

Zainicjowane przez Donalda Trumpa negocjacje w sprawie zakończenia agresji Rosji na Ukrainę przykuwają uwagę świata. W sprawie zakończenia agresji rządu Tuska na Trybunał Konstytucyjny żadne negocjacje się nie toczą, co skłoniło prezesa Święczkowskiego do przekazania władzom amerykańskim obszernego 100-stronicowego raportu na temat dramatycznej sytuacji placówki, którą kieruje.

Święczkowski informuje Amerykanów o egzystencjalnym zagrożeniu, w obliczu którego stoi TK w związku „z bezprecedensowymi atakami ze strony polityków większości parlamentarnej oraz rządu", mającymi podważyć niezależność sądownictwa w Polsce. Nie jest tajemnicą, że międzynarodowym ośrodkom, takim jak TSUE czy Komisja Europejska, silny TK z silnym Święczkowskim na czele jest nie na rękę, więc robią wszystko, żeby go osłabić. Dlatego Święczkowski przypomina Amerykanom, że ataki rządu i UE „nie mogą pozostać niezauważone".

Nie jest jasne, czego Święczkowski od Stanów Zjednoczonych oczekuje; miejmy nadzieję, że nie chodzi mu o siłowe przywrócenie przez Waszyngton niezależności sądownictwa w Polsce. Tak czy inaczej, piłka jest po stronie USA, które muszą zdecydować, czy chcą w milczeniu przyglądać się rzezi niezależnego sądownictwa dokonywanej na oczach świata przez rząd Tuska, czy podejmą w końcu jakąś interwencję.

O tym, że Tusk nie zamierza rzezi zaprzestać, świadczy niedawny atak na siedzibę neo-KRS w wykonaniu przedstawiciela Ministerstwa Sprawiedliwości, który domagał się kluczy do pokojów byłych rzeczników dyscyplinarnych. „Uwaga, bandyci wtargnęli do KRS. Kto może, niech przybywa na miejsce!" – wezwał jak zawsze czujny Robert Bąkiewicz, który ma wprawdzie sądowy zakaz zbliżania się do przejść granicznych, ale na razie nie ma zakazu zbliżania się do innych miejsc.

Bąkiewicz jest oskarżony o znieważanie funkcjonariuszy Straży Granicznej, którym zarzucił zdradę i obrażał ich pytaniami, czy w ogóle mają honor i ile go mają. Nie mam pojęcia, ile honoru powinni mieć funkcjonariusze na służbie, ale moim zdaniem najlepiej, żeby mieli mniej niż Bąkiewicz. Jego przypadek pokazuje, że za wysoki poziomu honoru w organizmie prowadzi do agresji, zaburzeń w postrzeganiu rzeczywistości i częściowej lub całkowitej utraty rozumu.

Czytam, że tym razem siedzibę neo-KRS udało się obronić, a wysłany przez ministra Żurka napastnik musiał się wycofać. Ale kto wie, czy wykorzystując obojętność Stanów Zjednoczonych i zmęczenie będącego od miesięcy w stanie wojny z Niemcami Bąkiewicza, nie wróci i znowu nie zażąda kluczy?

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quadra Leipa

eprasa.pl 8a4c75bb48

POLITYKA: pismo na urodziny, tygodnik na pokolenia

POLITYKA może być znakomitym prezentem na urodziny! Jak w przypadku pana Dominika Romualda Kamińskiego, naszego wiernego Czytelnika, który nawyk cotygodniowej lektury naszego tygodnika odziedziczył po swoim tacie. A ten z naszym pismem zapoznawał go dosłownie od kołyski. Co więcej, w numerze POLITYKI, który towarzyszył narodzinom pana Dominika, ukazał się tekst prof. Jerzego Kleera, późniejszego promotora Jubilata.

Bo POLITYKA – jak to już niejednokrotnie Państwo nam pokazywali – towarzyszy ważnym, a nawet najważniejszym wydarzeniom w życiu swoich Czytelników. I tak już od kilku pokoleń.

Panu Dominikowi życzymy nie tylko zdrowia i wszelkiej pomyślności, ale też wielu lat satysfakcjonującej lektury naszego tygodnika!

REDAKCJA



Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

35 lat temu, dokładnie w nr. 35 z 1990 r., w artykule „Prawda nieco ulepszona” Mariusz Janicki opisywał, jak wraz z nastaniem III RP zmieniała się polska szkoła.

„Zmiany w programach szkolnych i lekturowych kanonach przez wiele lat wprowadzały młodzież w tajemniczy świat dorosłych. Dyskretne przesunięcia akcentów, roszady w nazwiskach i tytułach, odmienny ton komentarza – były to odległe ślady toczącej się nieustannie gry politycznej (...). Zasadniczym przełomem w szkolnictwie był rok ubiegły. Na przywitanie, po wakacjach, dano nauczycielom wolną rękę. Zniknęły nakazy i zakazy, a co ważniejsze – zniknął strach, tak łatwo ogarniający grona pedagogiczne. Podręczniki straciły swój obowiązkowy charakter, nowych programów nie opracowano, a stare stosowano jedynie do ogólnego rozplanowania materiału. Na lekcjach można było powiedzieć wszystko (...). Było tyle programów, ilu nauczycieli. (...)

Jeśli chodzi o zmiany tegoroczne, które mają obowiązywać od 1 września, to w wielu przypadkach ograniczono się do metody gumy i ołówka; wymazano pewne fragmenty i nazwiska, a dopisano nowe. Ogólne koncepcje metodyczne pozostały te same, bo lepszych na razie nie ma. (...) Istotne zmiany dotyczą historii naszego stulecia, która jest tematem trudnym i niewdzięcznym. (...) »Rządy autorytarne« J. Piłsudskiego stały się po prostu »rządami J. Piłsudskiego«, ale tylko w szkołach podstawowych, gdyż w liceach Piłsudski nadal rządzi »autorytarnie«. Przebieg II wojny światowej nie budzi wielkich emocji, poza tym, że Armia Czerwona, która wcześniej »wkraczała« do Polski, obecnie na nią »uderzyła«, ale to w liceum, w szkołach podstawowych nadal »wkracza«. (...) W okresie powojennym zachowuje się elegancką nazwę »kraje demokracji ludowej«, ale też docenia wpływ Stanów Zjednoczonych na utrzymanie pokoju światowego. (...)

Autorzy nowego programu nie sądzą, aby pierwsza pięciolatka w PRL dała »pomyślne wyniki«. (...) »Stopniową normalizację życia politycznego po roku 1983« zastąpiono ostrożniejszymi »próbami opanowania kryzysu«. Zlikwidowano »Politykę zagraniczną Polski Ludowej«, wychodząc tym samym z założenia, że jej nie było. (...)

Uczniowie szkół podstawowych od najbliższego roku szkolnego będą musieli zrezygnować z obowiązku poznawania twórczości J. Przymanowskiego (...) oraz W. Wasilewskiej. Nieznane dla nich pozostaną przygody pioniera Timura i jego drużyny. (...) Pojawia się natomiast słynny »Władca pierścieni« Tolkiena. (...) Poważniej będzie w liceach. (...) W tekstach filozoficznych wyraźne odświeżenie: Jan Paweł II, L. Kołakowski, T. Tischner, a na deser »Zniewolony umysł« Miłosza. Do programu wkracza Orwell, ale tego zwłaszcza autora uczniowie sami czytają już od dawna. (...)

Nie przewiduje się natomiast lektur w przedmiocie »wiedza o społeczeństwie«, może z wyjątkiem Konstytucji. (...) Wielu uczniów zapewne zdziwi się, że ten przedmiot pozostał. Okazuje się, że podstawowe wiadomości o państwie są przydatne w każdym systemie. Dokonano jednakże daleko idących korekt. (...) Klasę społeczną zastąpiła grupa społeczna, »mała« czyli np. rodzina i »duża«, czyli partia. (...) Ważniejsza od partii jest, zdaniem autorów programów – wspólnota narodowa. Źródłem władzy jest »wolne społeczeństwo«. W tym programie widać chyba najbardziej chęć odideologizowania treści nauczania, skutek jest różny. Bywa, że w miejsce ideologii wchodzi szlachetna naiwność. (...)

Programy szkolne muszą się zmieniać, bo rzeczywistość nie stoi w miejscu. Chodzi jednak o to, aby najważniejsze treści nauczania nie zależały od aktualnego składu rządu czy parlamentu, gdyż ludzie wychowani na tych treściach będą żyć w czasach, w których o tym rządzie i parlamencie pozostanie tylko mgliste wspomnienie”.

eprasa.pl 8a4c75bb48



TREND

Pieskie życie

Rozpieszczanie pupili jest coraz bardziej trendy, ale z luksusem trzeba uważać.

Hipotetyczni Aleks i Oliwia to szczęśliwi opiekunowie hipotetycznego szpica miniaturowego. Właśnie wybierają się na egzotyczne wakacje. Stroją psa w elegancki kubraczek z kapturem od Prady i perfumują bezalkoholową mgiełką z nutami ylang-ylang, piżma i drzewa sandałowego, znaną jako Fefé, czyli psie perfumy od Dolce & Gabbana. O obu dowiedzieli się z „Dogue'a", psiego odpowiednika magazynu „Vogue". Po drodze wstępują do kawiarni, zamawiają cappuccino dla siebie oraz pappuccino dla szpica. Czyli porcję bitej śmietany, tylko chwytliwie nazwanej.

Pies nie spędzi lotu do Japonii ani w torbie, ani w transporterze, ani tym bardziej w luku bagażowym, ale wdrepcze w swoich minicrocsach na pokład BARK Air, pierwszej na świecie VIP-owskiej linii dla czworonogów. Załoga poczęstuje go w podróży barkaccino, czyli porcją bitej śmietany, tylko nazwanej inaczej niż pappuccino. Aleks, Oliwia i pupil zatrzymają się w eleganckim hotelu The Hiramatzu Karuizawa Mioyta, a konkretnie w Dog Villa, wyposażonej w wybieg, psie łóżko i brodzik do mycia łap. Skorzystają z cateringu z Dog Deli Factory i przysmaków od hotelowego cukiernika.



Dawid Iwaniec – z wykształcenia archeolog, z wyboru dziennikarz, w swoich tekstach łączy te dziedziny, dokopując się do interesujących historii. Autor książki reporterskiej „Ogień wyszedł z lasu" o największym pożarze w Polsce z 1992 r. Zakochany po uszy w Nowym Jorku.

Oprócz tego, że operujący od Los Angeles po Dubaj BARK Air nie lata (jeszcze) do Japonii, każdy inny element tej historii wydarza się codziennie i na coraz większą skalę – to już jeden z największych trendów tego roku. W raporcie „The Future 100: 2025", przygotowanym przez globalną agencję reklamową VML, zjawisko to zyskało miano „Elite Pets", co można z grubsza przetłumaczyć jako rozpieszczanie i fundowanie pupilowi luksusowego stylu życia. W założeniu nie ma w tym nic złego: jest popyt, jest podaż, więc jeśli cię stać, to folgujesz potrzebom pupila. Tylko czy na pewno są to jego potrzeby?

Sonia Maciuszek, psia behawiorystka, założycielka firmy Psi Ekspert, twierdzi, że są luksusy dobre i złe: – *Wiemy, że właściciele coraz częściej podróżują ze swoimi pupilami. Wiemy też, że podróż jest dla większości z nich ogromnym wyzwaniem, zwłaszcza lotnicza, spędzona w klatce. Dla wielu z nich to rejs dosłownie zabójczy. Dlatego wszystko, co sprawi, że wyprawa będzie mniej stresująca, a nawet komfortowa, to plus. VIP-owski czarter dla psów? Czemu nie!*

O dobrostan zwierząt dbają też nowe technologie. Raport wymienia choćby biometryczny tracker dla zwierząt, stworzony przez francuską firmę Invoxia, który wykrywa potencjalne problemy zdrowotne, oraz inteligentne rozwiązanie do karmienia, które „zarządza wagą psa za pomocą zindywidualizowanej, kalorycznie kontrolowanej diety", opracowane przez australijską firmę Ilume. To też jest przejaw troski o długie i szczęśliwe życie czworonogów.

Dizajnerskie ubranka czy perfumy to odrębna kategoria. – *Psy „łykną wszystko": wdzianka, perfumy, fryzury. Będzie im niewygodnie, a co gorsza, przez inne psy mogą być postrzegane jako dziwoląg czy wręcz zagrożenie, ale będą to wszystko nosić, bo co mają zrobić?* – ubolewa Sonia Maciuszek. – *Będą też oczywiście wysyłać opiekunom sygnały, przede wszystkim rozemocjonowaniem, ale problem polega na tym, że część ludzi nie rozumie lub nie jest zainteresowana rozumieniem perspektywy psa, za to doskonale rozumie perspektywę Instagrama, na którym ich zwierzaki mają się świetnie prezentować.*

A co z pappuccino vel barkaccino? – *Wszystko zależy od psa. Są takie, które uwielbiają chodzić do kawiarni, inne będą się stresować* – tłumaczy behawiorystka, podkreślając jednocześnie, że w pappuccino wcale nie chodzi o bitą śmietanę, ale o kontakt z właścicielem. – *Z moich czterech psów tylko jeden chętnie by się wybrał ze mną do kawiarni. Wskoczyłby mi na kolana i czerpał przyjemność z tego, że ma chwilę spokoju tylko ze mną. Bo jeśli chodzi o przysmak, to równie wielką, a może i większą przyjemność sprawiłoby mu wypicie najzwyklejszej wody z miski. A najlepiej po drodze z kałuży.*

Wszystko sprowadza się do zrozumienia potrzeb pupila. Może się okazać, że zamiast zabrać do kawiarni psa wystrojonego w crocsy, lepiej kupić kalosze dla siebie i pójść z nim na spacer po lesie. ■

© CHRISTIAN VIERIG/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE, JET2, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 8a4c75bb48

WIRAL

Nic nie przebije hitu lata



O ile poprzednie lato płynęło w takt hitu „Espresso" Sabriny Carpenter, o tyle w 2025 r. wskazanie muzycznego podkładu wakacji jest nieco trudniejsze. Być może największym przebojem nie jest nawet piosenka, lecz reklamowy dżingiel brytyjskich wczasów all inclusive. Można wykonać prosty test, czy osoba spędza zbyt dużo czasu na TikToku. Wystarczy zanucić refren piosenki „Hold My Hand" Jess Glynne i usłyszeć w odpowiedzi: „Nothing beats a Jet2holidays" („Nic nie przebije platformy Jet2holidays – a teraz możesz zaoszczędzić 50 funtów na osobie! To aż 200 funtów mniej dla czteroosobowej rodziny!", reklamowy slogan jest jednocześnie powtórką z matematyki). W ten sposób na tiktokowiczów polowali organizatorzy sondy ulicznej.

To typowy dla TikToka przykład ponadczasowości kultury nieustannego remiksu. Reklama z 2024 r. używająca przeboju z roku 2015 staje się hitem lata 2025; rozentuzjazmowana lektorka zachwalająca okazję stała się podkładem dla filmików o przeróżnej treści – od wakacyjnych wypadów po chwalenie się swoimi obrazkami czy cosplayami, tańce interpretacyjne, animacje, parodie i zwykłe wygłupy. Z popularności reklamy ucieszyła się oczywiście platforma Jet2, ale pod dźwięk podpięli się także inni, np. bardzo obyty w trendach polski oddział supermarketu Kaufland. Powstała też polska wersja dźwięku, parodiująca prymitywne tłumaczenie maszynowe z dawnych czasów („odrzutowiec dwa wakacje!").

Przełożyło się to wszystko na popularność samej piosenki. Jess Glynne nagle zaczęła dostawać zaproszenia na festiwale muzyczne (krąży nagranie spod sceny, na którym w trakcie refrenu „Hold My Hand" tiktokerki zaczynają skandować slogan). Glynne i Zoe Lister, lektorka z reklamy, w radiowym wywiadzie wyraziły zadowolenie, że trend przyniósł ludziom tyle radości i pozytywnych wibracji.

Nie obyło się bez smrodu – amerykański Biały Dom zamieścił na platformie X obrzydliwe nagranie, na którym piosenka służy jako podkład do wideo z masowych deportacji. Cóż, nie ma wakacji od polityki.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Skibidi z solą



Wspominane tu parokrotnie słowo „skibidi" weszło właśnie do oficjalnego angielskiego słownika. A ponieważ pisaliśmy o nim jako niedefiniowalnym, wypada dziś zajrzeć do tej definicji. Brzmi ona: „słowo, które może mieć różne znaczenia, takie jak »fajny« albo »zły«, można też je wykorzystywać jako pozbawiony sensu żart". Trzeba przyznać, że językoznawcy z Cambridge Dictionary nie pomogli tu szczególnie w rozwiązywaniu językowych dylematów, ale poszli z duchem nowego języka, który opisywaliśmy (POLITYKA 50/24) jako pełen takich unikających jednoznaczności słów. Przy okazji za to dowiedzieliśmy się ostatecznie, że skibidi to przymiotnik. Jako przymiotnik angielscy językoznawcy sklasyfikowali też znane czytelnikom tej rubryki słowo „delulu": „wierzący w rzeczy, które nie istnieją, zazwyczaj z własnego wyboru". Z kolei „rizz" (rzeczownik, również opisywany w tej rubryce) to według językoznawców „umiejętność przyciągania uwagi i sprawiania, że ludzie uważają nas za atrakcyjnych, często na sposób romantyczny lub seksualny". „Delulu skibidi rizz" oznaczałoby więc urojoną niesamowitą charyzmę.

Wraz z tymi trzema neologizmami do słownika University of Cambridge trafił też cały pakiet innych nowości, w tym przymiotnik „salty". Z definicją mówiącą o kimś przesadnie się denerwującym, zirytowanym, zazdrosnym lub po prostu spiętym. To słuszny trop, bo rzecz pochodzi ze świata gier wideo, gdzie od lat oznacza osobę źle znoszącą porażkę i użalającą się nad sobą z tego powodu. Dosłownie po angielsku oznacza tyle co słony. A ta sól to w końcu właśnie składnik łez. Do Polski przeniosło się to już jako wyrzut: „Oliwia, ale nie bądź słona na mnie" (w tym przykładzie chodziło o wspólne uczucie do jednego chłopaka). Do naszych oficjalnych słowników zajrzało jednak dotąd w wersji potocznej tylko jako określenie wygórowanej ceny. Płać i płacz. Choć przecież płakać można i ze smutku, i ze szczęścia. Syndrom skibidi jest w języku dłużej, niż się wydaje.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Pracuję ciągle, a kto mi zapłaci
Spinają typy, bo są starej daty
Vkie, MJ, 2018 r.
spinać – denerwować się

eprasa.pl 8a4c75bb48

Opłynięcie przylądka Horn bywa nazywane „żeglarskim Everestem". Nie bez powodu.

Z jedną nogą na stole

PODRÓŻE

Żeglarzom, którzy opłynęli przylądek Horn, należą się specjalne przywileje. W dawnych czasach należało do nich prawo wytatuowania sobie płynącego pod pełnymi żaglami statku czy noszenie w lewym uchu złotego kółeczka. Dziś wolno im gwizdać na jachcie, pluć na nawietrzną burtę, śpiewać ostatnią zwrotkę żeglarskiej pieśni „Chłopcy Ahoj!" (inni mogą tylko mruczeć), a ich formalne docenienie to przyjęcie do elitarnego Bractwa Kaphornowców, przyznanie tytułu Albatrosa Hornu i wręczenie żółtej chusty (po większej liczbie opłynięć – czerwonej). Dość ciekawy przywilej jest u Anglików – zaliczenie Hornu daje im prawo do spożywania posiłków z jedną nogą na stole, a jeśli opłyną też Przylądek Dobrej Nadziei, mogą położyć obie.

Znajdujący się na krańcu Ameryki Południowej przylądek Horn, cypel wyspy o tej samej nazwie, to miejsce pod wieloma względami wyjątkowe. To właśnie przy nim Ocean Atlantycki spotyka się ze Spokojnym, który w tym rejonie spokojny wcale nie jest. O występujących tu falach i silnych wiatrach, zwanych nie bez powodu Wyjącymi Pięćdziesiątkami, krążą legendy. Schować się między innymi wyspami archipelagu nie ma za bardzo jak – nieliczne kotwicowiska nie dają dobrej osłony, a kanały między nimi są zdradliwe ze względu na silne prądy.

W swoim żeglarskim życiorysie miałam okazję opłynąć Horn dwukrotnie. Pierwszy raz, w 2003 r., na 13,5-metrowym jachcie „Stary" mijaliśmy Horn w odległości 200 mil morskich (370 km), więc go nie widzieliśmy. Drugim razem, w 2016 r., prowadziliśmy 9-metrowego drewnianego „Phoenixa" tylko we dwójkę, razem z kolegą, który nie miał palców (stracił je w wyniku odmrożeń w górach Alaski). W tym rejsie mieliśmy już Horn w zasięgu wzroku i choć sztormowe morze rzucało naszą łupiną na wszystkie strony, ze wzruszeniem wpatrywaliśmy się w potężny klif zakończony złowrogimi skałami. A następnego dnia zdarzył się cud – Neptun nagrodził naszą wytrwałość w dotarciu na kraniec świata i zesłał nam kilka godzin względnej ciszy.



Monika Witkowska – himalaistka, żeglarka, podróżniczka. Autorka książek (m.in. „K2. Ostatnia szansa" i „Kurs Arktyka"). Prowadzi stronę na Facebooku: Monika Witkowska – Podróże małe i duże.

Byłoby grzechem nie wykorzystać takiej okazji, zwłaszcza że znaliśmy brytyjskie statystyki, według których średnia roczna prędkość wiatru przy Hornie wynosi 84 węzły (odpowiednik 156 km/h). Udało nam się przy wyspie Horn zakotwiczyć i na krótko zejść na ląd. Nie jest zupełnie bezludna. Mieszka na niej latarnik z rodziną, przy czym kontrakt zobowiązuje ich do życia na tym odludziu przez rok (prowiant dowozi helikopterem lub statkiem chilijska marynarka wojenna). Odpuściliśmy sobie zdobycie najwyższego wzniesienia na wyspie (424 m), bo naszym celem stała się latarnia, stojąca po sąsiedzku kaplica Stella Maris (Gwiazda Morza) oraz nieco od nich oddalony symbol przylądka, czyli wielki, 7-metrowy, wykonany z metalu pomnik albatrosa.

Słynące z nawet 3,5-metrowej rozpiętości skrzydeł albatrosy, rzeczywiście w tych rejonach występujące, to w żeglarskich przesądach dusze marynarzy, którzy w okolicznych głębinach stracili życie. Było tych ofiar mnóstwo, bo przez kilka wieków, do wybudowania Kanału Panamskiego, główna droga morska z Azji do Europy prowadziła właśnie wokół groźnego przylądka. Nie wszystkie żaglowce z walki z żywiołem wychodziły zwycięsko. Jedne tonęły, inne zawracały. Tak było np. ze znanym z filmów „Bounty".

Warto przy tej okazji wspomnieć, że pierwszą jednostką pod biało-czerwoną banderą, która zaliczyła trawers Hornu, był w roku 1937 żaglowiec „Dar Pomorza". Ten sam, który jako statek-muzeum cumuje teraz w porcie w Gdyni. Na pierwszą polską małą jednostkę żaglową trzeba było poczekać jednak kolejne 35 lat, aż w 1972 r. na okołohornowych wodach pojawił się na „Polonezie" Krzysztof Baranowski. Magia Hornu ciągle przyciąga żeglarzy. A co roku polskie Bractwo Kaphornowców powiększa się o kolejne osoby i wciąż można usłyszeć słowa tradycyjnego w tym środowisku pozdrowienia: „Pokłon Hornowi!". ■



O zupie na chłodno



O ile fasolka po bretońsku niewiele ma wspólnego z Bretanią, o tyle chłodnik ma pięknie udokumentowane litewskie korzenie.

KUCHNIA

Nie będę kłamał. Pojechałem do Wilna jeść. Plan zrealizowałem, przyglądając się wspólnej historii, którą nad Wilią opowiada się nieco inaczej niż nad Wisłą. Wspólne mianowniki dostrzegłem dwa. Po pierwsze, Litwini podobnie jak Polacy sporo zawdzięczają królowej Bonie i podobnie jak Polacy nie darzą energicznej Włoszki wielką estymą. Po drugie, dzielimy talerz pełen różowego chłodnika, o który bylibyśmy w stanie kruszyć kopie. Benzyny do ognia dolali kulinarni dziennikarze „New York Timesa", którzy nazwali chłodnik litewski najsłynniejszym polskim chłodnikiem, za nic mając wysiłki ekspertów od kulinarnej dyplomacji. Polacy dostali rumieńców z zachwytu, Litwini z wściekłości, a ja czułem się, jakbym trzymał talerz chłodnika, siedząc między młotem a kowadłem.

Nie da się bowiem ukryć: mam polski PESEL, mimo że mój ojciec urodził się na Litwie, traktował siebie samego jak Litwina uwięzionego w PRL i upierał się, że nasze nazwisko powinno brzmieć Kieżunas. Ale nie mogę się wyprzeć doświadczeń zawodowych, które potwierdzają tezę, że kuchnia jako pole niematerialnego dziedzictwa za nic ma granice i czystość krwi kucharzy. Jest z założenia czymś ponadnarodowym, bo idea państwa narodowego jest zjawiskiem dość nowym. Nie powinno też nikogo dziwić, że w czasach Jagiellonów elementy kuchni polskiej zaczęły przenikać do Litwy, a kuchnia litewska inspirowała kucharzy w Polsce.

Gdybym miał chodnik litewski gdzieś przypisać, to zgodnie z nazwą oddałbym go Litwinom, zwłaszcza że dziś jest dla nich emblematycznym daniem. W tym roku w Wilnie w kolejnej edycji festiwalu poświęconego zimnej zupie wzięło udział niemal 100 tys. ludzi. Litwini przygotowują šaltiborščiai z namiętnością i wcinają z zaangażowaniem. Zgodnie jednak z właściwościami kultury niematerialnej trzeba mieć świadomość, że chłodnik może pojawiać się na innych stołach, bo odpowiadają za to lata wspólnej historii. Bywa chłodnik litewski traktowany jako danie polskie, ukraińskie, rosyjskie, białoruskie i łotewskie. Łotysze dali temu nawet muzyczny wyraz; jeden z zespołów hiphopowych nagrał o nim piosenkę. Na reakcje nie trzeba było długo czekać. Litewska odpowiedź stała się przebojem.

Pierwszy przepis zanotował Paul Tremo, kuchmistrz Stanisława Augusta Poniatowskiego, urodzony w Berlinie Francuz z protestanckiej rodziny, która uciekała przed prześladowaniami niekatolików. Studiował stare książki kucharskie i podróżował po Europie w celach kulinarnych. Z czasem stał się mentorem dla aspirujących polskich kucharzy i autorem przepisów, które przez dekady krążyły w odręcznych kopiach.

Etnograf Oskar Kolberg, opisując litewską kuchnię, wymienia chłodnik robiony z drobno pokrojonych buraków. Wspomina o chłodniku Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu". W poemacie zaczynającym się od słów „Litwo, ojczyzno moja" pojawia się wprawdzie „chołodziec", ale nie ma wątpliwości, o co mu chodzi. O chłodniku pisze też Wincentyna Zawadzka w „Kucharce litewskiej" z XIX w., a za litewską nazwę šaltaisiais barščiais odpowiada Liudvika Didžiulienė-Žmona, pisarka, patriotka i edukatorka, która odegrała ważną rolę w odrodzeniu litewskiej kultury i języka.

Dyplomacja to trudna sztuka. Ta kulinarna również. O ile jednak fasolka po bretońsku niewiele ma wspólnego z Bretanią, o tyle chłodnik ma pięknie udokumentowane korzenie. To, że Litwini dzielą go dziś z innymi narodami, nie stanowi przeszkody, by uznać jego litewskość. ■



Bartek Kieżun – dziennikarz, podróżnik i fotograf. Autor bestsellerowych przewodników kulinarnych: „Italia do zjedzenia" i „Neapol łakomym okiem". Gotuje, karmi, prowadzi warsztaty kulinarne, organizuje kolacje degustacyjne i pisze.

Klasyczny litewski šaltibarščiai

Składniki:
- 4 średnie ugotowane buraki, drobno posiekane (świetnie sprawdzają się też buraki kiszone, w Wilnie można je kupić nawet w supermarketach)
- kilka ugotowanych ziemniaków
- 4 szklanki kefiru
- 1 szklanka zimnej wody
- 1 pokrojony w kostkę ogórek
- 3 posiekane jajka na twardo
- 3 łyżki posiekanego świeżego koperku
- 2 posiekane cebule dymki
- sól i czarny pieprz do smaku

Wykonanie:

● W dużej misce łączymy starte buraki, ogórek, jajka, koperek i dymkę. Wlewamy kefir i starannie mieszamy. Dodajemy tyle zimnej wody, by uzyskać odpowiednią gęstość zupy. Doprawiamy solą i czarnym pieprzem do smaku. Schładzamy w lodówce przez co najmniej 30 min, aby smaki się połączyły. Podajemy schłodzone z dodatkiem gotowanych ziemniaków.

© LESZEK ZYCH, ROBERT HARDING/ALAMY/BE&W, BARTEK KIEŻUN, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 8a4c75bb48

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Trzecia noga Macrona



Polacy dali się nabrać AI. Najpierw Grok (działa przy platformie X) błędnie wskazał reporterkę, która zadała szefowi MON dziwnie brzmiące pytanie („Czy planuje pan konsultacje z KN przed wylotem do USA?"), potem **po sieci niosło się zdjęcie europejskich przywódców czekających na spotkanie z Trumpem jak na zbawienie. Wylał się hejt, a wystarczyło się przyjrzeć: Macron ma na grafice więcej nóg, niż należy. Co to mówi o nas i o AI, pisze na polityka.pl Michał Tomasik.**

Za pigułki przed sąd



Jarosław Górnicki, pediatra i alergolog, od 2016 r. przepisuje pacjentkom tabletki „dzień po", które przestały być dostępne bez recepty. Na drzwiach gabinetu objaśnia: „Tak jak można zabezpieczyć się przed wstrząsem po ukłuciu pszczoły, tak samo można zabezpieczyć się przed niechcianą ciążą". **Resort zdrowia zaczął się Górnickiemu przyglądać i domagać dokumentacji medycznej. Odmówił, więc odpowie przed sądem. Sprawę opisuje Agata Szczerbiak.**

Nawrocka i mamuśki



Pierwsza dama pierwszy raz wystąpiła publicznie w nowej roli: w weekend wzięła udział w festiwalu piłki nożnej kobiet w Tarnobrzegu i zagrzewała do boju młode fanki kopania. „Swoją obecnością tutaj pokazujecie, że futbol to nie tylko domena męska", mówiła. Ale kopią nie tylko dziewczyny – **na Podkarpaciu powstały też drużyny „Mamusiek", mam, które dopingując córki, nieco im zaczynały na boisku przeszkadzać. Marta Nawrocka starała się nie zawadzać. Relacjonuje Katarzyna Kaczorowska.**

WAS dla was



W studiu POLITYKI Juliusz Ćwieluch gości Agnieszkę Drozd i Rafała Kosmala, duet znany jako Warszawski Alarm Smogowy (w skrócie WAS). Ale nie o smogu rozmawiamy, tylko o rowerach, hulajnogach i polskich drogach. Jeden z warszawskich urzędników z wyprawy do Kopenhagi wrócił zniesmaczony i stwierdził, że „nasz chaos jest atrakcyjny". My uważamy, że jest raczej groźny. W podkaście „Rowery, nie bajki" zastanawiamy się, jak to naprawić i czy obowiązkowe kaski to na pewno dobry kierunek.

Zwycięstwo jest realne!



Ruszył US Open, ostatni w sezonie turniej Wielkiego Szlema. „Tenisowy świat znów kręci się wokół Igi Świątek", pisze na polityka.pl Krzysztof Matlak. Polka wygrała Wimbledon i turniej w Cincinnati, w Nowym Jorku rozegrała szalonego miksta i otarła się o tytuł. W najbardziej optymistycznym scenariuszu mogłaby po US Open wrócić na tron. Ale musiałaby wygrać, a liderka rankingu Aryna Sabalenka odpaść w czwartej rundzie. To ona broni tytułu i jest na musiku. Będzie ciekawie.

© X.COM/MOG_RUSSEN, SHUTTERSTOCK, PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, LESZEK ZYCH, ROBERT PRANGE/GETTY IMAGES

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 8a4c75bb48

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 8a4c75bb48



IGA ŚWIĄTEK



REACH FOR THE CROWN



DATEJUST

ROLEX

eprasa.pl 8a4c75bb48